

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXVIII.

ROK X.

TOM II. — ZESZYT III.

Czerwiec

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N 23.

1885.

SPIS RZECZY.

OD REDAKCYI

P. p. Prenumeratorów, których przedpłata kończy się z dniem l-go Lipca, upraszamy o rychlejsze zgłaszanie się z zamówieniem pisma na drugie półrocze, inaczej bowiem zeszytu Lipcowego nie otrzymają w porze właściwej.

Druk ukończono 2 Czerwca 1885 r.

PAN STAROŚCIC BRAŃSKI.

I.

Pierwsza w świat wyprawa.

O wczesnéj wiośnie pamiętnego roku 1733, z Wielkiego Iłowca, wsi o cztery mile od Poznania odległéj, wyjeżdżała dostatnia i wygodna bryczka, zaprzężona trzema końmi, za nią zaś postępowały dwa inne pod siodło. Stary masztalerz, Podhorecki, wiózł w niéj dwóch najmłodszych synów swego pana, a dziedzica W. i Małego Iłowca, ImćPana Krzysztofa Starzeńskiego herbu Lis, którzy z rodzicielskiego domu wyruszali w świat szukać stanowiska i szczęścia, a prócz skromnéj wyprawy, wieźli trzysta złotych polskich w kieszeni. Chociaż drogę mieli przed sobą daleką, nie mógł ich ojciec hojniéj wyposażyć, albowiem potomstwo było liczne a skromne jego dochody płynęły głównie z wełny; to téż pewnego razu nawet z wyprawieniem synów do szkół Jezuickich w Poznaniu, wypadło mu zaczekać aż do czasu strzyżenia owiec. Mimo to nie szczędził pan Krzysztof niczego, by dać stosunkowo jak najlepsze wychowanie dziesięciorgu dzieciom: sześciu synom, co wyrośli silni i wyniośli jak dęby, oraz czterem córkom, które wzrostem dorównywały niemal braciom. Miał przeto o czém do myślenia niezamożny szlachcic wielkopolski, chcąc tak licznéj gromadce zapewnić przyszłość, odpowiednią godności rodu, który począwszy od XV wieku liczył w swém gronie zasłużonych członków;—lecz przy boskiéj pomocy wywiązał się dość szczęśliwie z trudnego zadania. Najstarszego syna, Józefa, wyprawił do saskiéj stolicy króla Imci do Drezna, by tam służył w wyborowym korpusie gwardyi konnéj Augusta II; jakoż młodzieniec przeszedłszy w krótkim czasie stopnie drabanta i wielkiego muszkietera, dosłużył się godności porucznika. Młodszy, Piotr, prze-

znaczony również do wojskowości, szukał fortuny w pułku polskiéj dragonii; Melchior i Paweł wstąpili do stanu duchownego, a mianowicie pierwszy został Jezuitą, drugi Benonitą. Dwaj najmłodsi, Maciej i starszy jego brat nieznanego nam imienia, których spotkaliśmy wyjeżdżających z rodzinnéj wioski, dążyli do Białegostoku, z listem polecającym do późniejszego hetmana, wówczas zaś chorążego koronnego, bogatego i popularnego już wtedy magnata, Jana Klemensa Branickiego, spodziewając się na jego świetnym dworze znaleść los i szczęście. Zasób nauki tych dzielnych młodych ludzi nie był wielkim, lecz obok zalet urody i zręczności fizycznéj posiadali oni gruntowną a w owéj epoce ważną i cenioną znajomość łacińskiego języka, która torowała drogę w świecie i ułatwiała przystęp do każdego zawodu. Do tak pożądanéj biegłości w mowie starożytnych Rzymian, doszli dzięki pilnemu rozczytywaniu się we wzorowych dziełach klasycznéj łaciny; zdaje się, że największy przy tém talent okazał najmłodszy syn właściciela Iłowca, Maciej, skoro jemu właśnie przypadł w dziedzictwie niewielki zbiorek najlepszych autorów rzymskich, który wraz z innemi zapasami wiózł z sobą na bryczce.

Piętnastoletni zaledwie pan Maciej, zostawszy członkiem urządzonego na wielką skalę Białostockiego dworu, znalazł w nim doskonałą pod wielu względami szkołę życia i rycerskiego rzemiosła. Pora, w któréj zawitał do Białegostoku, nie była wcale pokojową. Po zgonie Augusta II wybuchła zacięta walka pomiędzy zwolennikami Stanisława Leszczyńskiego, obranego królem po raz drugi przez kilkadziesiąt tysięcy szlachty, a pomiędzy Augustem III, narzuconym Rzeczypospolitéj przez postronne mocarstwa. Branickiemu, jako chorążemu koronnemu, wypadało trzymać się zbrojnie i być gotowym na usługi ojczyzny, nad którą zawisła groźna chmura. Czytamy o nim, jako o stronniku króla Stanisława, lecz widocznie nie bardzo mu dowierzano, skoro, jak się sam uskarża, regimentarz korony, Poniatowski „zagrzewał go *indiscrete* ordynansami,“ to jest znaczną część jego siły zbrojnéj ściągnął pod swe bezpośrednie dowództwo. To téż gdy niedługo potém Poniatowski ustąpił regimentarstwa Józefowi Potockiemu, nabiera chorąży kor. otuchy i prosi go za pośrednictwem Mniszcha, marszałka w. k., aby mu nie odbierał téj garści żołnierza, którą ma jeszcze przy swym boku.

Nadzieja ta zawiodła go w okrutny sposób—zdaje się bowiem, że wkrótce dawniejsze podejrzenia zostały stwierdzone faktami, nie pozwalającemi wątpić, że Branicki przeszedł na saską stronę. Dotknięci zdradą Stanisławczycy, postanowili zemścić się na zmienniku; jakoż już w drugiéj połowie marca r. 1734 wziął go do niewoli na

Rusi Czerwonéj Adam Tarło, starosta jasielski, marszałek konfederacyi dzikowskiéj, i oddał w ręce regimentarza. Więziony przez długie miesiące najprzód w Jarosławiu, następnie zaś dla większego bezpieczeństwa w Kamieńcu Podolskim, w listach błagalnych, jakie śle do Mniszcha, nigdy nie śmie powiedzieć, jakoby się czuł niewinnym, lecz prosi tylko o łaskę i miłosierdzie. Po ośmiu miesiącach ciężkiéj niewoli mówi, że „w téj nieszczęśliwéj sytuacyi swojéj od wszystkich jest opuszczony“ (1). W istocie, praktykowanym wtedy dość powszechnie zwyczajem, widząc, że fortuna odwróciła się od chorążego, porzucili go wszyscy podwładni i tłumnie przeszli do zwycięzcy; pozostał przy nim jedynie szesnastoletni Starzeński, aby z prawdziwém poświęceniem dzielić w kaźni niedolę swego pana. Zacny ten czyn stał się źródłem i zawiązkiem przyszłéj fortuny młodzieńca.

Kiedy sprawa elektora saskiego odniosła stanowczy tryumf, Branicki nietylko odzyskał wolność, lecz z rąk wdzięcznego monarchy, dla którego cierpiał, otrzymał liczne oznaki pańskiéj łaski, w ich liczbie zaś hetmaństwo polne koronne. Gdy przeto do wielkiego majątku, odziedziczonego po przodkach, przybyły liczne królewszczyzny, można było właściciela Białegostoku zaliczać do najmożniejszych w kraju magnatów.

Bezpośrednio po uwolnieniu z więzienia, wyprawił on wiernego młodzieńca do swéj rezydencyi, gdzie tenże miał przebywać pod nadzorem i kierunkiem hetmańskiego sekretarza, Markowskiego. Podróż z Kamieńca do Białegostoku odbył pan Maciej konno, w towarzystwie wiernego masztalerza Podhoreckiego. Stanąwszy na miejscu, od razu wszedł do kancelaryi, i używany do prac biurowych, w chwilach wolnych od urzędowych zajęć, przepisał cały zapas manuskryptów starego Markowskiego, między któremi znajdował się zwięzły, lecz treściwy rys historyi Polski, spis traktatów i przymierzy Rzeczypospolitéj z postronnemi państwami, zbiór praw, statutów i konstytucyi, niemniéj formy procedury cywilnéj i kryminalnéj, zupełny wykład służby wojskowéj, wreście biografie wszystkich znakomitszych w kraju rodzin. Mozolna i na pozór niewdzięczna praca kopisty, odwdzięczyła się niemałą korzyścią pilnemu i żądnemu wiedzy wyrostkowi; nie przepisując bowiem bezmyślnie, lecz zastanawiając się bacznie nad każdym szczegółem, przyswoił on sobie niepospolity zasób wiadomości, które mu się w późniejszém życiu okazały wielce pożyteczne.

---

(1) Kantecki K. Szkice i opowiadania, 313—315.

Pan chorąży koronny nie zapomniał o przywiązanym do siebie młodzieńcu; powróciwszy do domu, przywiózł mu w upominku kosztowną szczero-złotą ładownicę, ozdobioną jego herbem, nadto wyjednawszy ulubieńcowi miejsce towarzysza w pułku jazdy, zatrzymał go jednak przy sobie, przeznaczając do biura wojennego. Sędziwy Markowski przygotowywał sobie w nim następcę, a bystry i pilny pracownik umiał się stać, wkrótce niezbędnym. Branicki zostawszy w r. 1735 hetmanem polnym koronnym, otrzymał dla niego stopień porucznika jazdy w chorągwi królewicza Karola; niedługo potém został Starzeński pisarzem wojska koronnego i starostą sądowym brańskim, lecz była to tylko tytularna posiadłość, gdyż skąpy hetman zastrzegł sobie pobieranie dochodów do końca życia. W ten sposób los młodego starosty był ustalony; ustalał się również zawód starszych braci. Pierwszy z nich, Józef, odstąpiwszy młodszemu szefostwa szwadronu, powrócił do rodzinnéj Wielkopolski, a osiadłszy w dziedzicznéj wiosce, pozyskał zaufanie szlachty, z jéj wyboru otrzymał pisarstwo ziemskie poznańskie, bywał rozjemcą wszystkich sporów okolicznéj braci i posłem na sejm, w końcu zaś otrzymał kasztelanią gnieźnieńską (1763 r.).

Maciej Starzeński łącząc z wzorowem prowadzeniem się trzeźwość, umiarkowanie i oszczędność, mimo dość szczupłych dochodów złożył po niejakim czasie jedenaście tysięcy złotych pol., za skromną tę kwotę nabył od swego dobrodzieja małą wioszczynę Jeżewo, z czternastu poddanymi. Gdy w kilka lat późniéj znalazł się znów w posiadaniu czterdziestu tysięcy, wziął je Branicki na wykupno wsi Złotoryi.

Był to mająteczek nader szczupły w porównaniu z fortunami zamożnéj szlachty podlaskiéj. Lubo zaś stanowisko i takt pana pisarza wojska kor. wywoływały powszechny szacunek, uważano go jednak za obcego na Podlasiu, a znaczniejsze rodziny nie pożądały bliższych związków z przybyszem. I tak napróżno ubiegał się o serce i rękę siostry Kuczyńskich, staréj i zamożnéj szlachty podlaskiéj; wbrew woli panny, wydali ją bracia za wdowca z Litwy, Jundziłła. Tém większe zatém zdziwienie wywołał świetny związek małżeński, jaki utalentowany przybysz zawarł wkrótce potém w dalszéj okolicy. Obowiązki wojskowe zniewalały go do częstych wycieczek do Lwowa i innych miejscowości. Podczas jednéj z takich wypraw zaproszony na wieś, został przedstawiony i polecony ImćPanu Trębińskiemu, podsędkowi lubelskiemu, a ujęty wdziękami piętnastoletniéj jego córki, tak zręcznie wziął się do dzieła, że w przeciągu dwóch tygodni nastąpiły zaślubiny. Do téj szybkiéj decyzyi skłoniły

pannę zarówno osobiste zalety kawalera, jak gorące pragnienia widzenia Białegostoku i Warszawy.

Związek ten sprawił na Podlasiu wielkie wrażenie i wywołał niemały podziw, albowiem Trębiński był obywatelem zamożnym, poważanym i wpływowym, panna zaliczała się do prawdziwych piękności a z dwóch starszych jéj sióstr jedna zaślubiła Dzieduszyckiego, dygnitarza koronnego, druga zaś wyszła za senatora, Szeptyckiego, kasztelana przemyskiego. Podziw wzrósł, gdy młodociana pani Starzeńska zawitała na dwór białostocki. Świeżość jej olśniewającéj urody, wdzięk i urok w obejściu, ujmujące towarzyskie zalety i rozwinięte już w tak młodym wieku talenta do muzyki, śpiewu i malarstwa—zjednały jéj powszechne uwielbienie; sam nawet stary hetman nie pozostał nieczułym na tyle powabów, a żona jego, Izabela z Poniatowskich Branicka, lubo bez słusznego powodu, nie zdolała się niekiedy powstrzymać od napadów zazdrości, tém trudniejszéj w niniejszym razie do zrozumienia, że nie należała wcale do czułych żon...

Ponieważ sądzono powszechnie, że piękna pani wywiera przeważny wpływ na hetmana, widoczną zaś było rzeczą, iż tenże w porze oczekiwanego bezkrólewia odegra pierwszorzędną rolę w Rzeczypospolitéj przeto liczni na białostockim dworze posłowie, rezydenci i wszelkiego rodzaju wysłańcy postronnych dworów obsypywali ją grzecznościami i otaczali nieustannie, co wpłynęło pomyślnie na wykształcenie i umysłowy rozwój młodéj mężatki.

Pierwszym owocem małżeńskiego pożycia państwa Starzeńskich był syn imieniem Michał, bohater naszego opowiadania i zarazem autor obszernych, w języku francuzkim pisanych pamiętników, na których oparliśmy rzecz naszą. Przyszedł on na świat 29 września r. 1757 w pałacu Branickich, w Warszawie (1). Pan hetman tyle względów okazał wtedy uroczej położnicy, że wyjazd swój ze stołecznego miasta zwlókł o kilka dni, chcąc się doczekać jéj wyzdrowienia. Nadzór nad nowonarodzonym powierzył rezydentowi swego pałacu a wysłużonemu majorowi, staremu Szczykowskiemu. Była to ostrożność wcale nie zbyteczna, gdy bowiem ojciec był cały oddany pełnieniu powinności swego urzędu, matka zaś przedewszystkiém myślała o odzyskaniu sił, oddano malca na mamki do jakiegoś Niemca na ulicy Trębackiéj. Wprawdzie różne zatrudnienia i poważna tusza nie pozwalały majorowi doglądać powierzonego mu dziecka; w pewną nie-

---

(1) Pałac ten, nazwany późniéj domem Dyzmańskiego, leży przy ul. Miodowéj i Podwalu.

dzielę jednak znalazł szanowny rezydent swobodną chwilę na odwiedzenie maleńkiego pupila. Nie mały był tedy podziw i oburzenie starca, gdy go ujrzał w domu, zażywającym nieszczególnéj opinii. Z właściwą wojskowemu żywością, natychmiast biedne dziecię zabrał do swego mieszkania i nie ustąpił, gdy zuchwały Niemiec wytoczył mu proces, dowodząc, iż Szuczkowski naraża na szwank jego dobre imię. Poczciwy major doniósłszy panu Starzeńskiemu, że jedynaka jego wyrwał „ze szpon szatana“, ocalone chłopię wyprawił do Białegostoku.

Ale w rezydencyi hetmańskiéj nie łatwo było o pomieszczenie; podobno w pałacu brakło już miejsca dla nowego, choć tak małego lokatora, a może téż rozmiłowana w światowych przyjemnościach matka nie chciała słuchać jego płaczu. Drugi pisarz biura wojennego, Sobolewski, wraz z matką i babką zajmował domek w mieście, tuż obok młyna na stawie; jemu więc oddano chłopca. Tutaj spędził on trzy błogie lata; z domku tego wyniósł najmilsze, choć z powodu dziecięcych lat nieco zamglone wspomnienia o wzorowym porządku, czystości i dobrych obyczajach, jakie tam panowały. Olbrzymi hajduk czy kozak nosił go od czasu do czasu przed oblicze rodziców. Nierównie mniéj szczęśliwie płynął mu czas po rozstaniu się z tą zacną rodziną. Mieszkał wtedy w małym pokoiku, z dodanym sobie mentorem, awanturniczym cudzoziemcem, imieniem Drake.

II.

Na Białostockim dworze.

Na schyłku rządów Augusta III Branicki, wówczas jako hetman w. k. i kasztelan krakowski (1762), pierwszy cywilny i wojskowy dostojnik Rzeczypospolitéj i pan olbrzymiéj fortuny, zgromadził w Białymstoku dwór świetniejszy i okazalszy od rezydencyi niejednego udzielnego księcia rzeszy niemieckiéj. Pułk piechoty i dragonów, dwie kompanie piechoty: węgierska i janczarska, jako nieodłączne od osoby hetmana w., stanowiły ciągłą i stałą załogę jego siedziby. Nadto utrzymywał jeszcze hetman z własnéj szkatuły dwa szwadrony, jeden ułanów, drugi tak zwanych forpocztów, złożone z saméj szlachty podlaskiéj. Oddziały te nie ustępowały w niczém wojskom liniowym, a były szkołą dobrych żołnierzy. Oficerowie składali się z Sasów, Prusaków i Polaków, po powrocie z siedmioletniéj wojny umieszczonych w pułkach; nie brakło komendanta placu, była szkoła budowli cywilnych i wojskowych, inżynieryi, miernictwa, jazdy, sala musztry i władania bronią, oraz pensya żeńska.

Służba wojskowa odbywała się tutaj niemal z surowością pruskiego systemu, łagodzonego tylko saską grzecznością i ogładą. Każdego z czynnych adjutantów hetmańskich, czy był Polakiem, czy cudzoziemcem, jeśli tylko nosił tytuł i mundur, wyciągała pobudka ranna bez litości z łóżka. Sam sędziwy wódz tych hufców celował nadzwyczajną punktualnością, która jednak odnosiła się podobno więcéj do formy, niż do treści. Przywykły do rychłego wstawania, już o szóstéj godzinie bywał na nogach. W ciągu pierwszéj godziny w dniu załatwiał sprawy gospodarcze; od siódméj do ósméj przychodzili sekretarze cywilni czytać mu listy i odbierać polecenia do odpowiedzi na nie, poczém do dziewiątéj zabawiał się w towarzystwie zaufanych przyjaciół, rozweselony przez nich niekiedy opowiadaniem drobnych, mniéj więcéj jaskrawych wypadków kroniki dworskiéj. Pomiędzy dziewiątą a dziesiątą stawiali się wszyscy oficerowie załogi z oddziałem służbowym i muzyką wojskową; nigdy bowiem nie uchylał się hetman od udziału w popisach swéj armii. O godzinie jedenastéj oddawał ceremonialną wizytę żonie, poczém szedł na mszę do kaplicy, w końcu podpisywał wszystkie akta i papiery wojskowe. W samo południe zajeżdżał przed pałac powóz, którym Branicki odbywał przejażdżkę, zwiedzał budowy i inne urządzenia, poczém wracał o pierwszéj i śpieszył na pokoje, gdzie zastawał kobiece towarzystwo, zwykły personal pałacowy, komendanta, oraz gości, zatrzymanych na obiad. Poobiednią kawę, jeśli pozwalał stan powietrza, zastawiano w ogrodzie, około trzeciéj zaś rozchodziło się towarzystwo. Wtedy hetman zasypiał lub udawał że śpi, aby się uwolnić od nagabywań,—pani hetmanowa zaś cofała się do swych komnat. O godzinie piątéj następowała ogólna przechadzka najprzód do ogrodu, a daléj do zwierzyńca, gdzie się popisywała wyborna trupa włoskich śpiewaków i balet przy akompaniamencie doskonałéj muzyki. Kończył się dzień wieczerzą, zastawianą o godzinie ósméj tylko dla zwykłych stołowników.

Politycznie, mimo olbrzymich środków, w stanowczych chwilach bezradny, na kartach dziejów nieszczególne pozostawił hetman wspomnienie, lecz przyznać trzeba, że jako prywatny obywatel posiadał nie małe przymioty i zasługi, zarysowujące się tém wydatniéj w obec nieporządnego i chaotycznego gospodarowania współczesnych magnatów polskich, między którymi do nielicznych wyjątków należeli tacy ludzie jak teść hetmański, Poniatowski, Flemming i bracia Czartoryscy.

Służba białostockiego dworu była wzorową i przedstawiała się gościowi świetnie, gdyż dobrze żywiona i płacona, pełniła gorliwie swe obowiązki i usilnie dbała o pozostanie na korzystném dla siebie

miejscu. W przeciwstawieniu do nędzy chłopów innych okolic, we wszystkich majątkach hetmańskich panował dobrobyt, a włościanie zamożni i traktowani po ludzku, nie czuli dotkliwego jarzma poddaństwa (1). Kto nie dorabiał się na roli, znajdował utrzymanie przy budowie licznych domów i gmachów, któremi możny magnat skwapliwie upiększał swoje państwo. Były to budowle trwałe i rzetelnego użytku, jak kościoły, szpitale, zakłady sióstr miłosiernych, klasztory dla duchownych obowiązanych do utrzymywania szkół, instytut dla inwalidów (w Tykocinie), obsługiwany doskonale przez naczelnego lekarza i zręcznych chirurgów itd. Gospodarstwo na folwarkach Branickiego stało, jak wiemy, wyżéj niż, ogólnie biorąc, w całym kraju; na obszernych łąkach pasły się ogromne stada koni wszelkich ras, a między niemi pyszne ogiery z różnych części świata, urocze ogrody zawdzięczały swą świetność umiejętnéj ręce głównego ogrodnika z Holandyi, a oranżerya współzawodniczyła z drezdeńską. Wyprawy myśliwskie hetmańskiéj drużyny trwały zwykle po sześć tygodni, lecz czasu tego używał Branicki o tyle pożytecznie, że w przerwach pomiędzy jedną a drugą walką z niedźwiedziem lub odyńcem, zwiedzał i lustrował swe wioski. Żniwo myśliwskie bywało obfite; nierzadko padało trupem 120 samych wilków, a zwycięski zastęp Nemrodów mógł się słusznie pochlubić, że zabezpieczał okolicę, uwalniając ją od tych groźnych szkodników.

W takim to otoczeniu i wśród takich warunków rósł mały Michał pod dozorem pana Drake. Na szczęście burzliwy Mentor nie wiele się troszczył o Telemaka, zostawiając go całemi dniami w towarzystwie Jasia, syna pułkownika przedniéj straży wojska litewskiego, Andrzeja Węgierskiego, szlachcica wielkopolskiego, który porzuciwszy służbę, objął posadę koniuszego i zarządcy piwnic het-

---

(1) Taki mniéj więcéj sąd wydaje autor naszego pamiętnika. Znajdujący się w zbiorze rękopisów Poznańskiego towarzystwa przyjaciół nauk (nr. 255) oryginalny dokument z datą 7 marca 1724 w Warszawie i z wielką królewską pieczęcią, zawiera wyrok sądu referendarskiego kor. w sprawie skargi sołtysów i wybrańców starostwa brańskiego przeciw J. Kl. Branickiemu, chorążemu kor., staroście brańskiemu i bielskiemu. Skarżący twierdzili, że jego plenipotent Kruszewski, wbrew prawu poodbierawszy im po jednéj włóce z każdego łanu, „onych do wydawania z każdéj włóki odebranéj czynszu i hiberny po złotych dwanaście, od sepu cztery szanki miary brańskiéj, owsa téjże miary tyleż, tudzież do oddawania serów, gęsi, kur, jaj i innych danin przymusza i przez egzekucyą ze dworu zesłaną wyciąga; do pełnienia robocizn, tak w żniwa z sierpem po dni sześć, jako i do wywozu żyta do Brzegu przyniewala, piwa warzenia powodom według prawa wolnego zabrania, i inne *praeiudicia* onym czynić waży się,—urodzony zaś starosta brański tych wszystkich krzywd i agrawacyi czynić nie zakazuje i owszem pozwala. Sąd referendarski (Stefan Potocki, referendarz kor.) skargę oddalił, wysłał jednak komisyą dla zbadania podziału włók i łanów.

mańskich. Był on sercem i duszą przywiązany do hetmana i chętnie by się za niego dał porąbać; jako reprezentant gościnności domu, miał obowiązek zagrzewania do picia. Jak gdyby na karę za grzechy, zaślubił prześliczną kobietkę, która mu zatruła życie. Dom jego był zaledwie o dwadzieścia kroków oddalony od mieszkania państwa Starzeńskich; to też Drake był wspólnym nauczycielem obydwóch chłopców.

Pani Branicka, nie ustępująca innym magnatkom w zamiłowaniu przepychu, otaczała się sześciu paziami, przybranymi po sasku, a pochodzącymi z najlepszych rodzin szlacheckich. Młodzieńcy ci pobierali wojskowe i cywilne nauki, a stary Sas, Egwalt, ich przewodnik, udzielał lekcyj języka niemieckiego, wraz z nimi i małemu Starzeńskiemu, albowiem Drake, niewiadomo czy Szwajcar czy Francuz, utrzymywał, że przedmiot ten nie należy do jego wydziału. Natura tego chłopca, wychowywanego w dość niepospolitych warunkach, była też skomplikowaną i niezwykłą. Żywy, roztropny, uważny, a zarazem swawolny, łagodny i powolny, gdy z nim postępowano łagodnie, uparty i zacięty, gdy mu się zdawało, że doznaje krzywdy, potrzebował umiejętnéj i systematycznéj edykacyi, któraby zapanowała nad jego wrażliwym umysłem, lecz na taką metodę wychowania nie zanosiło się wcale. Zaledwie malec nauczył się biegać, a już go przybrano po huzarsku w pałasz, wojskową czapkę, pióro i buciki z ostrogami. Hetman mając się ruszyć od stołu, udawał, że do wstania potrzebuje obcéj pomocy, wołał więc przystrojonego tak chłopczyka, aby mu podał laskę, czapkę, w końcu i rękę wśród homerycznego śmiechu towarzystwa. Po obiedzie zasypiał Branicki, a mały huzar czuwał tuż, aby muchy nie przerywały słodkiéj drzemki pańskiéj.

Nastały teraz ciężkie dla pacholęcia czasy przedwczesnéj edukacyi, prowadzonéj w myśl panujących pojęć. Zajmowała się nią nieco, o ile czas pozwalał, piękna, zaledwie dwudziestoletnia, lecz niepraktyczna matka; z jéj też, jak się zdaje, zlecenia Włoch Sartini, dyrektor baletu, wystawiał drobne nóżki malca na prawdziwe męczarnie, włożono mu nawet żelazny pręt na plecy, albowiem wydawało się synhedrynowi wychowawczemu, że jest niekształtny, co uchodziło wtedy za straszne nieszczęście. Dwie, wedle własnych jego słów, brzydkie jak grzech śmiertelny wiedźmy, z których jednéj było na imię Barbara, druga zaś zwała się Jabłonowska, pełniły obowiązki policyi poprawczéj. Dręczono biedaka na przeróżne sposoby, jak np. papilotami, a zręczny fryzyer, Francuz, sprzedawał żywicę w formie plastru, który miał zniszczyć ślady drobnego zarostu na młodocianém czole.

Drake był sobie pedagogiem szczególnego nabożeństwa. Należał on do wielkich miłośników płci słabéj, a znalazłszy raz pod tym względem niejaką przeszkodę w skromnéj osóbce swego wychowańca, wymierzył mu tak silny cios pięścią, że ten upadłszy na wznak, zranił się w głowę i opalił sobie włosy. Na szczęście zwabiona łoskotem, przybiegła z pomocą straż, ustawiona przy drzwiach pana pisarza wojska kor.; Drake wzięty pod areszt, utracił posadę, a niewinna ofiara smutnéj katastrofy do końca życia zachowała wstręt ku cudzoziemskim awanturnikom.

Wyswobodzony z więzów pierwszéj w życiu niewoli, dostąpił Michał zaszczytu towarzyszenia matce w podróży do Lwowa, a ztamtąd do Psar, rezydencyi owdowiałéj wtedy babki po kądzieli, pani Trębińskiéj, zacnéj i bogobojnéj kobiety. Wraz z całym swym domem, uważała ona przybyłego wnuczka za ósmy cud świata, podziwiając, że szczebiotał po francusku i niemiecku, rysował, popisywał się różnemi ćwiczeniami i nieźle bębnił. Tutaj, na wsi, rozpoczęła się nowa faza wychowania faworyta, odmienna od poprzedniéj. Odtąd aż do późnych lat żyli w jego wspomnieniach nauczyciel religii i języka polskiego, ks. Popławski, szlachcic z Podlasia, stary i szanowny Francuz, kawaler orderu św. Ludwika, Laskaris i jego rodak Sirris, nauczyciel książąt Sanguszków—wszyscy ludzie poważni i uczeni.

Niestety, zbyt krótko korzystał uczeń z ich nauki; snać już od najmłodszych lat było jego przeznaczeniem nieustannie zmieniać miejsce pobytu i w téj przedwczesnéj tułaczce po świecie, wśród coraz nowych warunków rozpoczynać tylekroć przerywaną edukacyą. Rodzice zawiózłszy syna do Warszawy, umieścili go na pensyi w domu sędziwych Francuzów, państwa Souchet. Codzień w porze obiadu i wieczerzy znajdował się tutaj w towarzystwie sześciu do ośmiu dorastających ładnych panien z dobrych domów polskich, które późniéj widywał jako słynne piękności zalotnego dworu Stanisława Augusta. W towarzystwie tém czuł się szczęśliwym i swobodnym, nabył lepszego akcentu francuskiego, nauczył się różnych gier młodzieńczego wieku i nabrał téj szczeréj, niekłamanéj wesołości, która go nie opuszczała w najcięższych chwilach późniejszego życia.

Ale i na pensyi państwa Souchet nie długo popasał, gdyż odebrawszy go z niéj, umieszczono w kolegium Teatynów (1). Datę

(1) Przy ulicy Długiéj, gdzie dom Elerta, następnie własność Ostrowskiego, pisarza aktowego królestwa Polskiego.

owych przenosin możemy dokładnie oznaczyć: działo się to w chwili zgonu Augusta III.

Była to pora nader ważna zarówno w życiu hetmana, jak jego powiernika, Macieja Starzeńskiego, miała bowiem ziścić lub zawieść żywione przez nich oddawna nadzieje. O charakterze i stanowisku pisarza wojska koronnego na białostockim dworze nie wiele się dowiadujemy z naszego pamiętnika, którego autor wspomina o ojcu tylko pobieżnie i ogólnikowo, wypada nam przeto zaczerpnąć wiadomości o nim z innego źródła, a mianowicie z pamiętników Marcina Matuszewicza, zasługujących w ogólności na wiarę, lubo w ustępach poświęconych Starzeńskiemu, grzeszących pewnym doń uprzedzeniem, albowiem pan Marcin uważał się za rywala starosty brańskiego i rzeczywiście miał w nim wspólzawodnika, ubiegając się o brzesko - litewską kasztelanią.

Starzeński obok niepospolitych zalet umysłu, bystrości i rozumu, miał wadę temperamentu, która nieraz do niego zniechęcała ludzi i nie dozwalala mu pozyskać szerszéj popularności, to jest pewną szorstkość i popędliwość. Matuszewicz mimo swych uprzedzeń zowie go „rozumnym i głębokim“, daléj zaś „uczonym i wielkiéj wersacyi człowiekiem“, a przytacza fakt dowodzący, jak dalece, gdy chciał, umiał przejednać i pozyskać przeciwników, lecz opowiada także o jego „przykrym i niecierpliwym humorze“, który nad tym rozumnym i zręcznym człowiekiem do tego stopnia brał górę, „że ledwo z kim łagodnie postępował“. Podobno zrażona szorstkiém jego obejściem, traciła niekiedy szlachta serce do samego hetmana, ten zaś, co nam się wydaje niezbyt podobném do prawdy, w pewnych chwilach miał większy „afekt okazywać samochwalczemu Matuszewiczowi i nieraz mu jakoby mówił, że go nad starostę preferuje i jeżeli zostanie królem, tedy mnie upewniał, że pierwszym jego będę faworytem...“ To prawda, że „humor“ pisarza wojska kor. dawał się czasami we znaki nawet teroryzowanemu przezeń Branickiemu, lecz ten lubo zniechęcony chwilowo, nie mógł się nigdy obyć bez ulubionego powiernika. Towarzysz jego więzienia w Kamieńcu Podolskim zwyciężał ostatecznie każdego rywala, choćby ten nawet przez czas pewien brał nad nim górę. I tak wkradał się nadzwyczajnie w łaski hetmańskie przybłęda ze Szwajcaryi, Beck, sekretarz cudzoziemskiéj ekspedycyi, „człek bystrego rozumu i wielkich obrotów“, w skutek czego powstała „wielka emulacya“ pomiędzy nim, a starostą brańskim. Pewnego razu polecił Branicki Matuszewiczowi porozumiéć się z Beckiem w sprawie układów z Francyą (r. 1756), lecz w obec Starzeńskiego zachować najgłębszą tajemnicę. Szlachcic niesłychanie tém zdziwiony, że hetman „kazał mu się strzedz

najpoufalszego konsyliarza swego", tajemnicę niełaski pańskiéj tłómaczy faktem dość wątpliwéj wiarogodności, że wszechwładny dotąd powiernik brał i od francuskiego i warszawskiego dworu po 300 dukatów rocznéj pensyi, gdy mu ją zaś cofnął poseł francuski, hr. Broglie, „człowiek żywy i impetyczny"—ochłódł w przyjaźni dla Francyi.

Jednakże panowanie układnego Szwajcara niedługo trwało; gdy kompromitującą go korespondencyą z królem pruskim przejął i odkrył dwór saski (1759), dostał się Beck pod areszt i pod strażą został odesłany do Gdańska, co go tak dotknęło, że „płakał i ryczał od płaczu", a otrzymawszy szczupłą pensyą od skąpego Fryderyka II, „zaczął z frasunku pić" i umarł wkrótce.

Starzeński podtrzymywał plany swego pana zostania królem, sam wedle utrzymującéj się dotąd w rodzinie tradycyi, dążył do pozyskania po nim buławy. Twarda rzeczywistość nie odpowiedziała błogim nadziejom, a roli odegranéj przez zgrzybiałego hetmana podczas bezkrólewia, nie można nazwać szczęśliwą. Trudną też była walka z nieprzyjacielem energicznym, na wszystko zdecydowanym, nie wzdrygającym się przed żadnym środkiem, podczas gdy po stronie tak zwanych „patryotów" była chwiejność i bezradność, gdy w przeddzień akcyi książe Panie-Kochanku ciągle się zapijał, a Branicki choć stojący nad grobem i bezdzietny, nie chciał słyszéć o wydatkach, niezbędnych dla przygotowania się do zwycięzkiéj walki, pod wrażeniem sprzecznych rad swego otoczenia nie umiał się zdobyć na szybką decyzyą i zbyt wiele liczył na obcą pomoc, która go zawiodła, jak się żali w jednym z listów do rządu francuskiego. To też nie dziw, że potém musiał się schronić do węgierskiego Bardyowa i patrzéć, jak jego armia topniała nakształt wiosennego śniegu.

O udziale starosty brańskiego w tych wypadkach posiadamy nader szczupłe wiadomości; wiemy tylko, że w owym czasie często cierpiał na bolenie wielkie krzyża i łamanie kości w nogach, a zdaje się, że swemu dobrodziejowi udzielał rad pokojowych, albowiem jego syn mówi, że bez zdrowych rad pana Macieja, byłby Branicki wzniecił płomień wojen domowych.

Niepowodzenia i klęski bywają złymi doradcami; zwykły one wszędzie, a zwłaszcza w Polsce, usposabiać do podejrzeń i posądzeń o zdradę, gdyż do naturalnych popędów ludzkich należy składanie przyczyny własnych nieszczęść na obce barki. Sądzę, że w podobny sposób należy sobie wytłómaczyć chwilowy brak zaufania, okazany staroście brańskiemu przez hetmana, pod wpływem obcych podszeptów. W dniu 28 czerwca 1764 r. odbyła się w Bardyowie narada, w któréj uczestniczyli, oprócz hetmana, biskup krakowski, woje-

woda wołyński, wojewoda lubelski, kasztelan łęczycki, generał Mokronowski, starosta leżajski Potocki i pułkownik Poniński. „Starosta brański“—są słowa historyka, czerpiącego z urzędowych źródeł, który zawsze się znajdował na radach, wykluczony z téj rady“. Biskup krakowski, Sołtyk, dotychczasowe klęski przypisuje zdradzie, w tajemnéj z hetmanem rozmowie do łez go porusza, zupełnie opanowuje przygnębionego starca, odtąd mu służy za sekretarza, wydaje manifesta i ordynanse wedle własnego upodobania, kasztelana łęczyckiego zaś używa za kopistę (1).

Chwilowe to usunięcie Starzeńskiego nie wpłynęło na późniejszy stosunek hetmana do dawnego powiernika. Siedmioletni jego syn zawsze pod nadzorem majora Szuczkowskiego, znalazł nowy przytułek w konwikcie, czyli w tak zwaném *collegium nobilium* o. o. Teatynów. Umieszczono go tutaj wraz z czterdziestu towarzyszami w ogromnym salonie, rozdzielonym na wzór stajni na dwadzieścia przegród; pewna ilość szczęśliwszéj dziatwy miała osobne pokoje.

O. Antoni Maria Portaluppi, superior konwiktu, Włoch duszą i ciałem, należał do nauczycieli Stanisława Augusta. Wypadek ten pociągnął za sobą prędkie wyrestaurowanie budynku i sprowadzenie do Warszawy większéj liczby zakonników, a mianowicie podeszłego wiekiem Rotingo, młodszego ojca Labini, Mariani, Piselli i innych. Niemłody już Portaluppi mieszkał w przepysznie urządzonych komnatach, niedostępnych dla profanów, lecz doskonale znanych wszystkim Włoszkom, śpiewaczkom i tancerkom warszawskiego teatru, które niemal co niedzielę i święto przychodziły tutaj na podział haraczu, składanego zakonnikowi z wdzięczności przez Poniatowskich, Czartoryskich i całą „familią“ w postaci najrozmaitszego rodzaju łakoci i przysmaków. Wesołe towarzystwo zaszczycał nieraz swą obecnością książe Stanisław Poniatowski, a złośliwi utrzymywali nawet, że dla jego przyjemności w przybytku kościelnym zgromadzały się śpiewna opera i skoczny balet. Rzecz prosta, że wśród takich stosunków nie zwracano uwagi na czterdziestu okratowanych malców, zaliczanych do motłochu. Rodzice płacili suto za ich utrzymanie; mimo to dziatwa przymierała głodna. Nieoszacowany o. Rotingo ustawiwszy w dwóch celach szafy, pełne przedziwnych konfitur i cu-

(1) Biblioteka Osolińskich, poczet nowy, t. V, r. 1864, Jan Klemens Branicki, przez Ludwika Nabielaka, str. 100. Matuszewicz (IV, 245), który wtedy bawił w Warszawie, opowiadając rzecz *ex auditu*, dopuszcza się przesady. Wedle niego Sołtyk „miał publiczną mowę, wyrażając to, że hetman w. k. tych, których ma przy sobie i którym najwięcéj konfiduje, ma zdrajców swoich domowych, podając w suspicyą Mokronowskiego, Starzeńskiego i pułkownika Węgierskiego.

krów, operował niemi doskonale, z wielką zręcznością, wymieniając je na dukaty. Był także mistrzem w innéj sztuce i jako wytrawny dystylator, przyprawiał cudownie likwory, wody pachnące, czekoladę, a uchodził za nader uczonego chemika i farmaceutę, co mu się wywdzięczało pięknym dochodem i pozwalało błogo płużyć w sukni zakonnika. Ojcowie Labini i Mariani, nie podzielając talentów towarzysza, nie zajmowali się niczém, lecz nie mogli się skarżyć na nudy, płynące z próżniaczego trybu życia, albowiem codzień, o czwartéj po południu zgromadzało się u jednego z nich liczne towarzystwo włoskich kupców, aktorów i pięknych kobiet.

Z takich to figur składało się w siódmym dziesiątku XVIII wieku warszawskie zgromadzenie zakonne Włochów - Teatynów, oddając się tém swobodniéj przyjemnościom światowego życia, że stało pod wysoką protekcyą samego króla JMci, a w odpowiedzi na wszelkie zarzuty mogło wskazać, iż wychowaniec jednego z członków zakonu pozyskał tron i koronę!

Gdy tylu płochych mnichów myślało tylko o sobie, jedynym niemal człowiekiem, który z gorliwością pełnił obowiązek czuwania nad kilku chłopcami oddanymi jego opiece, był Sirelli, krewny kardynała. Prócz niego godzi się wymienić zacnego Ormianina, Mikołajewicza, bez którego nie byłby mógł wcale istnieć rzekomy instytut wychowawczy, miał on bowiem zarząd nad owemi dwudziestu klatkami i czynił co mógł, aby rzecz nie doszła do ostateczności. Natomiast pseudo-nauczyciele, Francuzi, Niemcy i Włosi, byli istnemi karykaturami pedagogów; dopuszczano się téż w obec i względem nich wszelkich wybryków i niegodnego rozpasania, które nie miało granic, gdy Mikołajewicz uznojony całodzienną pracą twardo zasypiał. Do stołu z uczniami nie zasiadał żaden Teatyn; i nie dziw, albowiem spleśniały chleb, stęchła mąka, pomięszana z piaskiem kasza i resztki mięsa, składały się na pożywienie biednych dzieci.

Na szczęście od ostatniego niedostatku obronił siedmioletniego Michała, aniołem stróżem przezeń nazwany major Szuczkowski. Przeznaczył on mu do usługi szlachcica kaprala, imieniem Pawlusia, dał pieniędzy na herbatę i inne wydatki, lecz złe pożywienie klasztorne stało się przyczyną niebezpiecznéj choroby kamienia pęcherzowego, który wprawdzie wyszedł szczęśliwie, lecz wpłynął niepomyślnie na dalsze życie pacyenta.

Dbając tak mało o swych uczniów, byli jednak Teatyni bardzo tkliwi na głos opinii i tak dalece ambitni, że żadnemu z wychowawczych zakonów nie chcieli ustąpić pierwszeństwa. Mianowicie wzniecila się rywalizacya pomiędzy nimi a ich sąsiadami, Pijarami, którzy dzięki reformie Konarskiego, zażywali w kraju coraz większéj wzię-

tości. Ponieważ zaś uczniowie *scholarum piarum* przygotowywali się do przedstawienia polskiego dramatu bezpośrednio po ukończeniu aktu koronacyi,—przeto i Teatyni, nie chcąc pozostać w tyle, postanowili wystąpić również z widowiskiem dramatyczném, i to włoskiém; dla tego oddana pod ich opiekę dziatwa musiała zarzucić łacinę i francuzczyznę, a uczyć się na gwałt po włosku i wbijać sobie w głowę role w zaimprowizowanym widowisku. Wprzód jednak zaszedł w gmachu klasztornym wypadek, charakteryzujący ówczesny stan polskiego społeczeństwa. Antagonizm, jaki rozrywał wtedy Rzeczpospolitą, rozłączając ją na dwa wielkie stronnictwa, udzielił się nawet pacholętom, które przejmując od rodziców i krewnych ich sympatye i antypatye, zapłonęły niebywałą w tak młodym wieku namiętnością. Pomiędzy kilko i kilkunastoletnimi wychowańcami klasztoru wybuchła zacięta walka polityczna. Jedni z tych zuchów należeli do zapalonych stronników Stanisława Augusta, inni do zaciętych jego adwersarzy. Drudzy, wśród których nie brakło naturalnie bohatera naszego opowiadania, w skutek dziwnego braku tolerancyi zakonników, zostali wyłączeni od udziału w koronacyjnych uroczystościach.

Hetman powrócił do kraju, i już na dworze warszawskim żywiono błogą nadzieję, że przed nowém słońcem ugnie sędziwego kolana, a hołd tak wielkiego pana uświetni obrząd koronacyjny. Stało się inaczéj, bo dumny, choć przygnębiony klęską magnat odmówił przyjazdu do stolicy na koronacyą młodego szwagra; męzkie to postanowienie, jeśli możemy wierzyć naszemu pamiętnikowi, było skutkiem usilnych rad starosty brańskiego. Ten wiedząc co o nim sądzą w Warszawie, pragnąc uniknąć pierwszych wybuchów zawiści przeciwników, a zarazem poratować skołatany stan zdrowia, umyślił wraz z żoną i synem wyjechać do wód w Pirmont. Wyruszono tedy w drogę sześciokonnym powozem i dwoma brykami o czterech i dwu koniach, pełnemi wszelkiego rodzaju zapasów; sam starosta towarzyszył żonie konno, a za nim podążał wierny Pudkowski.

Pierwszym celem podróży był Iłowiec, dom 70-letniego kasztelana gnieznieńskiego, męża trzeciéj z kolei żony i ojca mnóstwa dzieci, które się mieściły w dwóch przyległych domach. Potrzeba wychowania wyjątkowo licznego potomstwa, przeszkodziła kasztelanowi w powiększeniu dziedziczonego majątku; mimo to nie zaciągnął długów, albowiem żył skromnie, a nie mając politycznéj ambicyi, nie potrzebował kaptować, karmić i upajać braci szlachty. Przyjazdowi brata ucieszył się bardzo; to téż podejmował go hojnie i nader gościnnie. Nazajutrz zasiadło do stołu czterdzieści osób obojga płci, złożone z synów gospodarza i ich żon, z córek i zięciów, a nad-

to grono prześlicznych panien kilkunastoletnich, które zamieszkali w sąsiedztwie rodzice powierzyli kasztelanowi, aby razem z jego dziećmi pobierały lekcye od nauczycieli języka francuskiego, niemieckiego i muzyki. Składano się na pensye dla metrów, gospodarz zaś ponosił koszta utrzymania.

W Iłowcu złożono walną naradę, w jaki sposób odbywać dalszą podróż. Starosta chciał jechać na samo miejsce własnemi końmi, lecz gdy pani starościna oświadczyła się za pocztą, zdanie jéj przemogło, albowiem pełen galanteryi mąż nie miał zwyczaju stawiać oporu kobietom; puścili się więc pocztą w towarzystwie synowca starosty, umiejącego po niemiecku, panny Jabłonowskiéj i służącego Niemca.

Nie będziemy przytaczali szczegółowego opisu téj przykréj peregrynacyi, w ciągu któréj p. Starzeńskiemu nieraz zapewne przyszło żałować poddania się woli małżonki, ani opowiadali o zdzierstwie niegodziwych celników Fryderyka II w Berlinie i o wielkiéj rewii, urządzonéj przez tego króla. Sam pobyt w Pirmont nie nastręcza dla dzisiejszego czytelnika nic zajmującego; dość powiedzićć, że starościc po smutnych doświadczeniach dawniejszych lat, spędzone tu wśród niekrępowanéj swobody tygodnie, zaliczał do najszczęśliwszych chwil w życiu.

W powrocie wstąpili nasi podróżni do Drezna, gdzie od zamieszkałych Polaków i niemieckich znajomych doznali jak najgościnniejszego przyjęcia, poczém przez Wrocław zjechali do Białegostoku. Hetman upadający pod ciężarem lat i smutnych zawodów, odczuwał boleśnie nieobecność powiernika, do którego rady i pomocy był przywykł, a na zdolnościach i prawości charakteru polegał, mimo przeciwnych podszeptów i własnego, chwilowego zniechęcenia. Sprawy wojenne znajdowały się dotąd w zawieszeniu, z powodu oczekiwanych na tém polu zmian; zresztą na dworze hetmańskim wszystko szło dawnym trybem, choć w skutek niedawnéj katastrofy nie tak swobodnie i wesoło, jak przedtém. Pewien przymus wywołało téż podobno zjawienie się na nim dwóch postaci: Andrzeja Mokronowskiego, ozdobionego orderami św. Stanisława i orła białego, mianowanego brygadyerem z pensyą odstawną i Jakubowskiego, Polaka, który spędził życie we Francyi. Pierwszy starosta brański wpadł na myśl, że Mokronowskiego, który oddawna już odgrywał dwuznaczną rolę, wysłał dwór warszawski, jako swego pełnomocnika, który-by uchodząc za malkontenta, tém większe mógł oddawać sprawie królewskiéj usługi. Jakubowski, przydany mu do boku, miał pełnić téż same obowiązki. Mokronowski, znany ze stosunku z hetmanową, jeden z najpiękniejszych mężczyzn w Eu-

ropie, przebył tyle dziwnych przygód, co Don Kiszot,—towarzysz jego miał celować dowcipem i ułożeniem Sanszo-Panszy. Ostatni, ożeniwszy się w Warszawie, pod tym pozorem jeździł tam i napowrót, a zarazem komunikował generałowi wiadomości, których nie można było powierzać poczcie. Naprożno jednak usiłowali obydwaj pozyskać hetmana obietnicami najwyższych łask nowego dworu; odrzucił on stanowczo wszelkie ofiary, a przezorniejszy niż sądzono, oceniając należycie postępowanie rzekomych przyjaciól, trzymał się od nich zdala, cały zaś wpływ i rząd zostawił w ręku pisarza wojska kor.

Dalszém wychowaniem starościca zajął się jego stryj, Melchior, który w zakonie oo. Jezuitów zajmował był wysokie stanowisko. Trudno było o szczęśliwszy wybór, albowiem zakonnik ten odznaczał się głęboką nauką i talentem pisarskim (tłómaczył z francuskiego i włoskiego, niemniéj pisywał gładkie wiersze), a co najważniejsza, wielkim taktem w postępowaniu i darem pedagogicznym. Można było państwu Starzeńskim powinszować takiego nauczyciela, gdyż tylko człowiek téj powagi, co o. Melchior, mógł wpłynąć zbawiennie na swawolny umysł znarowionego malca, ująć go w należne karby i pokierować nim umiejętnie zarówno pod umysłowym, jak moralnym względem. Zacny stryj umiał hamować żywość wybuchów bratanka i zwracać ją na właściwe tory, umiał wpoić w niego zamiłowanie do nauk i szlachetny zapał do pracy. „Jeżeli umiem cokolwiek—przyznaje wdzięczny uczeń—zawdzięczam to metodzie stryja“. Znajomość języka francuskiego i włoskiego ułatwiła mu wydoskonalenie się w łacinie; zamiast obciążać pamięć gramatycznemi prawidłami, kazał mu nauczyciel tłómaczyć z łacińskiego na polskie i odwrotnie. Owa metoda okazała się w praktyce tak skuteczną, że już po dwóch latach mógł pojętny chłopiec czytywać w oryginale Owidyusza, Cycerona, Tacyta itd.

Stanowisko ojca ułatwiało nadto synowi bliższe zapoznanie się z przedmiotami, obcemi dla uczonego Jezuity. Oficerowie biegli w geometryi, rysunku i wojennéj architekturze, oraz Sękowski, cywilny budowniczy, pozwalali mu korzystać ze swych lekcyj, dzięki czemu stawiając późniéj wiele budynków, nie potrzebował nigdy architektów. Od kapitana Pleinera, Sasa, uczył się konnéj jazdy od Czecha Wakulskiego sztuki robienia bronią, od kapitana piechoty, Prusaka, musztry pieszéj Były generał francuski, Inflantczyk, Trzeciak, dostarczał mu wyborowych dzieł o historyi taktyki wojennéj; to téż po trzech latach pobytu w Białymstoku został starościc kadetem dragońskiego pułku, przywdział mundur porucznika i w tym charakterze przeniósł się do pałacu. Tutaj zajmował go wyłącznie

ojciec, dyktując mu wszystkie korespondencye biura wojennego, nadto przekazując wygotowywanie kopij i utrzymywanie dziennika, który nosił hetmanowi do podpisu. Z nastaniem wiosny cała młodzież Białostocka odbywała piesze ćwiczenia; nasz młodzieniec pełnił tu najprzód obowiązki kaprala, następnie zaś adjutanta przy zacnym instruktorze kapitanie Melitzu.

Przed porą przeniesienia do pałacu, zajmował on wraz z o. Melchiorem pierwsze piętro domu, wystawionego przez Branickiego, za młodych lat dla pewnéj mieszczanki, która następnie wyszła za wójta Białostockiego. Dwie wielkie stajnie, przytykające do domu, przeznaczono na zajazd dla gości, na dole zaś mieściła się gospoda, w któréj obiadowały zwykle osoby świéżo przybyłe, zanim je wezwano na dwór hetmański. Wieczorem zgromadzali się tam oficerowie i urzędnicy biura wojennego, ażeby wytchnąć po całodziennych trudach i rozweselić się kielichem w godzinach, gdy już nie czuwało nad nimi baczne oko pogrążonego we śnie hetmana. Widok tych ludzi, poważnych wiekiem i służbą, składających hołdy Bachusowi, tak wielkim wstrętem przejmował starościca, że przez całe życie miał niewstrzemięźliwość w obrzydzeniu.

Nie zapuszczając się w opis politycznych wypadków, wspomnimy tylko o jednym z epizodów konfederacyi barskiéj, który się rozegrał niemal pod oczyma autora naszego pamiętnika, i stąd téż utkwił silnie w młodocianéj jego pamięci. Na Podlasiu połączyło się z sobą kilku marszałków, dowodzących powiatowemi konfederacyami, a ich drobne oddziały złożyły się na poważną stosunkowo siłę trzech tysięcy ludzi, z tych przynajmniéj siedmiuset żołnierzy należało do wojska księcia Karola Radziwiłła, jemu téż zawdzięczano ośmnaście dział i nieco amunicyi. Wszyscy ci konfederaci mieli równocześnie podstąpić pod Białystok i uprowadzić hetmana, wraz z dwoma pułkami koronnemi, dwiema kompaniami piechoty węgierskiéj i janczarskiéj, wraz z sześciu setkami jazdy, będącemi na własnym jego żołdzie.

Branicki uwiadomiony doskonale o konfederackich zamysłach, wydał stosowne rozkazy pisarzowi wojska kor. Chodziło przedewszystkiém o to, aby nie dopuścić, iżby wojsko koronne walczyło jawnie przeciw Rosyanom. O świcie podążyła mała armia hetmańska na pozycyą, jaką jéj wypadało zająć pomiędzy konfederatami a wojskiem rosyjskiém. Oddział kniazia Galicyna odbył przyśpieszony pochód celem zaskoczenia przeciwnika jeszcze w nocnym obozie, lecz spóźniwszy się podczas przeprawy przez Narew, stanął na miejscu dopiero o godzinie siódméj. Konfederaci natarłszy nań, gdy wychodził ze wsi, zmusili go do cofnięcia się wgłąb błotnistego

lasku; ustawione na sąsiedniem wzgórzach działa, dawały ognia aż do wieczora. Wtedy hetman z powodu późnego wieku i trudnego położenia nie chcący uczestniczyć bezpośrednio w wypadkach, musiał ustąpić niecierpliwości wojsk koronnych, dotychczas bezczynnych i niemych widzów bitwy, a oburzonych okrucieństwem rozpojonego kozactwa; dwustu ludzi z czterema działami poszło w charakterze eskorty parlamentarza, generała Puget. Galicyn stracił wielu ludzi i niemal wszystkie konie; zewsząd otoczony mógł był dostać się do niewoli, lecz konfederaci zaprzestawszy kanonady, położyli koniec zwycięzkiéj walce. Cofnęli się spokojnie, nie mając zaś wodza, ani organizacyi, chybiwszy celu wyprawy, rozłączyli się, a każdy marszałek poszedł swoją drogą.

Ludzie hetmańscy pogrzebali zabitych i pośpieszyli na pomoc rannym; pomieszczono ich w teatrze i w innych budynkach, opatrzywszy wszystkich dość wcześnie. To téż z wyjątkiem może dziesięciu, wkrótce powrócili ranni do zdrowia, i obdarzeni hojnie, opuszczali miejsce chwilowego przytułku; nasz starościc sam sporządzał spis rozdzielonych zasiłków i pasportów, dawanych wyjeżdżającym. W ogólności przyznać trzeba, że lubo zgrzybiały hetman nie przystąpił do konfederacyi, któréj chaotyczność i niedołęztwo nie rokowały w jego oczach powodzenia, jednakże roztropném postępowaniem sprawił wiele dobrego, a mianowicie w epoce powszechnéj ruiny, zachował od zniszczenia dawne województwo podlaskie, to jest powiaty: drohicki, bielski i mielnicki, oraz część Litwy, sąsiadującéj z Białymstokiem. To téż gdy w r. 1773 zgasł bez choroby i bez cierpień, żal po téj niepowetowanéj stracie, był serdeczny i głęboki, a pogrzeb ostatniego potomka sławnego rodu Gryfów Branickich należał do najwspanialszych, jakie kiedykolwiek widziała Rzeczpospolita.

Był to ostatni odblask świetności dawnéj hetmańskiéj rezydencyi; miejsce, gdzie jeszcze świéżo wrzało życie, walczyły namiętności, jaśniał przepych—zaległy wkrótce pustka i milczenie. Niemal nazajutrz po pogrzebie pana tych murów i włości, wypróżnił się i ucichł Białystok do niepoznania. Pułk piechoty liniowéj, przywiązany do godności hetmana, otrzymał rozkaz ruszenia do Lwowa, jazdę wyprawiono do Warszawy, piechotę węgierską i janczarską do Lubomli (?). W Białymstoku pozostali nadal tylko inwalidzi, niezdolni do czynnéj służby, mający tutaj rodziny i domy, jak saski major Klewin. kapitani Boniatowicz i Dessein, porucznicy: Piramowicz, Makomaski, Sobolewski i Makowski: natomiast wyjechali podpółkownicy Zabużański, Abselowicz, kapitan Sękowski, adjutant hetmana i inni. Pan pisarz wojska koronnego przestrzegał bacznie

porządku i czuwał nad tém, aby pojedyńcze oddziały wojska wyruszały w drogę dobrze zaopatrzone, nie mając nic do żądania od dotychczasowéj zwierzchności, oddawał im dzienniki i archiwalne zbiory.

Kurdwanowski, jeden z najstarszych przyjaciół Branickiego, przez śmierć jego utracił dobrodzieja, generał Puget nie mogąc się rozstać z miejscem długoletniego pobytu, wziąwszy dymisyą, zamieszkał w Białymstoku. Ks. Betański, po Becku sekretarz cudzoziemskiéj ekspedycyi, człowiek zacny i ze wszech miar zasłużony, otrzymał probostwo w Tyczynie jeszcze za życia hetmana. Ten nagradzając wierną i nieskazitelną jego służbę, kazał mu wybudować pałacyk wedle planu, jaki sobie sam wyrysował, z innemi bowiem talentami łączył biegłość w malarstwie i architekturze. W kilka lat późniéj znakomite jego zalety wyniosły go na biskupstwo przemyskie. Lekarz nadworny, który czterdzieści lat spędził przy boku hetmana, rodowity Węgier, nazwiskiem Klemens, przeniósł się do Żabina, majątku otrzymanego w nagrodę za wierną służbę. Wyjechała również orkiestra, aktorzy i balet. Słowem wszyscy dawniejsi słudzy i urzędnicy Branickiego pozostali na miejscu lub wyruszyli w świat, zadowoleni ze swego losu, bez pretensyi i żalu do ludzi.

Administracya dóbr zmarłego hetmana była wzorowa; przynosiły one do trzechkroć stu tysięcy florenów rocznego dochodu. Dzierżaw i dzierżawców nie było tu wcale. Potrzeba się było urodzić w służbie Branickich, wychować pod okiem i kosztem hetmana, przebyć młodość przykładnie, w różnych okazyach złożyć dowody rozsądku, kilka lat spędzić pod nadzorem starego komisarza, człowieka wypróbowanéj uczciwości, a dopiero taka przeszłość zjednywała zaufanie. Wsie Ruszcza, Branice i Tyczyn zostawały pod zarządem stryja naszego bohatera, który się ożenił z siostrą znakomitego poety, Ignacego Krasickiego; Tykocin, Choroszcza i Sobolewo pod rządami komisarza Gierzkowskiego. Olbrzymiéj postaci dawny kapitan Otocki piastował godność admirała floty Tykocińskiéj, złożonéj z dwudziestu statków, a zaopatrzonéj w śpichlerze, zdolne pomieścić pięćdziesiąt tysięcy korcy zboża, spławianego co roku do Gdańska.

Ponieważ włościan nie przeciążano pracą i nie wynajdowano nowych pomysłów dla ich uciemiężenia, przeto byli zadowoleni ze swego położenia i spokojni. Zimą przywozili zboże w ziarnie do składów admiralicyi; admirał na czele naładowanéj floty przybywał do Gdańska, a sprzedawszy zboże, wracał do domu z kilkunastu tysiącami czerw. złotych i z zapasami kolonialnych towarów na rok cały. Po opędzeniu wszystkich wydatków, zostawało na 24 czerwca każdego roku piętnaście do dwudziestu tysięcy dukatów.

III.

Wyjazd z Białegostoku i pobyt za granicą.

Na dwa lata przed zgonem hetmana, jak się zdaje, skutkiem wytężonéj pracy, zapadł starosta brański niebezpiecznie na oczy i z poradą lekarzy pojechał na kuracyą do Paryża, w towarzystwie oficera polskiego, rodem Szweda a nazwiskiem Szulca. Ale głośni okuliści francuscy nie poznali się wcale na rodzaju choroby i tak go dręczyli lekarstwami bez najmniejszego skutku, że byłby może z ich łaski zupełnie wzrok utracił, gdyby nie roztropna rada jakiegoś zakonnika, by co prędzéj porzuciwszy stolicę świata i uczonych eskulapów, a przedewszystkiém przystrzygał włosy u powiek w miarę, jak będą rosły, gdyż zapalenie powstało w skutek drażnienia temi włosami nerwów, a bez zalecanego przystrzygania musiałoby pozostać nieuleczoném. Słowa prostego mnicha trafiły od razu do przekonania pacyenta; jakoż puściwszy się niezwłocznie w drogę, dojechał do Gdańska, tu jednak ciężko zaniemógł, i tylko staraniom włoskiego lekarza księżnéj Sanguszkowéj zawdzięczał ocalenie. Przybyła do niego żona, z którą razem po wyzdrowieniu powrócił do domu.

Wtedy już przewidując bliski koniec swego dobrodzieja i polityczne wypadki, a z właściwą sobie bystrością widząc, że bez krewnych w okolicy, bez obowiązanych przyjaciół, których mu się nie udało zjednać, nie wesołym byłby dalszy żywot jego w tych stronach, umyślił się przenieść do galicyjskiéj swéj posesyi Olejowa. Tymczasowo zamieszkał w majętności, nabytéj przez siebie, a oddalonéj o trzy mile od Białegostoku, w Strabli, gdzie zdala od gwaru publicznego życia pragnął pędzić dni, oddany literaturze, gospodarstwu i sielskim rozkoszom. Jedyną, nadzwyczajną nagrodą, jaką otrzymał od hetmana za czterdziestoletnią służbę, był udzielony mu z pozwoleniem Augusta III, tak zwany *consensus ad cedendum* na jego korzyść starostwa brańskiego, z sądownictwem w powiatach bielskim i goniądzkim. Od wielu już lat pełnił obowiązki starosty, bądź to osobiście, bądź przez trzech bezinteresownych i nieskazitelnych sędziów; to téż nie zdarzyło się nigdy, aby trybunał zniósł w owéj porze wyrok dwóch tych grodów. Wiemy już, że niezbyt hojny hetman zatrzymał sobie do śmierci dochody starostwa, staroście zaś przeznaczył tylko łąkę o 40 morgach, która przynosiła rocznie sto wozów wybornego siana. Żywił niém pan pisarz wojska koronnego swe konie rasowe, umieszczone w Jeżewie i Złotoryi, albo-

wiem Strabla była jeszcze wtedy bagnem. Dopiero z chwilą śmierci hetmana, wszystkie dochody starostwa, przechodziły na jego własność.

Z tego wiejskiego zacisza wyrwał starostę bardzo rychło pełen uprzejmości list owdowiałéj hetmanowéj, wzywający go najgrzeczniéj do stolicy. Przybywszy do Warszawy wraz ze synem, zastał Starzeński u pani Branickiéj Joachima Chreptowicza, podkanclerzego w. ks. lit., Andrzeja Mokronowskiego, który pod koniec życia hetmana nie pokazywał się w Białymstoku, ks. Orłowskiego, pijara, który poprzednio zarządzał ogrodem na Zoliborzu, tuż pod Warszawą, oraz Stanisława Karwowskiego. Starostę przyjęto jak najserdeczniéj i poproszono o wzięcie udziału w roztrząsaniu nowego planu gospodarczéj administracyi dóbr pani krakowskiéj. W towarzystwie tem uchodził podkanclerzy za najbieglejszego w teoryi ekonomii, wolnéj od dawnych przesądów; pijar zaś, wsławiony jako ogrodnik, był jego wiernym poplecznikiem. Karwowski najprzód pisarz w biurze wojenném białostockiém, następnie sędzia brański, zajmował się sporządzeniem sumaryusza sądowego archiwum; nie miał on tu wcale wpływu, ani znaczenia.

Komisya ta rozpoczęła swe obrady, a do prowadzenia protokułu wzięto szesnastoletniego starościca, z powodu jego wprawy w szybkiém pisaniu. Większość jéj, stojąca pod wodzą nie wątpiącego o niczém Chreptowicza, żądała odprawienia wszystkich dawnych urzędników i gospodarskiéj służby hetmana, jako niezdolnych do wykonywania przepisów udoskonalonéj metody agronomicznéj— ułożenia sądowéj obrony przeciw osobom, które będą rościły prawo do spadku po zmarłym bezpotomnie, ostatnim z rodu hetmanie (w téj kwestyi otrzyma Karwowski wskazówki i rozkazy od podkanclerzego), sprzedania w jak najkrótszym czasie przepysznego doskonalonego w ciągu wieków, stada złożonego z czterystu koni, a nabycia natomiast mułów i osłów—w końcu uczynienia pomiarów wszystkich dóbr, mianowicie gruntów włościańskich, oczekując ztąd potrojenia dochodów.

W przeciwstawieniu do powyższéj propozycyi, dał starosta brański treściwy obraz majątków zmarłego hetmana; wspomniał, że dostojna wdowa straci rzeczywiście dochody, przywiązane do hetmańskiego urzędu, lecz natomiast oszczędzi sobie wydatków, wypływających z tegoż samego powodu. Zamiast obrony sądowéj i odpornéj akcyi przeciw Potockim, jako spadkobiercom hetmana (1),

---

(1) Dziedziczyły po Branickim dzieci Piotra Potockiego, starosty szczerzeckiego i córka po Janie, staroście Kaniowskim.

należałoby raczéj próbować przyjaznego porozumienia i jeśli można. w jednéj chwili przeciąć niepokończone procesa; starosta gotów osobiście przyłożyć ręki do zawarcia zgody, nie myśli zać wcale doradzać wojny na pióra. Przeciw sprzedaży stada oświadczył się stanowczo. Tak ważnéj zmiany nie godzi się zaprowadzać bez porozumienia ze spadkobiercami, zwłaszcza, że są osobne fundusze, przeznaczone na utrzymanie stada, sprzedaż zaś jest nieuzasadnioną i nie przyniosłaby oczekiwanych korzyści—koń arabski lub turecki zawsze będzie cennym, wartość zaś muła i osła pozostanie stale nizką, Ogólny wymiar gruntów, oraz wszelkie zmiany tak tyczące się folwarków, jak powinności włościan, mogłyby tylko sprowadzić nieład i zamęt, a przyniosłyby tém większą szkodę, jako podjętę nie w dziedzictwie, lecz w dożywotniéj posesyi cudzéj własności.

Trafne te argumenta sam jeden Mokronowski przyjął głośném uznaniem; inni milczeli. Podziękowano staroście grzecznościami, obietnicą orderów i urzędów, których on nie przyjął, oświadczając, że jako o jedyną nagrodę, prosi o względy kasztelanowéj krakowskiéj.

Wkrótce potém na wyraźną zachętę téj pani, wysłał Starzeński do Lipska swego syna wraz z osieroconym już Janem Węgierskim. Po pełnéj drobnych przygód podróży stanęli obaj najprzód w Warszawie, gdzie starościc widział cały dwór a na nim piękne twarzyczki z pensyi Soucheta—następnie zaś w domu sędziwego, lecz zawsze jeszcze czerstwego stryja, w towarzystwie powabniejszych z każdym dniem pensyonarek. Ostatnie dni karnawału spędzili młodzi podróżni w Poznaniu, a najlepiéj bawili się na wielkiéj reducie maskowéj. Pan Michał, lubo niedawno wyrósł z lat chłopięcych, wedle własnych słów znał już maskarady, to téż intrygował wszystkie kobiety, nie szczędząc praktykowanych przy tém konceptów i dowcipów. W końcu zabawy, gdy już publiczność po większéj części rozeszła się do domu, pozostali zdjęli maski i zawiązał się pomiędzy nimi stosunek znajomości. Starościc spotkał tu wuja, Ksawerego Rostworowskiego, miał zaś zajście z młodym Krzyckim, przybyłym świeżo z Paryża, który mu podobno pozazdrościł względów własnéj siostry. Zręczny i cięty wychowaniec Białegostoku, wsparty powagą wuja i młodych wojskowych, których sobie potrafił ująć, upokorzył przeciwnika, zniewalając go do uznania błędu, lecz przysporzył sobie w nim skrytego wroga, jak bowiem sam pięknie mówi, nie należy nikogo poniżać.

Nazajutrz przedstawili się nasi młodzieńcy w pierwszych poznańskich towarzystwach: u pani Gurowskiéj, kasztelanowéj przemęckiéj, u Mycielskiego, starosty koźmińskiego, Górzeńskiego i wie-

lu innych. Zapoznali się także z „miłemi“ pannami Chłapowskiemi, które przyjechały na karnawał w towarzystwie krewnych. Wymogły one na młodych turystach przyrzeczenie, że odwiedzą Turwią, rezydencyą ich ojca, kasztelana międzyrzeckiego; i wprzód jednak pospieszyli do Gołuchowa, do Rostworowskiego, dziada Michała, szanownego i uczonego starca, który spędziwszy całe życie na dworze Augusta II i III, po śmierci ostatniego usunął się w zacisze domowego życia z tytułem szambelana i tajnego radzcy. Ośmioletniego wtedy jedynaka sam wychowywał, podobnie jak poprzednio zajmował się edukacyą dwóch synowców. Z towarzystwa i rozumnych jego rad wiele skorzystali młodzi podróżni; podziwiali w Gołuchowie wzorowe gospodarstwo, czystość i zamożność w chatach włościańskich, suszenie bagien, wybicie kanałów, ogrody, plantacye; otrzymali od hojnego gospodarza wyborowe dzieła o rolnictwie, listy polecające a nawet jako przewodnika i towarzysza podróży jego własnego synowca, Ksawerego, który znał Saksonią równie dobrze jak Wielkopolskę.

Spełniając obietnicę, wstąpili do Turwi. Znaleźli tutaj oddanego Bachusowi kasztelana, jego dwie córki i prześliczną krewną, bez matki lub guwernantki, i zepsutego brakiem nadzoru kasztelanica. Stary Chłapowski dorobiwszy się znacznego majątku i senatorskiéj godności, spoczywał na laurach i folgował bez skrupułu swym nałogom. Niedość na tém; dwa razy dziennie zgromadziwszy całą służbę i wszystkich obdartusów, jakich mu się udało spędzić, kazał im odmawiać pacierze i psalmy. Taki tryb życia gospodarza domu nie mógł być przyjemnym młodemu towarzystwu. Na szczęście uraczywszy się obficie, szedł on spać już o siódméj wieczorem, a wtedy rozpoczynała się dopiero zabawa młodych. Korzystając z dogodnéj sposobności, wyprawił kasztelan do Lipska razem z gośćmi własnego syna.

Stanąwszy u celu podróży, przedstawili się młodzieńcy osobom, do których mieli listy polecające, a więc rektorowi uniwersytetu, dyrektorowi biblioteki, redaktorowi słynnéj Gazety literackiéj, w jednéj osobie, imieniem Bel, dyplomacie angielskiemu lordowi North, tajnemu radzcy Kaudenbachowi, byłemu rezydentowi obydwóch Augustów saskich w Hadze i w Londynie, bankierowi Fregne i innym; nadto mieli rekomendacye do barona Schönfeldt, słynnego z pism agronomicznych. Zarówno Starzeński, jak Węgierski, rozporządzali kwotą po 220 dukatów rocznie; otrzymywali z banku na raz po 50 cz. zł. a z każdego wydatku musieli się co miesiąc wyrachować. Ta potrzeba ciągłych obliczeń wraz z nadzorem bankiera, skłaniała ich do porządku. Natomiast Chłapowski wziąwszy za ukaza.

niem wekslu poznańskiego bankiera całą gotówkę, żartował sobie z towarzyszów, zapominając o francuzkiém przysłowiu: *rira bien, qui rira le dernier.*

Niedługo po przybyciu do Lipska otrzymali niespodziane odwiedziny marszałka dworu księcia Józefa Aleksandra Jabłonowskiego, wojewody nowogrodzkiego; dał on wyraz zdziwieniu swego pana, że przyjechawszy z Polski, i to z Białegostoku, dotychczas nie byli u niego. Na przymówkę odpowiedzieli grzecznie młodzieńcy, że skoro się urządzą w domu, nie omieszkają złożyć uszanowania księciu, jakkolwiek co prawda nie bardzo łaknęli odnowienia téj znajomości z powodu dumy, uczonéj pedanteryi i dziwactw magnata. Po raz pierwszy widzieli go w r. 1764 w Białymstoku, gdy hetmanowi wręczał urzędownie, nadany mu przez Ludwika XV order złotego runa.

Książę przygotowywał się do tak pięknego obrzędu z hiszpańską wystawnością, a wystąpił w przepysznym stroju kastylijskiego granda i z powagą prawdziwego Kastylijczyka dekorował Branickiego, któremu to odznaczenie miało osłodzić gorycz doznanego ze strony Francyi zawodu. Podczas ceremonii miał Jabłonowski czas zwrócić oko na jednę z panien honorowych hetmanowéj. Ujęty jéj wdziękami, ponieważ nie był podobno najszczęśliwszym w pierwszém małżeństwie, uważał za właściwe zaślubić pannę dobrze wychowaną, która będąc ubogą, zawdzięczałaby mu wszystko. Jakoż ta druga żona w braku posagu wniosła mu tytuł księżniczki Woronieckiéj. Bardzo bogaty, ozdobiony mnóstwem orderów, członek wielu akademij, autor licznych dzieł, dzięki pochlebstwom, jakich mu nie szczędzili uczeni w zamian za obiady i hojne dary—nabrał o swéj wielkości nadzwyczajnego wyobrażenia. Za największą swą zasługę uważał słusznie wydanie własnym nakładem sławnéj mapy Polski Zanoniego, za najznakomitsze zaś dzieło *L'empire des Sarmates.* Odbywał długie i dalekie podróże, zanim osiadłszy w Lipsku, zakupił tu piękny dom na przedmieściu i założył pożyteczną do dnia dzisiejszego instytucyę pt. *Societas Jablonoviana.*

Po przypomnieniu książęcego marszałka, wizyta u Jabłonowskiego stała się konieczną. Przeprowadzono obydwóch gości przez tłum służby, wyłącznie polskiéj, lecz przybranéj po turecku, węgiersku i mołdawsku, poczém zatrzymał ich marszałek dworu uwagą, że się spóźnili o kilka minut, ponieważ zaś książę tak rozłożył godziny, że każda minuta ma swe przeznaczenie, przeto poprosił, aby zechcieli zaczekać w sali cesarzów. Był to długi pokój na trzeciém piętrze, pełen wizerunków cezarów rzymskich, prawdziwych karykatur, pomalowanych na błękitno. Tu ich przyjął Jezuita, znany im z Biełe-

gostoku, oświadczając, że wojewoda nowogrodzki zjawi się niebawem na posłuchanie, a zarazem dodał, że uprzejmy gospodarz czyni dla nich jedyny wyjątek, albowiem z zasady nie przyjmuje u siebie studentów. Jakoż nie kazał na siebie czekać zbyt długo; był nader ugrzeczniony i rozprawiał wiele o swych naukowych zajęciach. Zręczny starościc brański mówił o Jadźwingach i starożytnych mieszkańcach Podlasia, o ich zamkach, o pomiarze i katastrze, o którym wiedział z ojcowskich rękopismów, w końcu choć nieszczerze prosił go o radę i opiekę. Słowa te wprawiły księcia w dobry humor, niebawem ukazała się księżna z książką i poszytem w ręku. Poznała ona natychmiast dawnych znajomych z Białegostoku, ci zaś śledzili bacznie, jakie wrażenie na pięknéj kobiecie sprawi przypomnienie dawnych chwil swobodnych, w porównaniu z dzisiejszą niewolą i narzuconą powagą. Biedna kobieta musiała wygłosić lekcyą przy pomocy zeszytu; młodzieńcy powinszowawszy jéj postępów, skrócili odwiedziny, aby dłużéj nie być świadkami bolesnego przymusu. Książę zaprosił ich raz na zawsze na posiedzenia literackie, poprzedzane co tydzień obiadem.

Rektor uniwersytetu, Bel, przekonawszy się o stopniu wykształcenia obydwóch Podlasian, uwolnił ich od lekcyj publicznych, co nam się dziś wydaje dziwném, lecz znajduje poniekąd wytłómaczenie w korzyści, jaką ciągnął z wolnego czasu uczniów. Zajmował on urząd naczelnego cenzora ksiąg, przesyłanych ze wszech stron świata dla sprzedaży na jarmark lipski, z każdego dzieła pobierał trzy egzemplarze: dla biblioteki elektorskiéj, uniwersyteckiéj i dla siebie. Uwolnieni od publicznych prelekcyj młodzieńcy, chętnie mu dopomagali w mozolnym trudzie cenzorskim, czytając książki, zaznaczając ustępy jaskrawsze lub pod jakimkolwiek względem zasługujące na uwagę, wreszcie robiąc wyciągi. Praca ta zaprzątała ich w ciągu dwóch godzin rannych dziennie (od 9 do 11-ej), poczem następowała lekcya robienia bronią i obiad. Od drugiéj do czwartéj po południu brali lekcye matematyki u profesora Borka, od 4—6 zaś lekcye fizyki; druga godzina należała do publicznych prelekcyj.

Więcéj może, niż wykłady profesorów z katedry, rozwijało wrażliwy umysł młodzieńca obcowanie z ludźmi rzetelnéj nauki i znajomości świata. Nie brakło mu tak korzystnych znajomości, lubo nie z wszystkich poleceń, przywiezionych z kraju, mógł tutaj korzystać. I tak przywiązywał wielką wagę do stosunków z głośnym autorem agronomicznym, który przytém jako gospodarz zażywał niemałéj sławy, to jest z hr. Schönfeldem. Ale gdy wyraził chęć zwiedzenia jego wzorowo urządzonych folwarków, których nazwy były wyliczone w książce pod wizerunkiem sławnego męża, odpowiedziano

mu, że wszystkie jego dobra przeszły już w inne ręce, albowiem zaprowadzając coraz to nowe reformy, musiał na nakłady sprzedawać jednę wieś po drugiéj. Między najkorzystniejszemi dla starościca znajomościami należy wymienić sędziwego barona Kaudenbacha, któremu przedłożyl świetne rekomendacye w listach samego króla Stanisława Augusta i Brühla (syna), generała, artyleryi koronnéj. Stary dyplomata po wystąpieniu ze służby żył w Lipsku z jedyną córką, dawno już dojrzałą, lecz wysoce ukształconą i bardzo miłą; młodego Starzeńskiego tak wkrótce polubił, że go zaprosił na stałego gościa wieczorów przez nią urządzanych o siódméj, dwie zaś poprzedzające godziny spędzał z nim sam na czytaniu i grze w szachy. Drwiła młodzież z tych samotnych i jak mniemano, nudnych posiedzeń żywego i rwącego się do życia studenta z sędziwym ex-rezydentem, lecz on mimo młodości był dość roztropnym, aby zrozumiéć, ile ów czas, na pozór marnie spędzony, przyczynia się do jego wykształcenia i umysłowego rozwinięcia. To téż z niewyczerpaną i w tym wieku zadziwiającą cierpliwością czytywał przezorny starościc swemu poważnemu towarzyszowi, pisał pod jego dyktowaniem, notował czynione przezeń uczone i rozumne spostrzeżenia i uwagi, odnoszące się do historyi wieku, do spraw ogólno-europejskich, konstytucyi cesarstwa niemieckiego, dziejów Polskich itd. Tak czynny współudział w pracy światłego i wytrawnego statysty, wpływał bardzo zbawiennie na młody umysł. Po zajęciach naukowych i grze w szachy następowała zabawa w salonie i świetna zwykle kolacya, albowiem baron był bardzo bogaty, posiadał znaczne kapitały w holenderskich i angielskich bankach, oraz nieoszacowane zbiory drogich kruszców, medalów, rycin, starych sreber itd.

Nie tak korzystnie spędzał czas młody Chłapowski, który od swych towarzyszów nierównie mniéj umiał, żartował sobie z ich pilności i pędził hulaszczy żywot. Przyszło nawet między nimi do gwałtownego zajścia, z którego starościc wyszedł obronną ręką jako silniejszy fizycznie i rębacz nielada, już bowiem w Białymstoku nauczyciel robienia bronią Michelis i jego pomocnik, Pasek, uważali go za trzeciego z rzędu pomiędzy swymi uczniami.

Jednostajność nauk i zajęć naszych studentów przerwał przyjazd nowego towarzysza, Komarzewskiego, poleconego im gorąco listami z Warszawy. Był to człowiek już nie młody, liczył bowiem lat 40, jeśli nie więcéj, wysłany z Galicyi na naukę przez generał-majora i ulubieńca Stanisława Augusta, który chciał choć późno uzupełnić edukacyą brata i dać mu tém samém możność zajęcia wyższego stanowiska w społeczeństwie. Lubo brakło przybyszowi wyższego ukształcenia, miał wrodzoną żywość umysłu, dowcip i miły hu-

mor; dotychczas pędził życie wesoło i bez kłopotów, jako plenipotent majątku pewnego galicyjskiego magnata. W Lipsku oddał się szczególniéj matematyce, wojennéj architekturze i inżynieryi, przy czém musiał się tém pilniéj przykładać do pracy, że z obcych języków umiał tylko jeden łaciński. Spędziwszy tutaj rok, wedle planu brata równie długo miał zabawić w Strasburgu, następnie zaś podróżować. Węgierski, jako niezależny, postanowił mu towarzyszyć; tą samą chęcią oddychał starościc, napisał nawet w tym celu do ojca i dziada Rostworowskiego. Jakoż ostatni przysłał już wnukowi weksel na pięćset dukatów, aby się mógł puścić w drogę, skoroby otrzymał ojcowskie pozwolenie. Ale niecierpliwie oczekiwana odpowiedź starosty nie wypadła pomyślnie. Donosił on, że syn uprzedza jego zamiary względem swéj przyszłości; tém nieszczęśliwszym czuje się przeto, że będąc przybyszem w Galicyi, narażony na tysiączne przykrości i kłopoty z powodu zniesienia starych praw a wprowadzenia nowych, nie mając przytém doświadczonego pełnomocnika, na którym by mógł polegać, zniewolony jest do liczenia na pomoc syna. W końcu przyrzeka nawzajem zająć się o tyle jego losem, aby nie żałował poniesionéj ofiary.

Bez wahania zastosował się młodzieniec do ojcowskiego życzenia; w trzy dni późniéj nie było go już w Lipsku (1).

K. Kantecki.

---

(1) Pisałem w r. 1884, przed wyjściem *Złotéj Księgi*, w któréj p. Włodz. Kozłowski pomieścił artykuł o Starzeńskich.

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

II.

Oj, dawno już, dawno, mieszkańcy Suchéj Doliny, podejrzywali Pietrusię, wnuczkę ślepéj Akseny, że posiadała ona wiadomości i moce takie, jakich posiadać nie można bez niejakich stosunków z nieczystą siłą. Były to wprawdzie podejrzenia niejasne i przez nikogo głośno nie wyrażane, ale pochodziło to tylko stąd, że wśród niezliczonych trudów i trosk powszedniego żywota nie zajmowano się niemi bardzo, i stąd jeszcze, że nikt nie posiadał jasnych dowodów, aby Pietrusia uczyniła komukolwiek, cokolwiek złego. Niemniéj, podejrzenia te, w stanie zawiązkowym wprawdzie i głuchym, istniały. A jakżeby mogły nie istnieć, skoro pewne okoliczności życia Pietrusi, jako téż pewne jéj postępki i cechy charakteru, wyjątkowemi były, to jest, nie zupełnie takiemi, jak wszystkich innych mieszkanek Suchéj Doliny. Te wszystkie inne, na przykład, rodziły się w téj wiosce, przed oczami ludzi, tak, że ludzie pamiętali ich chaciny i dziecięce lata; następnie, po wyjściu za mąż, żyły one w chatach, nie samotnie śród pola stojących, ale rzędem przy sobie zbudowanych, tak, że w jednéj wybornie widać i słychać było wszystkie sprawy i sprawki drugiéj, a życie ich upływało różnie, swarliwie lub zgodnie, pracowicie lub leniwo, dostatnio lub ubogo, jak tam już któréj natura była i Pan Bóg dał, ale tak jak Piotrusia, żonka Michała kowala, nie wychodziła zamąż i nie żyła żadna. Żadna też niewiedziała tyle dziwnych rzeczy, co ona. Skąd ona je wiedzieć mogła? Chyba od ślepéj babki swojéj Akseny, która przed wielu laty przywędrowała tu skądciś z malutką wnuczką, i wtedy jeszcze ślepą nie będąc, prosiła u ludzi o pracę jak o łaskę, a otrzymawszy ją, czyli pełniąc różne służby, to u najdostatniejszych gospodarzy Su-

chéj Doliny, to w pobliskich dworach, Pietrusię swoję na dorosłą dziewkę wyhodowała. Zdawało się, że na to tylko czekała, aby oślepnąć, a gdy to się już stało, nie krzyczała, nie lamentowała, tylko wgramoliwszy się omackiem na piec, kądziel i wrzeciono w ręce wzięła i do wnuczki rzekła:

— Teraz ty duża i chwalić Boga, silna. Możesz pracować i mnie żywić do końca życia mego, tak jak ja ciebie żywiła od maleńkości, kiedy ci ojciec i matka jednego roku zmarli. Na przyodziewek sama sobie zarobię. Prząść i na pamięć potrafię.

Sucha to już wtedy i bardzo stara była babina, z twarzą, która wyglądała tak, jakby ją kto z żółtawéj kości wyrzeźbił, i oczami zaszłemi jakąś białą plewą. Nos miała długi i śpiczasty, wargi tak wyschłe i żółte, że ich prawie widać nie było, czoło w tysiąc drobnych zmarszczek sfałdowane. Przyodziewek jéj był tak mały, że można było uwierzyć, że zarobi nań sobie, na pamięć przędąc. Samodziałowa sina spódnica, fartuch, koszula gruba i czepek z czarnéj bawełnicy tak ściśle i gładko oblepiający głowę, że trochę tylko białych jak mleko włosów, wydobywając się z pod niego, otaczało jéj czoło. Jakby na dowód, że to co mówiła prawdą było, na piecu siedząc, jedną rękę do kądzieli podniosła, a drugą z wrzecionem przed siebie wyciągnęła i prząść zaczęła. Nie widziała nic a nic, ani nawet dnia od nocy rozróżnić nie mogła, jednak z pod palców jéj wywijała się nitka długa, a tak równa i cienka, że i z najlepszemi oczami wyprząść by taką nie łatwo. Od chwili do chwili palce śliniła i nić długą, równą, cienką snuła; w żółtéj i jakby z kości wyrzeźbionéj jéj ręce wrzeciono kręciło się, furczało; wyschłe jéj wargi zarysowały zaledwie widzialny uśmiech, a białkiem powleczone oczy zdawały się patrzéć w twarz wnuczki i mówić:

— A co? widzisz? ja choć ślepa, do niczego jeszcze nie jestem. Tylko strawę mi daj a na przyodziewek sama zarobię.

Pietrusia, siedemnastoletnia podówczas dziewka, zdrowa i rumiana, choć jeszcze jak młoda topola cienka i wysmukła, siedziała na brzeżku pieca i oczy mając pełne łez, już, już wybuchnąć miała wielkim nad kalectwem babki płaczem i lamentem; jednak, widząc, że babka nie płacze, lecz owszem uśmiecha się trochę i wrzecionem furka a furka, pochyliła się, kolana i stopy jéj ucałowała i rzekła tylko.

— *Dobre*, babulo, żywić ja ciebie będę i pilnować jak oka w głowie, tak jak ty mnie żywiła i pilnowała od maleńkości, kiedy mi ojciec i matka jednego roku pomarli. Tak mnie Boże dopomóż, że będę.

Przy ostatnich wyrazach uderzyła się pięścią w piersi i zapłakała trochę, ale niedługo, bo i sama płaksiwą nie była i babka po głowie ją pogłaskawszy, zaraz rzekła:

— Nu, *ciepier* (teraz) do roboty *idzi*. Nie ma czasu bzdurzyć. Piotrowa dziś *nieduża* (słaba), krów sama nie podoi i świń nie nakarmi. Idź krowy doić i świnie karmić.

Poszła i niby żwawy duch skrzętności uwijała się po zagrodzie. Była to zagroda Piotra Dziurdzi, którego żonka chorowała wtedy, albo niedomagała przez lat kilka, a że córki w domu nie było i synowie pacholętami zaledwie będący, żenić się jeszcze nie mogli, więc gospodarstwem kobiecem, za strawę i przyodziewek trudniła się Aksena wprzódy, teraz trudnić się zaczęła Pietrusia. Piotr był gospodarzem dostatnim i mogącym pozwolić sobie na ten zbytek, aby chorą żonę jego, sługa zastępowała. Było to zresztą koniecznością, na której wychodził nie najgorzéj. Jak wprzódy Aksena, tak teraz Pietrusia robiły wszystko co należało, z gorliwością kobiet, które nic a nic na całéj ziemi Bożéj nie posiadając, ludziom którzy coś posiadają, z całych sił zasługiwać się muszą, zasługiwały się téż one jak tylko mogły. Chata Piotra pełną była nietylko pracy niewieściéj, oszczędzającéj i przysparzającéj dobra wszelkiego, ale i czegoś innego jeszcze, co nie będąc do życia niezbędném, uprzyjemnia je przecież i rozwesela. Dwie te kobiety, z których jedna bardzo starą i ślepą, druga młodziutką, żwawą i wysmukłą była, napełniały mu chatę bajkami i pieśniami. Aksena umiała mnóstwo bajek, a Pietrusia mnóstwo pieśni. Były tam bajki i pieśni tutejszéj okolicy właściwe i te, która Aksena przyniosła z sobą z tych stron dość dalekich, z których przed kilkunastu laty tu przywędrowała. Wędrowała, wędrowała, przytułku i pracy szukając, aż tu przywędrowała, przytuliła się wraz z dzieckiem i wszystko co miała mieszkańcom Suchéj Doliny oddała. Bajki z różnych stron pozbierane w wieczory zimowe opowiadała, a pieśni choć już sama nie śpiewała nigdy, to nauczyła ich wnuczkę swoję, któréj żywiołami rodzinnemi zdawały się być: ruch, śmiech i śpiewanie. Skąd u téj sieroty i tułaczki ubogiéj wzięła się żywość i wesołość taka, że porównać-by ją można do ustawicznie tryskającéj, przejrzystéj wody źródlanéj? Trudno powiedzićć. Zapewne w sposób taki utworzyła ją sama natura, a wiele także znaczyło i to, że choć biedy i głodu zaznała czasem, złego obejścia się nie zaznała nigdy. Osłaniała ją przed niém babka, ludziom zasługując się na to, aby jéj nie krzywdzili, a sama za dzieckiem przepadając, jak podróżujący w noc ciemną przepadał-by za jedyną gwiazdą, która-by przyświecała jego samotnéj i kamienistéj drodze. Wszystkich swoich na kamienistéj swéj drodze, Aksena

potraciła: córkę, która urodziwszy Pietrusię, wkrótce potém umarła; zięcia, którego z téj ziemi zdmuchnęło tchnienie zarazy; męża, który z ręką zdruzgotaną w kole młócarni umarł w szpitalu; syna, który poszedł do wojska, kędyś na skraj świata i nigdy już nie powrócił: rozłajdaczył się może i w turmie zgnił, albo go na wojnie zabili... Oprócz tych wszystkich swoich ludzi, straciła ona jeszcze jedną rzecz swoję: mianowicie, wioskę rodzinną, która piasczyste grunta mając, a łąk i pastwisk nie mając, tak ubogą była, że kawałka chleba, gdy go zapotrzebowała dać jéj nie mogła. Nie z własnéj woli, ale z konieczności poszła w świat cudzy. I któż o tém wszystkiém wiedząc, zaprzeczyć-by mógł, albo chociaż dziwić się temu, że wnuczka była dla niéj tą jedyną gwiazdą, która przyświeca ciemnéj i kamienistéj drodze podróżnika. To też nie biła jéj ona i nie łajała nigdy. Wprawdzie, pocałunkami i pieszczotami obdarzała ją bardzo rzadko; po prostu, nie miała na nie czasu i zawsze zmęczona fizycznie, z twardemi muskułami i silnemi nerwami swemi, potrzeby ich nie czuła. Ale nie zjadła nigdy łyżki strawy, zanim wprzód wnuczki nie nakarmiła, nie kupiła sobie przyodziewku żadnego, zanim ją czysto i cało nie przyodziała; na noc brała ją z sobą na piec i sukienną derką starannie okrywała, w niedzielę i święta śpiewać ją uczyła i opowiadała jéj różne dzieje o dawnych czasach i ludziach, o dalekiéj stronie rodzinnéj, o czartach, upiorach, zbójcach, i—aniołach, które sieroty strzegą i nad niemi srebrzyste skrzydła swe roztaczają. Pietrusia czuła się otoczoną skrzydłem anielskiém i czasem do rówieśnic swych mówić zaczynała:—„Ona, jak ten anioł nademną...“ Lecz nigdy rozpoczętéj mowy nie kończyła. Wyrazów jéj brakowało czy téż wstyd ją ogarniał, że tak śmiało tajemne myśli swe wypowiadać zamierza. Milkła, powieki z długiemi rzęsami na szare źrenice spuszczała i róg fartucha w palcach kręciła. Ale zmięszanie to, jak wszelkie uczucie smutne albo przykre, przemijało w niéj bardzo prędko. Ani w smutku, ani w milczeniu, ani w nieruchomości długo wytrzymać nie mogła. Idąc podskakiwała zwykle, jakby ją do tańca brała ochota, pracując przyśpiewywała sobie; jedząc nawet gadała i gadanie śmiechem przeplatała. Taką już była jéj natura. Po zupełném oślepnięciu babki, na dni kilka spowolniała trochę i umilkła, ale i to jéj prędko przeszło. Aksena nie skarżyła się wcale, owszem, po całych dniach i wieczorach, na piecu siedząc, spokojnie sobie przędła i gdy potrzeba jéj wypadła, z ludźmi rozmawiała, doradzała im i rozpowiadała rzeczy różne, jak gdyby nie wydarzyło się jéj nic osobliwego. Pietrusia, nosiła jéj na piec strawę, dmuchając na nią, gdy była gorącą, kartofle w krupniku łyżką drobiąc, skwarki z zacierki lub kaszy wyławiając. W ręce ślepéj, które

wyciągały się po żywność i w powietrzu błądziły, łyżkę i chléb wkładała, tonem namowy mówiąc:—*Jesz* (jedz), babulu, *jesz* sobie, ja miskę potrzymam. Każdéj niedzieli, z rana, gdy wszystko zrobiła. co tylko w chacie do zrobienia było, z kubłem wody i grzebieniem w ręku na piec właziła i przez całe półgodziny, trudniła się myciem i czesaniem babki. Szmatą umoczoną w wodzie, myła i szarowała twarz jéj tak gorliwie, że przez parę dni potém błyszczała ona zupełnie tak, jakby wyrzeźbioną była z żółtawéj i wypolerowanéj kości. Potém na białe jéj włosy wkładała czepiec z bawełnicy czerwonéj lub czarnéj, a jeśli kiedy, w sobotę, więcéj niż zwykle czasu mając, suto go bawełnianą taśmą wygarnirowała lub wąziutkim i błyszczącym galonikiem oszyła, to już bardzo zadowolona, z lubością przed ustrojoną tak babulą kołysała głową, językiem o podniebienie uderzając i powtarzając: — Ot ślicznie! oj! jak ślicznie! Czerwoném garnirowaniem, albo błyszczącym galonikiem otoczona, kościana twarz staréj, ślepemi oczami swemi, zdawała się surowo wpatrywać w okrągłą, rumianą, roześmianą twarz wnuczki. Żółtym palcem dotykając czepca swego stara pytała.

— A skąd wzięłaś galonik?

— Piotr jeździł do miasta, to go prosiłam żeby kupił.

— A skąd *hrosze* miałaś?

— Z lata jeszcze schowałam, kiedy to żąć chodziłam do dworu.

Stara milkła. W głosie wnuczki słyszała szczerość. Ale po chwili zapytywała znowu.

— A nie udaje się kto do ciebie?

Oczy spuszczając, dziewczyna odpowiadała.

— A udają się. To już ja tobie, babulo, przeszłéj niedzieli mówiła.

— Stepan Dziurdzia?—tonem zapytania szeptała stara.

— Ale!

— A więcéj kto?

— Toż ja mówiła. Michałko Kowalczuk.

— Aha! to nic... Na to ty dziewka, żeby do ciebie *kawaliry* udawali się. Ale galonu od nich nie brałaś, ani paciórek, ani hroszy, ani nic? Nie brałaś?

— Nie brałam.

— Pewno?

— Dalibóg.

— Pamiętaj. Sierotą jesteś i tylko na boskiéj opiece, nie daj się skrzywdzić, bo zginiesz tak jak ta kropla wody w wielkiéj rzece... Ja już teraz na ciebie nie patrzę, ale Pan Bóg patrzy i ludzie także patrzą. Pamiętaj, żeby na tobie grzechu przed Bogiem, a wstydu

przed ludźmi nie było. Kiedy który lubi, niech żeni się, a kiedy żenić się nie chce, to ty jego przy przybliżeniu się wszelakiém, raz, dwa, trzy, w pysk! *taj hodzi*! Dziewczyna powinna być jak ta szklanka, kiedy ją w wodzie krynicznéj wymyją, ot co!

I długo jeszcze staruszka w sposób taki do wnuczki przemawiała, a powtarzało się to każdéj niedzieli. Jednéj zaś niedzieli tak do niéj rzekła.—Jeżeli kogo polubisz i zechcesz koniecznie, żeby on z tobą ożenił się, to powiédz mnie. Ja na to sposób znajdę... Na to już ja twoją babką i jedyną na tym świecie opiekunką jestem, żeby ciebie w każdéj godzinie ratować...

Bardzo zawstydzona, ale zarazem i zaciekawiona Pietrusia szepnęła.

— A jakiż to sposób, babulo?

Stara po cichutku prawić poczęła.

— Wszelakie są na to sposoby. Można nietoperza w mrowisku zakopać i jak go mrówki ze wszystkiém zjedzą, z kosteczek jego jedną taką wybrać; można i ziela takiego poszukać, co nazywa się *zaharduszką*, a korzonki ma takie, jak niby to dwie rączki połączone... Można i innego ziela...

Wszystko to stara prawiła z powagą wielką i tajemniczością niejaką a prawiłaby była daleko dłużéj, gdyby ją była Pietrusia mocno za fartuch nie pociągnęła. Przytém wstydliwie lecz razem radośnie zachichotała.

— *Hodzi*, babulo, szepnęła, *hodzi*! Niczego mi tego nie trzeba. Ani nietoperza, ani *zaharduszki* ani innego ziela nie trzeba. On i tak ożeni się ze mną.

Stara widocznie z natężeniem wielkiem uszy nastawiła.—Który? zapytała.

— A Michałko?

— Kowalczuk?

— Ale.

Babka przyzwalająco pokiwała głową.

— Dobrze, rzekła, dobrze, czemu nie? chatynkę swoję i kawałek swojéj ziemi po ojcach ma. Przytém rzemieślnik... Ajaj! Jakby było dobrze! *Kab tolko* żeniłsia!

— Oj, oj! tryumfująco zadzwoniła Pietrusia, dalibóg ożeni się! mówił mnie nie raz, ale sto razy...

Tak mówiąc rozpromieniła się cała. Z młodziutkich wesołych oczu jéj trysnął snop promieni, zęby jak perły błysnęły z za czerwonych warg. I wielka, niezmącona radość tak ją całą napełniała, że nie mogąc na miejscu wysiedziéć, zeskoczyła z pieca i zaczęła, po izbie kręcąc się, na całe gardło wyśpiewywać.

— Jeść u menie mój mileńki
Wsia maja rodzina,
Jak przyjedzie on do menie
Szczaśliwa hadzina!

Izba była pustą, bo w niedzielny ranek Piotr z Piotrową pojechali do kościoła, a chłopcy na ulicy wiejskiéj z rówieśnikami hulali. Piosenka przez Piotrusię rozpoczęta miała drugą, trzecią i czwartą strofę i dziewczyna prześpiewała je wszystkie, jak fryga zwijając się po izbie, stół mokrą szmatą wycierając, do pieca na gotującą się strawę zaglądając, kury nakoniec, które na środek izby powyłaziły, do ciemnych spędzając podpiecków. Kiedy nakoniec, śpiewanie dziewczyny i gdakanie kur i chrząkanie wypędzonego do sieni wieprzka umilkły, ze szczytu pieca ozwała się Aksena.

— Pietrusia!

— A co?

— *Chadzi tu.*

Wskoczyła na tapczan u pieca stojący i zapytała.

— Co, babulo?

— Ot co. Michałku teraz dwudziesty pierwszy roczek idzie.

— Ale, potwierdziła dziewczyna.

— To to i bieda. Jakże on z tobą ożeni się, kiedy jemu trzeba do wojska iść?

Dziewczynę uwaga ta babki przestraszyła zrazu bardzo.

— Nie może być! krzyknęła.

Stara głową pokiwała.

— Oj dziecko z ciebie gorzkie! albo ty o tém nie wiedziała?

Co ona tam miała o jakiemś wojsku wiedzieć? Ani pomyślała nigdy, że jakie wojska są na świecie. I *miły* nie mówił jéj ani razu, że w *sołdaty* pójdzie, choć o tém dobrze wiedzieć musiał, ale zwyczajnie młody, kiedy lubił dziewczynę, szeptał z nią u opłotka albo i kibić jéj obejmował, wtedy o tém co będzie kiedyś, nie myślał. Stara Aksena, wiele wiadomości o świecie i doświadczenia posiadała. Czy raz już, czy raz w swém życiu widziała chłopców w *sołdaty* branych, którzy wracali nie prędko, nie prędko, a czasem tak jak i jej syn rodzony, nie wracali nigdy! Jeżeli która dziewczyna czekała na nich, rutkę przez życie całe siać była zmuszoną, bo choć powrócił który, to z innem sercem, z innemi myślami. A jeżeli ślub z nim wzięła, zanim w świat poszedł, jeszcze gorzéj było, bo życie sołdatki, to już takie życie, że niech od niego Bóg święty obroni! Wszystkie te i wiele innych rzeczy, długo Aksena do ucha dziewczynie szeptała, aż Pietrusia splótłszy na twarzy ręce, rozpłakała się rzewnemi łzami.

— Nu, tonem perswazyi zaczęła babka, to idź za Stepana Dziurdzię. I on do ciebie chętny a gospodarz z niego dostatni. Słodkie ci życie z nim będzie.

Dziewczyna zatupała po tapczanie bosemi nogami stopy.

— *Za niszto*! (za nic) krzyknęła; żeby tam nie wiem co, Stepanową żonką nie będę.

— Czemu? gospodarz taki i młody i wyrośnięty jak ten dąb i *bratów* ma bogatych.

Pietrusia oczów nie odsłaniała i z ruchami gwałtownéj niechęci i niecierpliwości, wciąż tylko powtarzała.

— *Za niszto*! nie pójdę za niego! nie pójdę! nie pójdę!

I dopiero na gwałtowne dopytywanie się babki, niechęci swéj przyczynę wyznała. Było tam raczéj przyczyn dwie.

— *Hadkij* (wstrętny) mnie on i *wielmi zapalczywyj. Bić budzie*!

Ani słowa przeciw temu Aksena powiedziéć nie mogła. Znała Stepana Dziurdzię oddawna i wiedziała, że istotnie był on gniewliwy, porywczy, łatwy do swarów i bójek. Oczy jego miewały od młodu błyski silnych i srogich namiętności, gesty były prędkie i zapalczywe, głos szorstki i gruby. Pracowitym był, roztropnym w radzie i rozmowie, upijał się bardzo rzadko, gospodarstwo miał dostatnie a długu grosza jednego nie miał; jednak we wsi miru i powagi nie posiadał, bo opryskliwością swą, grubem łajaniem i skorą do bójki pięścią naraził się wszystkim a dziewczęta, to już wprost uciekały od niego, tak się go bały. Kilka razy już do chat różnych swaty posełał i nigdzie go nie przyjęto. Dziewczęta zanosząc się od płaczu, krzyczały w niebogłosy: *bić budzie*! jeszcze kiedy zabije! i rzucały się do nóg rodzicom, błagając, aby nie wydawali ich za tego *Heroda*. Stepan wykrzykiwać począł, że nie dba o te *durne* i pośle swatów do drugiéj wioski, ale w tém, w chacie stryjecznego brata jego, Piotra, Pietrusia dorosła i odtąd Stepan, na żadną inną dziewkę ani spojrzał. W nią oczy wlepił i do chaty braterskiéj chodził a chodził. Przyjdzie bywało, i bez potrzeby żadnéj zasiedzi się na ławie godzinę i dwie. Czasem orać trzeba, albo kosić, albo młócić a on siedzi i za dziewczyną oczami wodzi, na krzątanie się jéj i skoki patrzy, śpiewania jéj słucha i gniewliwa twarz jego łagodnieje tak, że możnaby ją, zda się, niby masło na chleb posmarować. Piotrowi już raz powiedział.

— Biedna ona czy nie biedna, ja do niéj swatów przyślę...

— Przybłęda, zauważył Piotr.

— Przybłęda, czy nie przybłęda, swatów przyślę, żebym tylko u niéj przychylność jaką zobaczył.

Ale przychylności dla niego w Pietrusi nie było ani śladu. Jak Stepan w nią tak ona w Michałka Kowalczuka oczy wlepiła i tak samo jak inne dziewczęta z płaczem teraz babce mówiła.

— *Nie chaczu*! *Za niszto nie chaczu*! bić będzie! jeszcze kiedy zabije!

Po tém, co powiedziała jéj babka o przyszłym a niezawodnym losie Michałka, wypłakała się i znowu krzątać się po chacie i śpiewać zaczęła.

— Ni tam szczaście, ni tam dola,
Hdzie bohaty ludzie,
Kto z miłości sia załuczyć
Tomu miłość budzie!

Przerywając sobie śpiewanie, rzekła.

— Ot, może nie pójdzie... co tam! Może Michałek w sołdaty i nie pójdzie...

Potém dodała.

— Żeby tylko dziś przyszedł...

Aksena, któréj może żal było, że wnuczkę do płaczu gadaniem swem doprowadziła, ozwała się z pieca.

— Rzuć wiennik do ognia.

— A na co? zadziwiła się Pietrusia.

— Rzuć wiennik do ognia, powtórzyła stara, jak spalisz wiennik, goście będą.

Pietrusia wrzuciła w ogień starą miotłę, a gdy dnia tego Kowalczuk przyszedł istotnie do chaty Piotra, uwierzyła święcie w cudowną skuteczność tego środka i doradzała go potém wszystkim rówieśnicom swoim. I czy jedną również dziwną i jeszcze dziwniejszą rzecz Pietrusia ludziom mówiła i doradzała. O tych wszystkich rzeczach dowiedziała się od babki, a ponieważ ustawicznie trzepała językiem, niczego w tajemnicy nie zachowała i nie pomyślała nawet nigdy o tajeniu się z czemkolwiek. Jednak, pomimo wczesnéj mądrości swéj, nie odgadła raz wróżby, która tyczyła się własnéj jéj doli. Dnia pewnego, chleb z pieca łopatą dostawała. Zazwyczaj pieczenie chleba udawało się wybornie. Doświadczone nawet gospodynie dziwowały się zawsze doskonałości jéj pieczywa, szepcąc pomiędzy sobą, że chyba jéj jakaś *siła* dopomaga, kiedy tak nigdy w niczém nie chybi. Siłą tą była istotnie pilność i zręczność dziewczyny, która gdy cokolwiek robiła, to już całą duszą i z dziwną zgrabnością. To też i teraz, bochny chleba jeden po drugim ukazywały się na łopacie i z łopaty zsuwały się na stół, rumiane, pulchne, w miarę wypieczone, pachnące tak, że aż izba cała zapachniała.

Dobry kęs chleba—wesele chłopa. Piotr siedząc na ławie, z łokciami o stół opartemi, uśmiechał się w zwykły sobie sposób łagodny i poważny; wciąż jeszcze niedomagająca Piotrowa, piorąc jednak u pieca grube szmaty, z uśmiechem też o czemś prawiła; dwaj dorastający chłopcy hałasując, palcami pulchności chleba probowali i jedna tylko doskonała piekarka nie śmiała się i nie uśmiechała nawet. Tak ważną czynność jak wydobywanie z pieca chleba spełniała ona zawsze z policzkami rozognionemi od gorąca, z rękawami koszuli zawiniętemi po łokieć z wydętemi wargami i trochę nawet zmarszczonem czołem. Nagle krzyknęła.

— Aj! aj!

I ostatni bochen chleba na stół zsunąwszy, łopatę, na ziemię upuściła i ręce załamała.—Oj Boże, mój Boże! z płaczem prawie zawiodła. Piotr i Piotrowa jednocześnie szyje powyciągali, na chleb spojrzeli i jednogłośnie rzekli.—Pęknięty, czy co?

Nie mylili się. Ostatni bochen chleba wyszedł z pieca nawskróś prawie pęknięty, jakby nożem na dwoje rozkrojony.

— Pęknięty, powtórzyła Pietrusia.

Kilka sekund trwało milczenie, aż z pieca ozwał się stary głos Akseny.

— Ktościś odłączy się!

Piotrowa rękę do czoła i piersi poniosła.

— W imię Ojca i Syna... Niech Pan Bóg miłosierny... nas od wszelkiego nieszczęścia broni!

— Ktościś odłączy się! powtórzyła stara.

— Z chaty, czy ze wsi? zapytał Piotr.

Aksena po chwili namysłu odpowiedziała.

— Może z chaty, a może i ze wsi, ale ktościś, co kogoś w chacie Piotra Dziurdzi dusznie obchodzi!

Istotnie, odłączył się od Suchej Doliny ktoś, co kogoś w chacie Piotra Dziurdzi dusznie obchodził; Michał Kowalczuk los wyciągnął i ze wsi wywędrował—do wojska. Przedtem jednak, widziano o zmroku dwoje ludzi, długo siedzących na wielkim, omszałym kamieniu, za wsią, tam gdzie drogi rozchodziły się w cztery strony świata i wznosił się stary, wysoki krzyż. Dwaj parobcy przechodzili tamtędy ze dworu, w którym najmowali się do młócarni, i rozpowiedzieli w wiosce, że Pietrusia na kamieniu pod krzyżem, żegna się ze swoim Kowalczukiem. Mówili o tem śmiejąc się na całe gardło. Zaśmiały się kobiety.—Niechaj żegna się, mówiły, bo to już będzie na wieki wieków, amen.

Wszyscy we wsi jednogłośnie utrzymywali, że Pietrusia pożegnała się ze swoim miłym, na wieki wieków, amen. Powrócić, to

powróci on tutaj pewno, bo swoję ziemię i chatę w Suchej Dolinie ma, ale aż za sześć lat, a sześć lat to dla dziewczyny wiek. Albo za kogo innego tymczasem pójdzie albo i zestarzeje a Kowalczuk jéj nie zechce. Gdzieby on tam za sześć lat jeszcze jej zechciał. Z innèm sercem i z innemi myślami z dalekiego świata powróci. Nawet stara Aksena toż samo mówiła wnuczce, która jednak przecząco głową wstrząsnęła i wciąż powtarzała.—Powiedział, że jak powróci, ożeni się ze mną. Powiedział: czekaj ty na mnie, Pietrusia...

— I ty *durna* będziesz czekać?

— Będę.

Stara zaniepokoiła się bardzo, zeschłe wargi jej i kościane policzki często odtąd poruszały się w sposób taki, jakby coś z trudnością wielką w bezzębnych dziąsłach swych przeżuwała. Kilka razy jeszcze do wnuczki rzekła.

— Idź za Stepana, może nie będzie bić, a jeżeli kiedy i wybije, to co? Lepiéj zawsze w mężowskiéj chacie siedziéć, jak przez całe życie na cudzem horować.

Ale na te wszystkie perswazye i namowy Pietrusia jedną tylko miała odpowiedź.

— Nie *chaczu*, nie *pajdu*.

Piotrowa także namawiała ją, żeby za Stepana szła.—Bogaty, mówiła, i pracowity, gospodarny, nie pijący. Będziesz u niego w kupnych perkalach chodzić i sadło łyżką jeść.

Dziewczyna odpowiadała.

— Niechaj Stepanowe sadło świnie jedzą.

Te namowy, które spotykała ze stron wszystkich, obudziły w niéj gniew, pierwszy zapewne w życiu. Zaciskała potém usta i nie odpowiadała nic. Żeby tam niewiadomo co mówili przed nią o Michałku i o Stepanie—milczała. Baby swoje, a ona swoje. One gadają, namawiają, użalają się nad jéj głupotą, łają nawet—ona milczy; krowy bywało doi, czy szmaty pierze, czy świnie karmi, czy chleb miesi i milczy. Uparła się. Mniemała téż zapewne, że ludzie pogadają, pogadają i w pokoju ją zostawią, pozwalając, aby sobie żyła wedle woli. I byłoby to najpewniéj nastąpiło, gdyby tylko Stepan odczepił się od niéj. Ale on o tém ani myślał. Kilka razy chciał już objąć ją i pocałować to na dziedzińcu, to w ogrodzie, to w oborze; zawsze jednak zdołała ona uciec od niego tak, że ani do uścisków ani do kłótni nie przyszło. Raz przecież przyszedł w niedzielę, kiedy w chacie prócz niéj i staréj Akseny nie było nikogo. Ujrzawszy go we drzwiach Pietrusia skoczyła do komory, gdzie zaczęła niby to groch z worka na wieczerzę do garnka sypać, ale Stepan wnet znalazł się przy niéj i obejmując ją jedną ręką. drugą probował zasunąć

z wewnątrz drzwi komory. Przyczem wyglądał tak strasznie i tak przeraźliwie klął dziewczynę, którą już teraz na pewno, jak mówił, w pułapkę pochwycił, że zrazu krzyknęła ona w niebogłosy i ciemno zrobiło się jéj przed oczami. W mgnieniu oka przecież odzyskała przytomność i może na pamięć przyszły jéj słowa i rady babki, bo z twarzą czerwoną jak piwonia, z iskrzącemi się oczami, zaciśniętemi usty, wyrwała się z objęć chłopa, i obie ręce w górę podniosła. Raz, dwa, trzy w pysk! *taj hodzi*! Stepan jak oparzony z komory wyskoczy a potém i z chaty. Uczynił to głównie dla tego, że usłyszał w sieniach kroki Piotra, a świadka wstydu swego mieć nie chciał. Pietrusia w ogniu i łzach cała, upadła do kolan babki, która na krzyk jéj zsunęła się z pieca i na kiju wsparta, stała przed drzwiami komory, kościanemi szczękami gwałtownie poruszając i bielmem zaciągniętemi oczami zdając się z natężeniem wpatrywać w przestrzeń. I teraz jednak nie wybuchnęła ona ani gniewem, ani lamentem, tylko żółte jéj ręce po chwilowem błądzeniu w powietrzu znalazły głowę wnuczki i ogarnęły ją tak jak gdyby drogi jakiś przedmiot utracony, na nowo chwytały. Po chwili rzekła.

— Nu, Pietrusia, już nam tu niema czego popasywać... Już tobie tutaj dobréj doli nie będzie. Pokłońmy się Piotrowi i Piotrowéj żonie za chléb i za sól i gdzieindziéj *mandrujmy*.

Chléb i sól Pietrusia z łatwością znalazła, bo słynęła już w okolicy całéj za pracownicę wyborną. W małym, sąsiednim dworku szlacheckim wzięto ją za folwarczną dziewkę i pozwolono babkę trzymać przy sobie, z warunkiem, aby za strawę stara przędła dla dworu len i wełnę. W dwa dni po owéj ostatecznéj rekuzie, którą w postaci trzech rozgłośnych policzków Stepan Dziurdzia od ubogiéj sieroty otrzymał, o samym świcie otworzyły się drzwi Piotrowéj chaty i wyszła z nich Pietrusia, w krótkiéj siermiężce i sinéj spódnicy, w płytkich trzewikach i czerwonéj chustce na głowie. Cały przyodziewek swój i babki w płóciennym worku na plecach niosła a u piersi trzymała, owiniętą w płótno prząślicę. Za nią szła ślepa Aksena, w siermiędze także, płytkich trzewikach i czarnym czepcu. Jedną ręką kijem wciąż dotykała ziemi, drugą trzymała mocno rękaw siermięgi wnuczki. Były obie jednostajnie prawie wysokie i szczupłe; wyszły z chaty Piotra i szły przez wieś wyprostowane i milczące. Nad niemi, pod wiosennem niebem, tułały się jeszcze białe mgły nocne, z obu stron stały domostwa pozamykane i nieruchome drzewa ogrodów. Krowy nie ryczały, kury nie gdakały i psy nawet nie szczekały jeszcze. Tu i owdzie tylko, około wrót otwartych, albo za nizkim płotem ukazywała się wcześniéj od innych zbudzona jakaś postać ludzka i ujrzawszy te dwie kobiety w sinem świ-

taniu przez wieś idące, obojętnie albo z litością w głosie je pozdrawiała.

— Z Bogiem idźcie!

One jednogłośnie odpowiadały.

— Z Bogiem zostawajcie.

I szły daléj. Rumiana dziewczyna z wesołemi oczami prostowała się i przyśpieszala kroku a do rękawa siermięgi jéj przyczepiona, stara babka dreptała za nią pośpiesznie, lecz spokojnie, w świat którego nie widziała wlepiając swe ślepe źrenice i dotknięcie jego czując w powiewie rannego wiatru, który dokoła jéj czarnego czepca i żółtéj kościanéj twarzy, podnosił i strzępił białe jak mleko włosy.

Co tam działo się z Pietrusią w folwarku szlacheckim, o trzy wiorsty od Suchej Doliny, mieszkańcy wsi nie wiele o tém wiedzieli. Służyła i koniec. Za mąż nie szła. W rok po wyjściu jéj ze wsi Stepan Dziurdzia, formalnie i według zwyczajów wszelkich swaty do niéj posyłał. Odprawiała swatów z niczém, a Stepan potém przez cały tydzień wódkę pił w karczmie i bił się z kim popadło. Ludzie na dobre mówić już zaczęli, że dziewka cościś mu zrobiła, kiedy tak zapomnieć jéj nie może i desperuje po niéj. Napić mu się czegoś dała, aby nigdy już od niéj nie odstał. I na co jéj to, kiedy go nie lubi i nie chce? Będąca wówczas przy życiu matka Stepana, za syna na Pietrusię rozgniewana srodze, raz rzekła.—Wiadomo. Babkę ma wiedźmę co tylko to i wymyśla, żeby ludziom biedę jaką zrobić. Niebawem przecież Stepan ożenił się z dziewką z sąsiedniéj wioski i gadaniny ludzkie o Pietrusi ustały. Widywano ją rzadko; czasem tylko dziewki z Suchej Doliny, idąc od żniwa lub grabienia spotykały się z nią, gdy także szła do domu z sierpem lub grabiami i mijając dziewczynę, któréj lata za dwudziestówkę już przeszły, niby tak sobie ale w rzeczy saméj do niéj śpiewać zaczynały.

— Hyli, hyli szare husi,
Szare husi na Dunaj,
Nie chaciela idźci za muż,
Ciepicr siedzi i dumaj.

Czasem téż ktoś dawno znajomy spostrzegłszy ją, z politowaniem głową pokiwał albo i zażartował.—A cóż, twój Kowalczuk? prędko powróci?

Nie prędko, ale powrócił i było to dla niego rzeczą konieczną, bo miał podewsią, po ojcach odziedziczoną ziemię i chatę, w któréj tymczasem cudzy jakiś człowiek, dzierżawca podobno, gospodarował. Dnia pewnego, w niedzielę, gruchnęła po wsi wieść o tém, że

Kowalczuk powrócił już z wojska i w swojéj chacie porządek z dzierżawcą robi a wieczorem, kiedy mnóstwo ludzi rozmawiało, piło i tańczyło w karczmie, on sam ukazał się tam ale w postaci tak zmienionéj, że zaledwie poznać go zdołano. Gdy wieś opuszczał suchy był jakiś, chuderlawy, na dorastające pacholę więcéj niż na urodziwego mężczyznę wyglądający i tak jak wszyscy chłopi w Suchej Dolinie, ubierający się w sukienną siermięgę albo kapotę z sinego czy czerwonawego płótna. Teraz, gdzie! Lata wojskowych ćwiczeń i marszów rozszerzyły mu ramiona i piersi, a twarz wprzódy bladą, oblały zdrową, głęboką śniadością, zmężniał i wyprostował się; czarny wąs urosł mu nad wargami, oczy patrzały śmiało i roztropnie a miał na sobie nie siermięgę i nie kapotę ale surdut z ciemnego sukna, porządne buty na nogach a na szyi jaskrawą chustkę. W tém ubraniu z papierosem w ręku zjawił się w karczmie a ze stron wszystkich witany i podziwiany, wszystkich nawzajem poznawać i witać zaczął. Od razu poznać można było po nim, że dużo świata widział, porozumniał, wygrzeczniał, ale do wioski swojéj z radością powracał. Dawnym znajomym garniec wódki zafundował i sam parę kruczków wypił, ale więcéj to już za nic nie chciał. Papierosy palił, rozprawiał, o szerokim świecie rozpowiadał i pomiędzy tańczących wmięszawszy się, z dziewczętami *miecielicę* i *kruciela* tak zawzięcie i zgrabnie wywijał, jak gdyby był nigdy ze wsi nie wyjeżdżał. Na środku karczemnéj izby wznosiły się takie chmury pyłu, że mętnie tylko rozróżniać w nich można było ciężkie postacie tańczących parobków i pstrą odzież dziewcząt. Ale Kowalczuka każdy mógłby zaraz wyróżnić w téj gromadzie, wirującéj śród gęstéj kurzawy, nietylko po ciemnym surducie i jaskrawéj chustce na szyi, ale najbardziéj po zręczności i gibkości ruchów. On to z największą fantazyą wykrzykiwał w tańcu: hu, ha! i po kilkudziesięciu obrotach *miecielicy* z najbardziéj zamaszystą gracyą, zdyszaną swą tancerkę dokoła izby oprowadzał. Ze wszystkiemi dziewczętami żartobliwe kłótnie porozpoczynał, ze wszystkiemi choć raz przetańczył, w oczy każdéj zajrzał, jedną nawet wstydliwie od niego uciekającą, pomiędzy piecem a drzwiami schwycił i wycałował—a o Pietrusi ani wspomniał, ani się o nią u kogokolwiek zapytał. Przypomniały mu ją starsze kobiety, które go wprost z pomiędzy tańczących porwawszy, ścisłém kołem obstąpiły i języki porozpuszczały. Tak i tak, z Pietrusią było, mówiły, tak i tak. To i to działo się pomiędzy nią a Stepanem, to i to doradzali jéj ludzie, tam i tam poszła, tak i tak dogryzają jéj czasem i śmieszne pieśni do niéj śpiewają. Kowalczuk słuchał babskiego gadania i śmiał się tak, że aż mu z pod czarnego wąsa białe zęby błyskały, że aż gruby śmiech jego przygłuszał babskie gadanie,

ale nie mówił nic. Ani o Pietrusi, ani o swoich zamiarach nie powiedział jednego słowa i poczęstowawszy baby wódką i sérem, znowu tańczyć i hulać zaczął jeszcze sierdziściéj niż wprzódy. Wtedy, jasno zrobiło się wszystkim, że on już o Pietrusi ani myśli.—Z innném sercem i z innemi myślami powrócił, powiadano. Inni dodawali.—Gdzie jemu teraz o niéj myśléć. Przybłęda ona i tyle tylko, że koszulinę jaką na grzbiecie ma, a już i stara z niéj dziewka, ot chyba już jéj dwudziesty czwarty roczek idzie. On by mógł teraz ożenić się i z panienką jaką...

Może ci, którzy tak utrzymywali, nie mylili się wcale, może istotnie Kowalczuk nie myślał już o Pietrusi i upłynione lata, zaznane wrażenia, zatarły w nim pamięć o dziewczynie i przyrzeczeniach, które po sobie jéj pozostawił. Przez dwa tygodnie ani widział jéj, ani starał się zobaczyć. Powiadano, że ze swoim dzierżawcą wciąż porządek robił, co właściwie znaczyło, że wyprawiał go z chaty, nie bez głośnych kłótni i pretensyj o zrujnowanie gospodarstwa, z któremi nawet do sądów poszedł. Widać było od razu, że zamierzał porządnie rękawy zawinąć do pracy, nietylko rolnéj ale i kowalskiéj, oświadczył bowiem gromadzie, że tak jak dziad i ojciec jego kowalstwem się tu trudnili, tak i on trudnić się niem będzie, czyja więc łaska niechaj do kuźni jego przybywa. W parę tygodni dopiero po swym powrocie, w gorący dzień letni, poszedł sobie drogą, het, daleko, pomiędzy szerokie pola. W białym, płóciennym surducie i wojskowéj czapce na głowie, szedł widać bez celu, zwolna, papierosa palił i z fantazyą przeginał się trochę w obie strony, zwyczajnie jak kawaler dostatni, rozumu swego świadom i którego o nic głowa nie boli... Tak zaszedł aż za brzozowy lasek, jedno z okolicznych wzgórz obrastający, a za którym leżała szmata pola, dojrzałem zbożem okryta. Dziś właśnie, zboże to żąć zaczęto; kilkanaście żniwiarek pochylało się nad złocistą falą, która w miarę poruszania się ich rąk, zdawała się do stóp im się skłaniać, Kowalczuk stanął u skraju lasku i patrzał na jedną ze żniwiarek, która wyprostowawszy się podjęła w ramionach wielki snop żyta i kilka kroków uszedłszy, rzuciła go tam gdzie wiele już innych snopów leżało. Potém, sierpem w powietrzu błysnąwszy pochyliła się znowu i żąć zaczęła; żnąc zbliżała się coraz ku temu miejscu na którém stał Kowalczuk, ale głowy nie podnosiła wcale i tylko ręce jéj poruszały się prędko, coraz prędzéj, krzesząc sierpem tuż nad ziemią stalowe błyskawice. Kowalczuk usta trochę otworzył i w tę żniwiarkę wpatrywał się jak w tęczę papieros niedopalony za siebie rzucił i ręce na piersi skrzyżował. U skraju lasku, pomiędzy brzozami, stał jak słup i pod czarnym wąsem uśmiechać się zaczął. Dostrzegł wyraźnie, że zbliżająca się ku

niemu żniwiarka, jakkolwiek schylona, doskonale wiedziała, że on tam stoi; zerkała czasem na niego z pod powiek, ale nie odzewała się ani słówkiem i głowy nie podnosiła, owszem, coraz prędzéj i zapalczywiéj żęła. Kiedy nakoniec o kilka kroków tylko znalazła się od niego, Kowalczuk odezwał się sam.

— Dobry wieczór, Pietrusia!

Wtedy i ona wyprostowała się, ręce z sierpem na spódnicę opuściła i odpowiedziała:

— Dobry wieczór.

Ale nie patrzała na niego; powieki z długiemi rzęsami okrywały jéj źrenice, profilem ku niemu zwrócona, zdawała się oczekiwać czegoś, albo po prostu, śród pracy przez chwilę odpoczywać. Kowalczuk z gracyą oparł się łokciem o wystający sęk drzewa i mrużąc oczy przemówił znowu.

— Czy to pięknie, taką obojętność dawnemu znajomemu okazywać?

Żniwiarka wzruszyła ramionami i nie podnosząc powiek gniewnym jakby tonem odburknęła.

— Jaka tam obojętność!

— A jakże! czy-to tak Pietrusia przywitać się ze mną powinna?

— Kiedy kto zemną nie wita się, to i mnie witać się potrzeby nie ma.

Kowalczuk opuścił drzewo, o które wspierał się i parę kroków ku niéj postąpił. Oczy jéj były ciągle spuszczone, a ręce z sierpem na spódnicę opadały. Od kilku już godzin żęła, dzień był skwarny i gęste, bujne krople znoju świeciły na ogarzałém jéj czole i policzkach tak prawie czerwonych, jak polny mak, który z ciemnych włosów opadał jéj za ucho. Kowalczuk patrzał w nią jak w tęczę. Zdawało się, że przypatrywał się tak tym kroplom potu, któremi twarz jéj gęsto skropioną była.

— Cóż ty?—zaczął znowu—pracujesz a horujesz...

— Horuję—odpowiedziała.

— Jak ten wół w jarzmie?

— Jak ten wół...

— U cudzych ludzi?

— U cudzych.

— I starą babulę przy sobie żywisz.

— Żywię.

Znowu krok bliżéj ku niéj postąpił.

— A czemu za Stepana Dziurdzię nie poszła?—zapytał.

— Bo nie chciałam—odpowiedziała.

— A namawiali ludzie?

— Namawiali.

— I babula kazała?

— Kazała.

— To i czemuż nie szła? Było iść, we własnéj byś chacie pracowała, w kupne perkale ubierała się i codzień *jajecznię* ze słoniną jadła...

Tym razem, dziewczyna żywo z nogi na nogę przestąpiła i odburknęła.

— Niechaj Stepanową jajecznicę *świnie* jedzą...

— A teraz dziewczęta śmieszne pieśni do ciebie śpiewają, że niby już stara dziewka z ciebie.

Wzruszyła ramionami.

— Niechaj sobie śpiewają.

Kowalikowe oczy roziskrzyły się i ręce zatrzęsły się trochę.

— Co ty tak do mnie, niby gadasz, niby nie gadasz... jak do psa jakiego... Rzuci słoweczko i znów milczy i w oczy nawet nie spójrzy... co ja tobie złego zrobił?..

Tym razem, Pietrusia z rąk sierp upuściła i dłonie do głowy podnosząc, zajęczała.

— Oj, zrobił ty mnie, zrobił, niedolę dla życia całego i pośmiewisko dla ludzi... Dwie niedziele już temu powrócił, a o mnie ani wspomniał, ani nawet przyszedł dobre słowo powiedzieć, ani w tę stronę gdzie ja była spójrzał...

Wstrzymała łzy, które niemal wytryskały jéj z oczu, schyliła się po sierp i czyniąc ruch taki jakby odejść miała, wpół z płaczem, wpół z gniewem zawołała:

— Nie chcesz ty mnie, nie chcę ciebie i ja... *Idzi* z Łabudową córką *żenisia*... najbogatsza w *całom siele* i oczy ma takie, że jedne na prawo patrzy a drugie na lewo... *Idzi* do Łabudowéj córki... z *Bohom* od *menie*.

Otóż te oczy, te oczy, które u Łabudowéj córki zezowate były i przebrzydłe, stanowiły u Pietrusi czar taki, że silniejszego nadeń żadna wiedźma wymyśléć by nie mogła. Zresztą, nic tak bardzo osobliwego w niéj nie było. Równie zgrabnych i świeżych jak ona znaleść by można na świecie mnóstwo. Ale oczy jéj przez to były osobliwemi, że wprost mówiły i wymową swą przyciągały, jak złotym sznurkiem. Opowiadały one całą jéj duszę, o któréj usta wiele mówić ani umiały, ani śmiały. I teraz także, w szarych jéj źrenicach, któremi ogarniała twarz Kowalczuka, było także mnóstwo wyrazów namiętnéj skargi i żałośliwéj prośby, wrodzonéj wesołości i długiéj tęsknicy, że Kowalczuk schwycił ją za rękę i trochę ku sobie pociągnął.

— Na mnie czekając, za Stepana nie szła?—Przyśpieszonym szeptem zapytał.

— A na kogóż?— odszepnęła.

— A ciężko było żyć?

Palcem, na którym od sierpa czy noża pozostała czerwona kresa, łzę z policzka ocierając, odpowiedziała.

— Ciężko.

— Na mnie czekając w takiém horowaniu i ludzkiém pośmiewisku żyła?—pytał jeszcze.

— A na kogóż?

— Pobóż się!

Palce na krzyż złożyła i oczy ku roziskrzonym błękitom nieba podniosła.

— Tak mnie Boże i Najświętsza Panno dopomóż, że za tobą własnéj duszy nie czułam i tak na ciebie czekałam, jak na tego ptaka, co kiedy przyleci to już słońce zaświeci i miła wiosna będzie...

Schwycił ją teraz w pół i do gaju pomiędzy brzozy pociągnął.

— Toż i doczekałaś się, bo jak Bóg jest na niebie, tak cię za żonę wezmę i na gospodynię do swojéj chaty wprowadzę. Zapomniał ja troszkę o tobie, to jest prawda, ale jak tylko twoje horowanie i ten twój ciężki pot zobaczył, to zaraz serce cościś ścisnęło mi jak w kleszczach, a jak twoje oczy popatrzały na mnie, to cościś we mnie rozpłynęło się jak ten miód...

Pośród brzóz, pośród zielonych, w powiewach wietrzyku i świergocie ptastwa, przyciskał ją mocno do piersi, ręką jakby stworzoną do kowadła i młota, z twarzy jéj ścierał pot i łzy, i usta z których wydobywały się śmiech i łkania, pocałunkami zamykał.

Długo potém w Suchéj Dolinie ludzie gadali, że Pietrusia i *temu* także *cościś zrobić* musiała. Bo któż kiedy słyszał, aby chłopiec, szczególniéj jeśli w szeroki świat pójdzie, sześć lat o dziewczynie pamiętał, a jeszcze taki, któremu by najbogatsze dziewczęta wieszały się na szyję; aby ożenił się z dziewką nie tak to już młodą, ze wszystkiém ubogą, przybłędą... Stepanowi zrobiła i temu zrobiła, tylko tamtemu odrobiła potém, a tego już sobie zabrała. Jakieś takie ziele zna, czy co? a może i coś gorszego jeszcze...

(*d. c. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*

AFGANISTAN

I JEGO STANOWISKO GEOGRAFICZNO-DZIEJOWE.

Afganistan w ostatnich czasach stał się głośnym jako „magazyn prochowy“ Azyi, a może i Europy; od kilku lat już po raz drugi iskra pada nań, a politycy i geografowie z trwogą i zajęciem natężają uwagę i usiłują przewidzieć, jak dalekie obszary obejmie wybuch. Nie bez interesu więc zapewne będzie i dla naszych czytelników *geograficzny zarys Afganistanu*, jaki tu dać zamierzyliśmy, ze szczególném uwzględnieniem jego geograficzno-strategicznych stosunków.

Interes, jaki obecnie budzi Afganistan, zależy głównie na ciągłém zbliżaniu się rosyjskich bagnetów, ku jego północnéj krawędzi: „orzeł dwugłowy, mówi Vambery, coraz daléj rzuca cień swych skrzydeł od Kaspii i Jaxartu po za Oxus ku podnóżom Hindukuh!“ Stosowném przeto wydaje się nam rzucić przedewszystkiém choć przelotnie okiem na *historyczne i przestrzenne warunki* tego tak ważnego w dzisiejszéj polityce zjawiska.

Od chwili, gdy w roku 1580 „północny Pizarro“ na czele kozackiéj watahy przekroczył „Pas Kamienny“, rozpoczynają się podboje rosyjskie w Azyi i trwają dotychczas; jakkolwiek bowiem kozacy przelecieli, rzec można, galopem Syberyą i po kilkudziesięciu latach stanęli już nad cieśniną Behrynga, to jednak Rosya nie dosięgnęła jeszcze wszędzie naturalnych granic.

Na przestrzeni między zachodniemi odnogami Altaju a Uralem stepy południowo - zachodniéj Syberyi zlewają się bez przeszkody ze stepami Turanu (Kirgiskie), ową dziedzinę Arimana „krainą piekielną“ (Tartarya), solno-piasczystą, bezwodną, bezdrzewną, z horyzontem bez końca, tęsknym jak nieziszczone pragnienie; gdzie „każda kropla wody jest kroplą życia“, gdzie samotne drzewa są czczone jako osobliwość i świętość, gdzie powietrze drżące nad rozpalonym

piaskiem tworzy ruchome miraże a słone bagna chłoną wędrowca w swych zdradliwych głębiach; gdzie tumany piasku (Tebbad) w lecie, a śniegu (Buran) w zimie przebiegają pustynię „jak demony“, a w zawody z niemi ruchliwe hordy łupieskie, co „nie spoczywają ani pod cieniem drzew, ani pod opieką króla“, „na koniu nie znają ni ojca, ni matki“, co „łączą się z wrogiem, łupiącym kibitkę ojcowską“—i gdzie tylko nad nielicznemi rzekami „siewcami złota“ (Serafszan) powstało życie osiadłe uciśnione, niewolnicze, pogardzane i pogardy godne (Tadżiki, Sarty).

U wrót takiéj krainy stanęli Rosyanie, podbiwszy Syberyę; tu już i *geograficzne* i *etnograficzne względy* pchały ich naprzód, nie mogli się już powstrzymać, jak kula tocząca się po równi pochyłéj, i od tego czasu posuwają się ku południowi „z żywiołową koniecznością sił przyrody“, „refleksyjnym ruchem człowieka dręczonego przez muchy“. Albowiem na całym tym obszarze, aż do Iranu nie napotkali naturalnéj granicy, pierwsze zetknięcie się z Kirgizami było niby kamykiem rzuconym w mrowisko: pobiwszy jedno plemię, a nieuzyskawszy strategicznéj granicy, wikłali się w wojnę z drugiém; po Kirgizach, Kokańcach, Chiwińcach, Bucharcach przyszła koléj na *Turkomanów*.

Kraj Turkomanów leży między Amu - Darią na północy, północną krawędzią Iranu na południu i morzem Kaspijskiém na zachodzie. Łańcuch skalistych dziko poszarpanych gór, ciągnący się od zatoki Bałkan na południo - wschód do krawędzi Iranu (Paropamizus), pod nazwami: Bałkan, Kiurrendag i Kopetdag, dzieli Turkmenię na dwie części: południową i północną. Południowa część, zasłonięta od północnych wiatrów górami, zraszana wodami Atreku i Giurgienu, żyzna i wydająca płody południa, jest jedną z najrozkoszniejszych krain na ziemi. Pełno tu romantycznych widoków skał stromych, łąk kwietnych, niw bujnych, lasów i kryształowych strumieni spadających w kaskadach ku rzekom głównym. „Tu, mówi pewien podróżny, łączy się wdzięk angielskich krajobrazów, z majestatycznemi formami świata alpejskiego“. Tu spotykamy ślady dawnéj cywilizacyi w ruinach miast i kanałów, na miejscu których obecnie leżą tylko nieliczne wsie Turkomanów, a w pobliżu ujścia Atreku nad morzem Kaspijskiém rosyjski fort Czykislar.

Północna część w ogóle zupełnie odmienny przedstawia widok. Składa się ona z bagnisto-solnéj wyżyny Ust'-Urt między morzem Kaspijskiém i Aralskiém i z piasczystéj pustyni Kara-Kum na południe od Amu - Darii. Jest to kraina bezwodna, nie liczne studnie nad drogami karawanowemi zawierają wodę słonawą, gęstą o nieprzyjemnéj siarczanéj woni. Gorąco dochodzi tu 54°C. a powietrze

napełnia pył tak subtelny, że przenika przez namioty filcowe, pudruje włosy, sprawia zapalenie w oczach i trzeszczenie w zębach. Miryady owadów tak dokuczliwych, że od ich ukąszeń wielbłądy z bólu tarzają się po ziemi, a czasem nawet zdychają. Roślinność tylko zrzadka daje się spotykać i składa się z krzaków ciernistych, roślin solnych i twardéj trawy, stanowiącéj paszę dla wielbłądów. I ta kraina jednak inną była niegdyś, miała w swych dniach młodzieńczych chwile potęgi i świetności. „Depczemy tu nieraz, mówi dr. Jaworski (1), po milowych zwaliskach, których minioną świetność zdradzają zabytki starożytnéj kultury, o któréj jednak dzisiejsze pokolenia nie mają żadnéj świadomości. I nic w tém zaiste dziwnego, gdyż hordy światoburzców-Czyngischana, Tamerlana i Nadira przeszumiały jak straszliwy huragan po nad tą krainą, a śmiertelne tchnienie pustyni dokonało dzieła zniszczenia“. W ogóle Turan jest „krainą upadku, gdzie wysychają źródła, opadają rzeki, rujnują się kanały, morza zamieniają w jeziora, jeziora w kałuże a te ostatnie w wykwity solne, albo przestrzenie piaszczyste“. Podanie ludów tutejszych mówi, iż „żaby wypiły morze, a teraz dopijają jego resztek—Kaspijskiego i Aralu“ (2).

Tylko na skraju téj pustyni wzdłuż północnych stoków Kiurrendagu i Paropamizu ciągnie się szereg zieleniejących oaz, błogosławionych krain Ormuzda, staczających śmiertelną walkę ze spiekłemi piaskami pustyni Arimana, walkę zupełnie analogiczną do téj, jaką według pojęć egipskich staczał Osiris z Typhonem. Szereg tych oaz u stóp Kiurren i Kopetdagu zowie się Achal-oazą; tu wśród bujnych niw i ogrodów leżą turkomańskie ufortyfikowane auły jak Kizil Arwat i Beurma zdobyte przez Rosyan, Geok-Tepe ów „garczek gliniany“, jak go nazywali Rosyanie, który jednak sprawił im wiele kłopotu bohaterską obroną zanim został zdobyty przez Skobelewa (1881 r.). Nakoniec Aschabad. Na wschód od Achal-oazy u stóp Paropamizu nad rzekami spływającemi z Afganistanu (Tedżend i Murghab) już na progu do tego kraju leżą jeszcze dwie oazy Sarachs i Merw, też w ostatnich czasach zajęte przez Rosyę. Ważniejszą z nich jest *oaza Merw*.

Jak żyzny Egipt jest „darem Nilu“, tak Merw jest darem bystréj i głębokiéj rzeki Murghab (Marghus starożytnych) spływającéj z Paropamizu. Rzeka ta tworzy na wysokości 900' (3) wązką (2 mile) i długą (30 mil) oazę i ginie w palących piaskach pustyni. Dzięki

---

(1) Ob. Petermann's Mitteilungen 1883, s. 410.

(2) Ob. Aus Allen Weltteilen 1885, s. 90.

(3) Ob. Peterm. Mitteil, 1884, s. 198.

swéj żyzności tak kontrastującéj z bezpłodnością okolicznéj pustyni, Merw był znany i słynny już w głębokiéj starożytności. Merw to „piękny i święty“ Mouru Zend Avesty, trzecia z rzędu kraina obfitości stworzona przez dobrego Ormuzda. Późniéj u Strabona znajdujemy znów Merw (Margiana), jako nadzwyczaj żyzną oazę, którą Antiochus Soter otoczył murem na 1500 stadyj w obwodzie. Winogrona miały tu rosnąć tak bujnie, że pnie ich zaledwie dwóch ludzi obejmować mogło, a grona bywały na dwa łokcie długie. Podobnież arabscy geografowie sławią żyzność Merwu i zowią go „królem świata“ (Merw Szach Dżechan). Kalif Al Mamun obrał go sobie za rezydencyą, był on wtedy pełen pałaców ogrodów, gajów, strumieni, kwitnął uprawą jedwabiu, bawełny i melonów, był siedliskiem nauk. Upadek zupełny Merwu datuje od końca zeszłego wieku, gdy chan Buchary, zawojowawszy tę oazę, zniszczył groble i kanały, a mieszkańców uprowadził w niewolę. Oaza stała się pustynią; aż dopiero w 1834 roku osiedliło się tutaj jedno plemię Turkomanów i zajęło uprawą zboża i melonów, oraz hodowlą wielbłądów.

Turkomanie, czyli Turkmeni (w liczbie około 1 miliona) są narodem tureckiego plemienia, u którego typ turecki dzięki niedostępności pustyni zachował się najczyściéj; są to, jak się wyraża Vambery, „Turcy *par excellence*“. Turkomanie dzielą się na kilka pokoleń, jako to: Jomudów żyjących nad dolnym Giurgenem, Atrekiem i na północ od niego i należących nominalnie częścią do Rosyi, częścią do Persyi; Goglanów między Atrekiem i Giurgenem (na wschód poprzednich), którzy należą do Persów. Na północ od Jomudów, na półwyspie Mangiszłak żyją podlegli Rosyi Ogurdżale, Szichce lub Szichlary i w ogóle mieszanina różnych pokoleń. Tekowie, pokolenie do niedawna niepodległe najpotężniejsze (blisko połowa wszystkich Turkmenów), dzielą się na Achal-Teków i Merw-Teków, zamieszkujących oazy, od których noszą swe nazwy; Turkmeni Ssaryk i Salera mieszkają nad Murghabem w górę od Merwu i nad Tedżendem.

Co do cech zewnętrznych, to Turkmeni są smukli, ale dobrze zbudowani, łatwo znoszą głód, oraz niewygody klimatu i dalekich podróży. Zmysły wzroku i słuchu nadzwyczaj rozwinięte. Cera ciemna, prawie brązowa, kości policzkowe wydatne, lecz nie tak znacznie jak u Kirgizów. Oczy małe i głęboko osadzone, zmrużone zapewne skutkiem blasku i pyłu pustyni, lecz spojrzenie śmiałe, dumne i pełne zaufania w swe siły. Włosy na głowie i brodzie kruczéj czarności, zęby olśniewająco białe. Tu i owdzie zdarzają się piękne kaukaskie typy w skutek skrzyżowania z perskiemi brankami. Noszą długie szlafrokowego kroju odzienie, czapkę bardzo

wysoką barankową, która chroni od zimna jak również od promieni słonecznych i służy za poduszkę. Strój kobiet tém się różni, że zamiast czapki noszą na głowie szale, oraz różne ozdoby ze złota, srebra i różnobarwnych kamyków, i to w takiéj ilości, że twarz ich, któréj nie zasłaniają, wygląda jak „święty obraz w kaplicy“. Za mieszkanie służą namioty filcowe stożkowego kształtu, podobne do uli (Kirghahs). Jedyne ich upiększenie stanowi rozwieszona na ścianach różnorodna broń.

Turkmeni wiodą życie po części osiadłe, po części koczujące. Osiedli zajmują się już-to rybołówstwem, dobywaniem soli i nafty na wybrzeżach i wyspach morza Kaspijskiego, już rolnictwem (pszenica, jęczmień, ryż, proso, a przeważnie rodzaj kukurydzy dżugara, która daje 200 ziarn; z owoców arbuzy i melony). Turkmeni koczujący trudnią się hodowlą bydła, owiec, koni i wielbłądów; jednak uboga kraina zmuszała ich do szukania zyskowniejszego zarobku w rabunkach, w niespodzianych napadach na Chiwę i północną Persyę; Turkoman jest „rabusiem z profesyi“. Z tych rabunków zasłynęli szczególniéj Tekowie; wyprawy ich sięgały na mil 150; z jednéj strony przeszkadzali oni handlowi karawanowemu między rosyjskim portem Krasnowodzkiem (nad zatoką Bałkan) i Chiwą, z drugiéj, dostając się doliną Tedżendu do Iranu, zamienili okolicę Meszedu w pustynię. W północnéj Persyi napady ich były postrachem i zarazem podstawą chronologii. Życie takie wyrobiło w Tekach charakter okrutny, témbardziéj że Persowie, gdy im się udało schwycić rabusiów, mścili się na nich straszliwie: „gdy spotkasz, mówią oni, żmiję i mieszkańca Merwu, to wprzód zabij mieszkańca Merwu“. Oto co w tym przedmiocie opowiada Stein (w Petermann's Mitteilung. 1880 r.). W roku 1861 łupiezka banda Turkomanów (alaman), która zapędziła się w okolice Meszedu, została przez Persów rozbita, przyczém około stu Teków dostało się do niewoli. Z najwyższego rozkazu powiązano im ręce i nogi, przykuto do żelaznych sztab i popędzono mil 150 do Teheranu, gdzie mieli być rozstrzelani. Ministrowie, chcąc urządzić ludowi widowisko wedle gustu, rozkazali przywiązać tych nieszczęśliwych do murów miejskich i rozstrzeliwać oddziałowi piechoty z odległości 300 kroków. Niewprawni w strzelaniu Persowie bardzo źle trafiali w swe żyjące tarcze i ten charakterystyczny sport mógł-by się był przedłużać do nocy, gdyby posłowie europejscy nie byli się w to wdali i nie skrócili mąk tych nieszczęśliwych przez to, że oddział piechoty został posunięty bliżéj. Mimo to, strzelanie trwało do wieczora. Wielu jeńców uwolnionych przez kule, które poprzecinały powrozy, wlokło się umyślnie ku strzelającym, aby prędzéj mękom koniec położyć.

W roku znów 1875 dla nowomianowanego gubernatora Chorossanu urządzono powitalną uroczystość, dla uświetnienia któréj dwudziestu schwytanych Turkomanów nadziano na bagnety i obnoszono dokoła.

Życie wśród ciągłych niebezpiecznych łupiezkich wypraw wyrobiło w Turkomanach wielkie zamiłowanie do koni. Rączości i wytrwałości konia zawdzięczał Turkoman życie; bez konia zginąłby niechybnie, z koniem był królem pustyni. To téż konie opiewają oni w pieśniach pod nazwą „czupraśli“ tj. bystry, rączy (tylko w zastosowaniu do konia) i „karughli“ tj. wojownik i koń.

Mimo srogości dla wrogów wywołanéj łupiezkiem życiem i strasźliwemi odwetami Persów, Turkomanie nie pozbawieni są szlachetnych stron charakteru, które wyrażają się w wolném stanowisku kobiety (mimo rzadkiéj zresztą poligamii), przywiązaniu do dzieci, zamiłowaniu w poezyi narodowych bardów, czci dla poległych bohaterów, wierności danemu słowu (rewers pozostaje tam w ręku dłużnika nie wierzyciela), gościnności, męstwie i nieograniczoném zamiłowaniu wolności. To ostatnie posuwają oni aż do negowania wszelkiéj władzy, wyjąwszy chwilowych wodzów wyprawy lub niebezpieczeństwa gdy woda grozi przerwaniem grobli i zalaniem oazy. Zresztą chan nosił tytuł tylko tak sobie dla przyjemności. Nie możebną téż do urzeczywistnienia była niedawno w Anglii powstała myśl utworzenia z Turkomanów jednolitego państwa jako przedmurza Afganistanu i Indyi od strony Rosyi. Rosya ze swéj strony tak dla zabezpieczenia handlu jak i swych granic od ciągłych napadów musiała raz skończyć z Turkomanami, opanowała ich oazy, nareszcie ich główne ognisko Merw. Zająwszy Merw, Rosya zagroziła Afganistanowi a pośrednio—indyjskim posiadłościom Anglii.

Stein, mówiąc w zacytowanéj wyżéj pracy o konieczności podbicia Turkomanów, tak kończy: „kończymy życzeniem, aby obie wielkie potęgi europejskie (Rosya i Anglia), których interesa w Azyi są tak zaangażowane, mogły się porozumiéć w interesie najwyższego dobra ludzkości, aby wspólnym usiłowaniem położyć koniec azyatyckiemu barbarzyństwu i dopomódz do zwycięstwa dziełu cywilizacyi.“

Przytaczając przed kilku laty powyższe słowa, uczyniliśmy następującą uwagę:

Piękne to zaiste, lecz naszém zdaniem zbyt idyliczne życzenie; albowiem do tych *szczególnych*, miejscowych geograficzno-etnograficznych czynników posuwania się Rosyan w Turanie, któreśmy na początku wymienili, dołączają się jeszcze *ogólniejsze* a mianowicie: pragnienie ludów kontynentalnych do wyłamania „krat kontynen-

talnego więzienia,“ aby z okrzykiem „talassa“ wstąpić na ów „najdogodniejszy most międzynarodowych stosunków“ i powtóre: odwieczne dążenie ludów północnych ku bogatym krainom południa drogami stanowiącemi przerwy w górskiéj równoleżnikowéj osi starego świata. Objawy dziejowe związane z warunkami geograficznemi mają cechę stałych praw; zmieniają się aktorzy tj. państwa i narody, lecz nic zmienia idea. Rosya w Europie objęła dążenie ku południowi (przez bramę Czarnomorską) po Waregach, w Azyi (przez Turan i bramę Chorossańską) po Mongołach. Wolno ale nieustannie krok za krokiem posuwa się „olbrzym północy“ ku południowi przez stepy Turanu, z pierwotnych pikiet kozackich powstają miasta, w miarę jak linia pikiet posuwa się dalej. Projekta kolei żelaznej, ku podnóżom Hindukuh i odnowienia koryta Amu-Darii, usadowienie się nad ujściem Atreku, którego dolina jest najdogodniejszą drogą do Merwu i wciąż ponawiające się wyprawy w tę stronę — wszystko to dowodzi, że chmura gromowa, dążąca z północy, wciąż zbliża się, potężnieje, nabrzmiewa.... A gdy pioruny wypadłe z niej rozlegną się kiedyś śród śnieżnych szczytów Hindukuh i Pamiru, to potężnem echem wstrząsnąć mogą w posadach cały Ląd Stary od Atlantyku do oceanu Wielkiego.

Słowa te zaczynają się spełniać: echa pierwszych strzałów odbiły się już o zachodnie gałęzie Hindukuh, Rosya postawiła nogę na próg Afganistanu.

I.

Między górnemi częściami Indu (Attok) i Amu Darii (Kunduz), gdzie najbardziej zwęża się (do 60 mil) „pacierzowy grzbiet“ wielkiego azyatyckiego kontynentu, wyżyna Iranu północno-wschodnim kątem trapezu (Hindukuh) przytyka do olbrzymiej wschodnio-azyatyckiej wyżyny (Pamir, „Dach świata“) i niby tępym klinem oddziela surowe i mroźne niziny Azyi północnéj — dziedzinę ruchliwych, wojowniczych nomadów, od zwrotnikowych rozkosznych nizin Hindostanu — owej „krainy cudów“, owego „celu zdobywców“. Klin ten, to *Afganistan*, Drangiana i Arachosia starożytnych, Pasztunka (Paktunka) Afganów.

Już samo wyżej oznaczone *położenie* Afganistanu uczyniło go krajem przejściowym („Das Land der Passage“, „Durchzugsland“ u Rittera) między centralną i zachodnią Azyą z jednej a Indyami z drugiéj strony; rzeczywiście bowiem, wykluczywszy drogę morską, która przed odkryciem Portugalczyków i rozwojem żeglugi mało była

używana, kto chciał dostać się do Indyj, ten musiał przejść Afganistan. Ztąd przysłowie Indusów: „nie może być panem Indyi, kto nie stał się wprzód panem Kabulu.“ To znaczenie Afganistanu, jako kraju przejściowego, które wywarło wielki wpływ na jego etnograficzne i dziejowe stosunki, znajduje poparcie także w jego *oro- i hydrograficznych* warunkach, do których obecnie przechodzimy (1).

II.

Afganistan w ściślejszém znaczeniu, jako pewna fizyko-geograficzna, a po części i etnograficzna całość, przedstawia czworokątną wyżynę wielkości półwyspu Pirenejskiego (2), która na północy i wschodzie ma za naturalne granice potężne góry skrajne—Hindukuh i Soliman; na zachodzie zaś i południu, jakkolwiek nie posiada tak wybitnych granic geograficznych, to jednak ciągnące się tam trudne do przebycia pustynie Persyi i Beludżystanu, oddzielając Afganistan od reszty wyżyny Iranu, zapewniają mu i z tych stron przynajmniéj granice strategiczne (3).

---

(1) Fakta do niniejszéj pracy czerpaliśmy z Rittera Erdkunde, Reclus'a Nouvelle Geogr. Univers., artykułów Vambery'ego i Trumppa w Unsere Zeit i Allg. Ztg., z czasopism wojskowych: Wehr-Ztg., Vedette itd., pozostawiając sobie samodzielność usystematyzowania i niektórych wniosków.

(2) Wymiary geometrycznego czworokatu są następujące: bok północny=160 mil, wschodni=130, południowy=120, zachodni=80. Przekątnia dłuższa od Barogilu do jez. Hamun=200 mil przekątnia krótsza od wyłomu Herirudu w Paropamizie do południowego końca Solimanu=150 mil. Powierzchnia tego geometrycznego czworokąta jest nieco większa od geograficznego, gdyż geograficzne boki północny i wschodni zaginają się we wnętrze figury geometrycznéj.

(3) *Polityczne granice* Afganistanu niezupełnie zgadzają się z jego granicami naturalnemi, a na północy daleko po za nie wybiegają. Podajemy je tutaj w przypisku jako objaw nietrwały, nie mający cechy jakiegoś geograficznego prawa, lecz odpowiadający tylko danéj chwili i dla niéj tylko mający znaczenie. Wschodnia granica polityczna (z Indyami) najbardziéj zgadza się z naturalną, a mianowicie ciągnie się wzdłuż łańcucha Solimanu, w pobliżu angielskich fortów Thalu (nad r. Kurum), Kohatu i Dżamrudu (nieco na zachód Peszaweru), przecina rzekę Kabul i daléj ku północy ciągnie się jeszcze na pewnéj przestrzeni wzdłuż południowéj gałęzi Hindukuh; lecz niebawem zwraca się na zachód równolegle do rzeki Kabulu, odgraniczając przytykający z północy niepodległy Kafiristan i dosięgnąwszy w okolicach doliny Tagau i przejścia Chewak, głównego grzbietu Hindukuh, biegnie wzdłuż niego do gór Karakorum tam, gdzie przejście Barogil prowadzi z wyżyn Pamiru na dolinę Indu. Ztąd granica przechodzi na północ Hindukuh i biegnie przez Pamir do górnych części Amu-Daril, gdzie zaczyna się granica północna (z Bucharą). Granica północna idzie w kierunku zachodnim wzdłuż Amu-Daril aż do tego punktu (Chodża Salih), gdzie rzeka zwraca się na północo-zachód, to jest do 66° dług. wsch. od Greenw. Tu granica opuszcza Amu-Darię i ciągnie przez stepy Turko-

A) Góry skrajne.

1. Góry Soliman ciągną się z południa na północ równolegle z Indem do wyłomu rzeki Kurum. Są to nagie, dziko poszarpane skały, spadające ku nizinie Indu stromemi ścianami i krótkiemi terrasami; terrasy te poprzedzielane są przez liczne łańcuchy gór wznoszące się równolegle do głównego jeden za drugim „w militarnym szyku". Jeden z najwyższych szczytów Takti Soliman („tron Salomona"), leżący w połowie łańcucha, w odległości 14 mil od Indu sięga przeszło 11000'. Na północ wyłomu rzeki Kurum góry rozgałęziają się i tracą nazwę Solimanu; te, które ciągną się nieco ku północowschodowi, na granicy Afganistanu, noszą nazwę gór Solnych, z powodu obfitości soli kamiennéj; daléj na północ, do wyłomu rzeki Kabulu, ciągną się góry Khyber. Przez tę wschodnią krawędź wyżyny afgańskiéj prowadzi kilka przejść (*kotul* Afganów), które łączą świat

---

mańskie w kierunku południo-zachod. przez Murghab do rzeki Herirud. Granica ta z Turkmenią idąca przez pustynię, jak słusznie zauważył Reclus, jest całkiem nieokreślona i przesuwa się stosownie do obfitości spadłych śniegów, bogactwa pastwisk, rozwoju irrygacyi, postępów lotnego piasku itp. Zachodnia granica (z Persyą) biegnie ku południowi wzdłuż rzeki Herirud (do punktu jéj zwrotu ku północy), wzdłuż pustyń perskich do jeziora Hamun. Południowa granica (z Beludżystanem) ciągnie się ztąd na wschód przez pustynię Seistan (Sedżestan) w pobliżu południowego łuku Hilmendu i rzeki Lora, daléj przez zachodnie odgałęzienie południowego Solimanu, na północ angielskiéj warowni Quettah i dosięga głównego łańcucha tych gór, gdzie zaczyna się granica wschodnia.

Powyższe rozszerzenie swych granic politycznych daleko na północ po za Hindukuh, które włączyło do Afganistanu turkiestańskie krainy Badakszan (z Wakhanem) Kunduz, Balk, Andżui i Maimene, otrzymał Afganistan 1872 r. gdy wskutek układu między Anglią i Rosyą rzeka Amu-Daria stała się kresem, po za który rosyjskie zdobycze w Azyi centralnéj nie miały przekroczyć. Jednakże kraina ta, oddzielona od właściwego Afganistanu potężnemi górami, ciąży wraz z Turkmenią ku Rosyi i prędzéj lub późniéj wejdzie w skład tego państwa. Obecnie naprzykład Rosya w układach z Anglią żąda rozszerzenia swych granic między Murghabem i Herirudem do Paropamizu (Nation. Ztg. 1885 N. 232).

Ten polityczny obszar Afganistanu (między 29° i 37½° szer. pn. oraz 61° i 75° dług. wsch. od Green.) ma obejmować 13.000 mil kw. i przeszło 8.000.000 mieszkańców (inni podają tylko przeszło 5,000.000), a mianowicie Afganów (głównie w geograficznym Afganistanie) 5 milionów, Turków (Uzbeków) (głównie w Turkiestanie) i Mongołów (Hazareh i Aimak) 1½ miliona, Tadżików (w obu częściach kraju) 1½ miliona i Beludżów (na południu) 50 tysięcy.

Władcą kraju jest emir, rezydujący w Kabulu; prowincyami turkiestańskiemi rządzą gubernatorowie przezeń mianowani, reszta kraju podzielona jest między pokolenia rządzone przez swych chanów, zależnych często tylko nominalnie od emira.

Wojska regularnego (według „Daily News") posiada emir obecnie 61,500 ludzi i 222 dział.

Irański z Indyjskim; najważniejsze z nich są: Guleri, utworzone wyłomem rzeki Gomal, dalej ku północy wyłom rzeki Kurum i nakoniec słynne przejście Khyberskie, leżące nieco ku południowi od wyłomu rzeki Kabulu, w samym zaś wyłomie skały przypierają bezpośrednio do rzeki i czynią przejście niemożliwem. Na północ wyłomu Kabulu ciągną się między dolinami Kunaru i Indu już południowe gałęzie Hindukuh.

2. Góry Hindukuh (Caucasus Indicus i Paropamisus, starożytnych) ciągną się z północo-wschodu na południo-zachód od wyłomu Indu i gór Karakorum do zachodniéj granicy Afganistanu, to jest do rzek Murghab i Herirud, gdzie te zwracają się ku północy. W ściślejszym znaczeniu nazwę Hindukuh nosi tylko wschodnia, wyższa część północnéj krawędzi Afganistanu (z wierzchołkami do 25000' leżącemi jednak nie w głównym łańcuchu lecz w jego południowych odgałęzieniach) do wąwozów Bamiańskich, pochylająca się na północ ku dolinie Amu-Darii, a na południe ku dolinie Kabulu. Hindukuh wysyła odgałęzienia prawie prostopadłe do linii rzeki Kabulu, oddzielone od siebie dolinami lewych jéj dopływów (Ghorbendu, Pandżiru i Tagau, Aliszengu, Kunaru, Pandżikory i Swatu). Doliny te noszące po części miano Kohistanu, po części (ku północy) Kafiristanu, są w dolnych częściach bardzo żyzne i pokryte ogrodami drzew owocowych i łanami zboża. Najbardziéj z tych gałęzi Hindukuh wysunięta na wschód, zwana górami Lahori (szczyty do 22000') oddziela się od głównego łańcucha między dolinami Kunaru i Indu (Gilgit), wysyła ku południo-zachodowi poboczne gałęzie rozdzielone dolinami Pandżikory i Swatu i przecięta przez ich połączenie, Lundi, dosięga rzeki Kabulu na północ Khyberu. Ta gałąź Hindukuh wraz z Solimanem tworzy wschodnią krawędź wyżyny Afgańskiéj.

Przez główny grzbiet Hindukuh prowadzą z Turanu do Afganistanu przejścia liczne lecz bardzo uciążliwe, niektóre bowiem przewyższają wysokość szczytów alpejskich, i z tego powodu przez większą część roku są niedostępne (śniegi i wody powstałe z nich). Z kilku przejść w północno-wschodniéj części gór najdogodniejsze jest Barogil (12000'), prowadzące z wyżyn Pamiru na dolinę Kunaru; według zdania Biddulpha „główny grzbiet azyatyckiego lądu można tu łatwo przebyć w powozie.“ Ku zachodowi przejścia są daleko wyższe, przewyższają wysokość Mont-Blanc'u i przez cały rok są zawalone śniegami i lodami; dogodniejsze z nich są: Nuksan („droga niedoli“) i Dora. Nieco na wschód Nuksanu w bocznéj gałęzi gór wznosi się najwyższy szczyt Hindukuh: Tiricz Mir (25000'). W zachodniéj łukowatéj części gór, objętéj z obu stron północnéj i połu-

dniowéj przez dwa bardzo rozgałęzione i głęboko w góry sięgające systemata rzeczne Kunduzu (Surkhab i Inderab) i Baranu (Ghorbend i Pandżir), których cztery doliny tworzą romb, przejścia prowadzące z jednego systemu do drugiego, cisną się obok siebie i są niższe od dwóch poprzednich a mianowicie zaczynając od wschodu: Chewak (przeszło 12000') z Inderab do Pandżiru, Tal, Saria, Szewa, Bazarak, Szatpal, Parwan, Doszak (Sar Alang), Kuoszan (Kipczak), którym Baber wkroczył z północy do Kabulu, Gwasgar, Czardar, Farindshal, Szibertu (Szabar), i nakoniec słynne wąwozy Bamiańskie. Te ostatnie leżą na zachodnim krańcu właściwego Hindukuh i prowadzą wprost do doliny Kabulu. W tym punkcie gór różne pisma podają różne nazwy przejścia tak, iż nieświadomy rzeczy nie wie, jakie właściwie przejście prowadzi tędy z Chulm do Kabulu; pochodzi to ztąd, że wskutek znacznego rozszerzenia się pasma gór w tém miejscu, droga przecinająca je musi przechodzić nie jeden (jak zwykle podają) lecz kilka wąwozów, z których trzy południowe: Unna (11000'), Hadżjak (12000') i Irak (13000') (ten ostatni w tymże samym łańcuchu co poprzedni lecz nieco daléj na północ, między Hadżjakiem i Szibertu) są wyższe, trzy zaś północne: Akrobat, Dendanszikan i Karakotul—niższe. Dendanszikan jest z nich najniższy ale bardzo przykry, czego wymownym dowodem jest sama nazwa znacząca: „wybijacz zębów.“ Między temi dwiema grupami przejść leży zamknięta górami, wysoka równina Bamianu, sięgająca wysokości równin Quito i Bogoty w Kordylierach (przeszło 8000'). Okolice Bamianu były w odległéj starożytności miejscem świętem Buddyzmu, który tu dosięgnął z Indyj przez Kabul. Liczne groty, służące niegdyś za pustelnie, któremi obie ściany bamiańskiéj drogi podziurawione są, według wyrażenia Burnesa „jak plastry miodu,“ dwa olbrzymie kolosy tak zwane But-Bamian (wyższy 140' według Jaworskiego) wykute w tychże ścianach, i inne pamiątki świadczą o rozwoju Buddyzmu w tych stronach przed spustoszeniem ich przez Dżengischana. Przejścia Bamiańskie noszą jeszcze nazwę Hindukusz, która nie właściwie została rozprzestrzeniona na cały łańcuch gór ztąd na wschód do Karakorum. Nazwa ta znaczy „zabójca Indów“ i według Ebn Batuty ma pochodzić ztąd, że niewolnicy indyjscy, prowadzeni niegdyś przez te wysokie wąwozy do Turkiestanu, z powodu dotkliwego dla nich zimna umierali w znacznéj liczbie.

Na południo-zachód od wąwozów Bamiańskich, między górnemi dolinami Hilmendu na południu, a Surkhabu (Kunduz) i Dehas (Balk) na północy, ciągną się ku źródłom Murghabu i Herirudu góry Kohi-Baba („matka gór“) z wierzchołkami na 18.000'. Na źródłowiskach obu tych rzek góry rozszczepiają się na trzy łańcuchy, two-

rząc niższą, ale dziką i niedostępną krainę Hazareh, zwaną w starożyności Paropamizem. Obecnie części tych gór noszą różne nazwy: średni łańcuch zwie się głównie Sefidkuh tj. „góry białe“ a południowy Siahkuh tj. „góry czarne.“ Między średnim łańcuchem i północnym leży niezdrowa dolina górnego Murghabu (Meruczak), o którój istnieje przysłowie: „woda Meruczaku zabija tak szybko, że Allah nie ma czasu dowiedzieć się o tém.“ Między średnim łańcuchem a południowym, leży dolina górnego Herirudu czyli Heratu. Równina Heratu (2.600'), ograniczona górami i zroszona licznemi kanałami Herirudu, pokryta ogrodami i lasami drzew owocowych, obfitująca w róże, przedstawia podobnie jak doliny Ispahanu i Szirazu, rajski widok. Herat z tego powodu otrzymał miano „miasta 100.000 ogrodów,“ „perły Chorossanu“. Mimo piękności okolic, samo miasto Herat, jak w ogóle miasta na wschodzie, należy do najbrudniejszych w świecie: na ciasnych ulicach napotykają się cuchnące kałuże, nieczystości i padlina. Gdy angielski podróżny, Conolly objawił pewnego razu swe zdziwienie, iż mimo takich brudów, klimat Heratu jest zdrowy, pewien Heratczyk odrzekł: „gdyby brud zabijał, to gdzież możnaby znaleść Afgana?“

B) Wyżyna.

Między powyższemi dwoma łańcuchami granicznemi (Solimanem i Hindukuh), zbiegającemi się pod kątem ostrym na północowschodzie w pobliżu przejścia Barogil, rozciąga się wyżyna Afganistanu napełniona licznemi łańcuchami gór, rozłożonemi wachlarzowato między ramionami kąta; a ponieważ ramiona te przy końcach wyginają się rozbieżnie, więc całość przedstawia się nakształt kielicha kwiatu, z którego wychodzą liczne pręciki (rzeki). Wyżyna ta ma dwie główne pochyłości—wschodnią i zachodnią. Linia dzieląca te dwie pochyłości i stanowiąca główny dział wodny Afganistanu, idzie od zachodniego krańca, właściwego Hindukuh, na południe przez wyżynę Ghazny, następnie wstępuje na łańcuch gór, ciągnący się do południowych granic Afganistanu pod różnemi nazwami (Dżadran, Kohnak, Toba, Czappar), uogólnianemi na niektórych mapach pod jedną nazwą „zachodniego Solimanu.“ Każdą z powyższych dwóch części wyżyny przerzynają, w kierunkach przeważnie ukośnych do głównego działu wód, łańcuchy gór porozdzielane dolinami rzecznemi, tworzącemi odosobnione krainy.

1. *Łańcuchy i krainy wschodniéj części.* Na północy gór Dżadran ciągną się od wyżyny Ghazny i rzeki Logaru na wschód do gór Khyberu góry Sefidkuh (po persku) czyli Spinghar (po afgańsku) ograniczone z północy i południa dolinami Kabulu i Kurumu. Góry te prze-

szło 15.000' wysokie (szczyt Sikaram), pokryte wiecznemi śniegami (zkąd pochodzi ich nazwa „góry białe“), wysyłają ku północy odgałęzienia spadające stromo ku rzecze Kabul i oddzielone często tylko szerokością jéj łożyska od przeciwległych odgałęzień Hindukuh.

Sefidkuh odrzyna od Irańskiego trapezu jego północno-wschodni róg i tym sposobem wraz z górami Hindukuh tworzy trójkąt o zaokrąglonym nieco rogu zachodnim oraz o boku południowym przerwanym w części zachodniéj (ku wyżynie Ghazny) albowiem Sefidkuh nie dochodzi tu do Hindukuh. Trójkąt ten obejmuje dorzecze Kabulu, które konturami swemi przypomina dorzecze Padu ale przewyższa je skalą wymiarów pionowych. Dorzecze Kabulu w części południowéj, wzdłuż rzeki głównéj, przedstawia wyżynę Kabulu zwaną Kabulistanem, w części zaś północnéj—krainę górzystą napełnioną odnogami Hindukuh i zwaną, jak już wiemy, Kohistanem i Kafiristanem.

Kabulistan składa się z dwóch terras: zachodnią wyższą terrasę stanowi wyżyna Kabulu, w ściślejszém znaczeniu (miasto Kabul 6.000'), wschodnią niższą—wyżyna Dżellalabadu (miasto Dżellalabad 1,800'). Granicą między niemi jest rzeka Surkhrud, wypływająca z Sefidkuh i wpadająca do Kabulu powyżéj Dżellalabadu. Obie terrasy, jak to już ze znacznéj różnicy ich pionowego wzniesienia domyślać się można, różnią się znacznie od siebie charakterem swéj przyrody. Wyższa terrasa, poprzerzynana łańcuchami gór, nieznacznéj względnéj wysokości, i głębokiemi dolinami potoków górskich, spływających z Sefidkuhu do Kabulu, spada stromemi ścianami prawie bezpośrednio do rzeki tak, iż pozostawia nad nią tylko wązką ścieżkę. Klimat odpowiada strefie umiarkowanéj i nosi cechę kontynentalnego. W zimie spada wiele śniegu, lato ma dni bardzo ciepłe ale noce bardzo zimne. Zresztą okolice Kabulu wydają południowo-europejskie owoce. Kabul był ulubioną rezydencyą sultana Babera, który w swych „Pamiętnikach“ zachwyca się malowniczością jego okolic, cudną zielenią ogrodów i obfitością kwiatów (ma się tam znajdować 50 gatunków tulipanów). Rzeczywiście dolina Kabulu pełna ogrodów, kwiatów, łąk i niw bujnych stanowi cudowny kontrast z ciemną nagością skał pobliskich i ze wspaniałemi piramidami dalekiego Hindukuh lśniącemi srebrzystym dyademem śniegów i lodów. Na północ Kabulu w pobliżu spływu Ghorbendu z Pandżirem równina zmienia charakter: na niewielkiéj przestrzeni przedstawia pustynię lotnego piasku; wiatr rzuca te piaski w szczeliny skał i wydaje tony podobne do dalekiego bicia w bębny z akompaniamentem dźwięków harfianych. Dawni autorowie mówią o pogrzebanych

tu hufcach zbrojnych, których muzyka gra wciąż jeszcze pod ziemią. Rzecz godna uwagi, że w okolicach miasta Kabulu, równie jak wzdłuż całego dorzecza Kabulu (w górach Khyber, około Dżellalabadu, koło Kabulu, na równinie Beghram, przy spływie Ghorbendu z Pandżirem) dają się napotykać wieże z niepalonéj cegły, zwane Topas albo Stupas, sięgające bardzo odległéj starożytności. Według Rittera, są to, podobnie jak i kolosy bamiańskie, zabytki epoki buddyjskiéj, która wyprzedziła epokę mahometańską w Afganistanie. Niższa terrasa czyli równina Dżellalabadu jest niejako rozszerzeniem doliny Kabulu w ściślejszém znaczeniu, która dotąd była tylko wązką ścieżką, a znów zwęża się u wyłomu Kabulu w górach Khyberu. Wskutek niższego położenia, równina ta przypomina klimatem i roślinnością (ryż, pomarańcze, nawet palma daktylowa) pobliskie Indye. Cieplejszy klimat sprowadza tu z wyższéj terrasy nomadów na zimowisko. Już sułtan Baber, bystry postrzegacz, gdy w marszu swym z Kabulu do Indyj przyszedł na granicę obu terras nad rzeką Surkhrud, do miejscowości Gundamuk, był niezmiernie uderzony różnicą przyrody na równinie Dżellalabadu od téj, jaką dotąd widział na wyższéj terrasie Kabulu: „wszystko, powiada w swych pamiętnikach, było tu nowe, ujrzałem inny świat.“ Podróżnik angielski Burnes, jadąc z Indyj do Kabulu, podobnież zauważył tę różnicę: za Gundamuk przyroda zmienia swą fizyognomią, w Dżellalabad pszenica była już zżęta (przy końcu kwietnia), a w Gundamak miała zaledwie trzy cale wysokości; tu trzeba było zmienić lekkie indyjskie ubranie na cieplejsze wełniane. Podróżny spotkał się tu po raz pierwszy z koczowniczém ruchliwém życiem wyżyny Iranu, tak różném od osiadłego kontemplacyjnego życia Indyj, które towarzyszyło mu aż dotąd. Tak więc Kabulistan przedstawia w szczególności to, co w ogóle Afganistan, to jest—kraj przejściowy między Azyą zachodnią i Indyami, gdy wschodnia niższa jego część nosi charakter indyjski, zachodnia wyższa, według słów Rittera, ma więcéj wspólności z Iranem, Anatolią, Arkadyą, Kastylią i Maghrebem, niż z Indyami. Wyższa terrasa Kabulu przechodzi na południu (na owéj przerwie w południowym boku trójkąta) w wynioślejszą jeszcze (przeszło 7.500’), chłodną, kamienistą i pustą wyżynę Ghazny, która już i pod względem hydrograficznym stanowi przejście do wyżyny Iranu, albowiem południowa jéj część leży już po za działem wodnym indo-irańskim (afgańskim).

Od tegoż samego północnego krańca gór Dżadran ciągnie się na południo-wschód do Solimanu drugi jeszcze łańcuch, oddzielony od poprzedniego (Sefidkuh) wąwozami Szutargardan i Peiwar, które prowadzą z dorzecza Kurumu do dorzecza Kabulu (Logar). Ten

łańcuch, zapewne północno-zachodnia gałęź Solimanu (Soliman centralny) sięgająca do wąwozu Szutargardan wraz z północno-wschodnią gałęzią, sięgającą do wąwozu Khyber, a więc do dwóch krańców Sefidkuhu, obejmują krainę wyższego Kurumu i nadają całemu systemowi Solimanu postać olbrzymiéj kolumny, podpierającéj poprzeczny łańcuch Sefidkuh a więc dźwigającéj wyżéj wspomniany północny trójkąt Afganistanu; w dźwiganiu tém dopomaga (że się tak wyrazimy) i zachodni Soliman jako boczna, nieco ukośna podpora. Kapitel téj kolumny, obejmujący właśnie ową krainę wyższego Kurumu, wyrzeźbiony jest jego doliną i dolinami jego dopływów (np. Khost, dolina Szamilu) z korynckiém niemal bogactwem.

Na południe od owego centralnego Solimanu, między górami Kohnak na zachodzie i północną częścią właściwego Solimanu na wschodzie, rozpościera się trzecia kraina, równie jak poprzednie, dobrze nawodniona, kraina rzeki Gomalu, z któréj prowadzą przez góry Kohnak wąwozy Sarwandi i Sargo do południowéj części wyżyny Ghazny, zajętéj przez wodozbiór niewielkiego jeziora Abistada (blisko 7.000'). Na południu kraina Gomalu przechodzi w bezwodną odznaczającą się krańcowym klimatem pustynię Siwistan, o któréj sami krajowcy powtarzają przysłowie: „o Boże, mając Siwistan, poco stwarzałeś piekło.“

Cała ta południowo-wschodnia część Afganistanu zawarta między zachodnim Solimanem, stanowiącym wybitny dział wód afgańskich oraz wschodnim Solimanem, poprzerywanym przez rzeki afgańskie dążące do Indu, ciąży ku Indyom, to też plemiona tutejsze są prawie niezależne od kabulskiego emira, a Anglicy w 1879 włączyli na chwilę ten kraj do swych posiadłości, szukając w zachodnim Solimanie swéj „umiejętnéj granicy.“

2. *Łańcuchy i krainy zachodniéj części.* Łańcuchy téj części, tak oddzielające się od głównego działu wodnego jako téż od Kohi-Baby i Siahkuhu, mają wyłącznie kierunek południowo-zachodni, to jest kierunek większéj przekątni afgańskiego czworoboku, zbudowanego na kierunkach dwóch łańcuchów skrajnych (Hindukuh i Soliman), i ciągną się między dolinami rzek, należących do wodozbioru jeziora Hamun i naśladujących tenże sam kierunek. Góry te jednak kończą się wprzód niż rzeki: nie dochodzą do jeziora Hamun, lecz spadają ku piaszczystemu morzu pustyni nakształt stromych poszarpanych przylądków.

Najznaczniejsze z tych gór, mało znanych i noszących różne nazwy (Ghorat, Gasarman, Pagman, Gulkoh, Gondan, Ghati, Amran, Takatu) są góry Pagman, Amran i Takatu. Pierwsze połączone z Hindukuh zapomocą poprzecznego jarzma (między źródłami Ghor-

bendu i Hilmendu ciągną się od północnego łuku Ghorbendu między Hilmendem i Argandabem; w nich to leży wspomnione wyżéj przejście Unna, prowadzące od źródeł Hilmendu do źródeł Kabulu. Gałęzią tych gór na lewo od Argandabu są góry Gulkoh, przez które przejście Szeridana prowadzi z Ghazny do Kabulu. Góry Takatu ciągną się na granicy z Beludżistanem na północy angielskiéj fortecy Quettah, są bardzo wysokie (do 12000') ale posiadają wygodne przejście, prowadzące z południa na północ, na równinę Piszin (dolina rzeki Lory), która dzięki swéj żyzności stanowi ważną podstawę operacyjną dla wojsk angielskich, wkraczających od Quetty do Afganistanu. Góry Amran, ciągną się między dolinami rzek Lory i Dory. Przez góry te przejścia Kodżjak (7300') i niższe Gwadża prowadzą z wyżyny Piszin na wyżynę Kandaharu (3500'). Tu kończą się promienie górskiego wachlarza, wspomnianemi wyżéj skalistemi przylądkami, a sama wyżyna w porównaniu z leżącą na północ wyżyną Ghazny, doznaje znacznego obniżenia i przyjmuje po części charakter piaszczystéj pustyni, po części Karstu, przypominającego swą bezleśnością, znikającemi rzekami i stalaktytowemi grotami Krainę i Istryę. Tylko wązkie, wyżłobione nakształt szpar, doliny systematu Hilmendu, dzielące wyżynę na szereg wąskich i długich smug wyżynowych, stanowią archipelag żyznych oaz wśród pustyni, siedlisko rolników pośrod nomadów; na nich widnieją łany zboża i ogrody owocowe.

Tu więc występuje już w całéj swéj doskonałości typowy charakter Iranu: walka wody z suszą i spiekotą, kontrast rajskiéj zieleni oaz ze śpiekłemi piaskami pustyni („szmaragdy w złotéj oprawie“), charakter który wyraził się w pojęciach religijnych starożytnych Persów, jako walka pierwiastku dobrego i złego (Ormuzda i Arimana), w poezyi zaś wschodniéj jako opiewanie wody, jéj przezroczystości, szmeru, chłodu itd., jako jakieś upojenie, oczarowanie człowieka bogactwami i pięknościami przyrody, które tém potężniéj uderzały go tutaj, iż występowały na tle ubóstwa i grozy pustyni. W jednéj z takich oaz, u wierzchołka ostrego kąta utworzonego rzekami Argandab i Tarnak, na równinie skropionéj licznemi rzekami i kanałami, wpośród ogrodów owocowych wznosi się Kandahar, trzecie wielkie miasto Afganistanu obok Kabulu i Heratu. Tutaj, podobnie jak na równinie Dżellalabadu, panuje ciepły klimat, śnieg pada bardzo rzadko, a lata z powodu blikości pustyń bywają zbyt gorące, tak iż część mieszkańców Kandaharu (podobnie jak Teheranu) przenosi się na lato w okoliczne góry.

Wyżyna Kandaharu na południu i południo-zachodzie przechodzi w piasczyste pustynie Sarawan i Sedżestan, gdzie porosłe lasami

trzciny okolice jeziora Hamun zniżają się do 1200′ i gdzie tu i owdzie widać ślady dawnego życia w ruinach sterczących „jak białe mary“, wśród zamglonéj od pyłu atmosfery. Pustynia od południowo-zachodniéj części Afganistanu rozciąga się daléj ku północy wzdłuż zachodniéj granicy do odgałęzień Siahkuhu, które napełniają pozostałą część Afganistanu zwaną Chorossanem.

Z tego orograficznego opisu Afganistanu widzimy, iż jego układ pionowy bardzo przypomina tenże układ półwyspu Pirenejskiego. Hindukuh, spadający ku nizinie Amu-Darii i dolinie Kabulu, odpowiada Pirenejom, spadającym ku nizinie Garonny i dolinie Ebro; podobnie téż jak Pireneje, zniżając się ku zachodowi, przechodzą w rozgałęzioną górzystą krainę Galicyi, tak Hindukuh w krainę Hazareh. Afgański dział wodny, idący z wyżyny Ghazny na południe, przypomina „Iberyjski kraj źródłowy“, idący w tymże samym prawie kierunku z wyżyny Reinosy. Dwie pochyłości Afganistanu: wschodnia, krótsza, i zachodnia, dłuższa, z rzekami odpowiednich kierunków i krainami rzecznemi, także przedstawiają analogię z półwyspem Pirenejskim.

III.

Najwynioślejsza z opisanych wyżyn Afganistanu, wyżyna Ghazny ma dla tego kraju ważne *hydrograficzne* znaczenie: jest ona podobnie jak St. Gotard, jak wyżyna Wałdajska itp. hydrograficzném centrum, z którego w różne strony wypływają prawie wszystkie rzeki afgańskie. Ztąd-to miasto Ghazna (Ghusni) jako węzeł komunikacyi (podobnie jak Nowogród W. na wyżynie Wałdajskiéj) było niegdyś siedliskiem władzy nad Afganistanem i punktem wyjścia do jéj rozszerzenia w Indyach (państwo Ghaznewidów), póki Kabul niżéj położony i cieszący się łagodniejszym klimatem nie wydarł mu tego naczelnego znaczenia. Jeżeli do rzek, spływających z wyżyny Ghazny, dodamy rzeki spływające z Paropamizu, to otrzymamy wszystkie rzeki Afganistanu. Główny afgański, czyli indo-irański dział wodny dzieli te rzeki na dwie główne grupy: wschodnią i zachodnią. Rzeki téj ostatniéj biegną wzdłuż promieni górskiego wachlarza, rzeki zaś pierwszéj grupy biegną przeważnie wpoprzek tych promieni i po części przerywają je. Zachodnia grupa dzieli się jeszcze na dwie podrzędne: północno-zachodnią i południowo-zachodnią, między któremi dział wodny stanowi Siahkuh. Tak więc ostatecznie mamy trzy grupy rzek afgańskich.

1. *Rzeki pierwszéj, to jest wschodniéj grupy*: Kabul, Kurum i Gomal płyną ku wschodowi i wyłamawszy się przez wschodnią kra-

wędź Afganistanu, spływają do Indu (Gomal tylko czasowo). Otwierają one drogi z wyżyny Iranu na nizinę Indyjską, stwierdzając przejściowy charakter Afganistanu i czyniąc go „państwem w obrębie indyjskiego systemu“. Są to *rzeki indo-afgańskie*; to też już w Wedach indyjskich znajdujemy o nich wzmiankę.

Najznaczniejszą z tych rzek jest Kabul, Cophes starożytnych (75 mil dług.). Rzeka ta powstaje z dwóch strumieni źródłowych: właściwego Kabulu, spływającego z gór Pagman w pobliżu przejścia Unna i z Logaru, spływającego z wyżyny Ghazny. Połączona rzeka, wyginając się lekkim łukiem ku północy, płynie w głównym wschodnim kierunku przez wyższą i niższą terrasę Kabulistanu; następnie po wyłomie między górami Khyberskiemi i odgałęzieniami Hindukuh wstępuje na równinę Peszaweru, ów próg z Indyj na wyżynę Iranu i pod Attokiem wlewa swe wody do Indu. Mimo obfitości wód, Kabul nie jest żeglowny z powodu bystrości biegu, tylko drzewo na nim spławiają lub czasem przemknie się maleńka łódź mekkańskiego pielgrzyma, wracającego do Indyj. Gdy w czasie wojny 1879 r. kawalerya angielska przebywała wpław tę rzekę pod Dżellalabadem, została uniesiona silnym prądem i straciła kilkudziesięciu ludzi. Prawe dopływy Kabulu z Sefidkuhu, są to krótkie i bystre potoki górskie, których dolinami wije się droga do miasta Kabulu na wyższéj terasie, mijając zbyt wąską dolinę rzeki głównéj. Lewe dopływy z Hindukuh: Baran, Aliszeng, Kameh, czyli Kunar (z Barogilu) i Lundi (ta ostatnia, spływ Pandżikory i Swatu, wpada już poniżéj wyłomu, na równinie Peszaweru) są znaczniejsze i tworzą obszerniejsze doliny, prowadzące do przejść Hindukuh. Szczególniéj pierwsza, która wpada nieco poniżéj Kabulu w punkcie wygięcia rzeki ku północy i któréj systemat rozszerza się ku północy nakształt wachlarza (Pehdam, Ghorbend, Pandżir, Tagau), obejmującego swém rozwinięciem łukowatą, pełną przejść zachodnią część Hindukuh od przejścia Chewak do wąwozów Bamiańskich.

2. *Rzeki drugiéj, to jest północno-zachodniéj grupy*: Herirud-Tedżend i Merwrud (Murghab) (*rud*—rzeka po persku) płyną najprzód ku zachodowi między łańcuchami Paropamizu, a potém zwracają się ku północy, przerywają północną krawędź wyżyny Iranu, otwierają drogę do stepów Turkomańskich, tworzą tam wązkie i długie oazy i giną w piaskach pustyni. Są to *rzeki turano-afgańskie*.

Pierwsza z tych rzek przed swém zniknięciem tworzy oazę Sarachs, druga—oazę Merw, będącą progiem z Turkiestanu na wyżynę Iranu, podobnie jak równina Peszaweru z Indyj. To też Merw ma ważne strategiczne znaczenie, témbardziéj, że z powodu swéj żyzno-

ści może stanowić podstawę operacyjną dla armii, wkraczającéj do Afganistanu.

3. Nakoniec *rzeki trzeciéj, to jest południowo - zachodniéj grupy* Hilmend, Farehrud i Harud, płyną w kierunku południowo - zachodnim, to jest w kierunku obniżania się wyżyny Afgańskiéj i w kierunku przerzynających ją górskich łańcuchów, porozdzielanych od siebie dolinami. Rzeki te należą wyłącznie do wyżyny Iranu, gromadzą bowiem swe wody w wewnętrznym jeziorze Hamun, ku któremu zbiegają się nakształt promieni eliptycznego kwadrantu. Są to *rzeki irano-afgańskie.*

Najznaczniejszą z tych rzek jest, Hilmend, Erymanthus starożytnych (175 mil dług.). Hilmend wypływa między Kohi-Babą i Pagmanem w pobliżu źródeł Kabulu i rzek turkiestańskich: Surkhabu (Kunduz) i Dehas (Balk), tak, iż według charakterystycznego wyrażenia tamtejszych mieszkańców: „jeden człowiek w jednym dniu może pić wodę ze wszystkich czterech". Rzeki systematu Hilmendu wypływają przeważnie z wyżyny Ghazny i płyną w tymże samym, co i główna rzeka kierunku; dla tego łączą się tak z nią, jak i między sobą, pod bardzo ostremi kątami. Taką rzeką jest Argandab, z dopływami: Tarnak, Argesan, Dora. Rzeka Lora, wytryskająca z gór Toba i przepływająca równinę Piszin i Szorawak, nie dosięgnąwszy Hilmendu, ginie w piaskach. Rzeka Kaszrud, wypływająca z Paropamizu, łączy się z Hilmendem już przy samém ujściu do jeziora Hamun. Nakoniec Farehrud i Harud, także wypływające z Paropamizu, wpadają, równie jak i Hilmend, samodzielnie do jeziora Hamun.

Jezioro to pięknéj indygowéj barwy zmienia często nietylko poziom wód ale i miejsce; jest jeziorem wędrownem, podobnie jak i rzeki doń wpadające. Wynika to po części z osadzania mułu przez rzeki, po części z nawiewania piasku przez wiatry okolicznéj pustyni. Zmiana koryt rzecznych, a stąd i kanałów irygacyjnych, wywołuje zmianę siedzib ludzkich; stąd między innemi tak wiele tu ruin. W nowszych czasach jezioro Hamun uległo podziałowi na dwa odosobnione wodozbiory tak, iż Farehrud i Harud wpadają do oddzielnego jeziora. Lasy trzciny i sitowia, porastające nad temi jeziorami służą za schronienie miryadom błotnego ptastwa i dokuczliwych owadów, dostarczają paszy dla bydła, a także materyału na maty, tratwy i budowę chat. Wznoszące się tu i owdzie z okolicznych równin stożki bazaltowe służyły za punkta obronne, takim np. jest Kohi Kwadża, albo „zamek Rustema", oblegany niegdyś daremnie przez armię Nadira (afgańska Gergovia).

Powyższym podziałem hydrograficznym nie został objęty tylko, wprawdzie samodzielny, ale bardzo nieznaczny wodozbiór jeziora Ab-istada („śpiąca woda"). Płytkie to jezioro ma bardzo zmienny poziom i wodę tak słoną, iż ryby wpływające doń ze słodkich wód rzeki Ghusni (Ghazny), zdychają i szczątkami swemi pokrywają wybrzeże. Dolina Ab-istady i wpadającéj doń z północy rzeki Ghusni ułatwia komunikacyę między doliną Hilmendu (Tarnak) i doliną Kabulu (Logar). Zresztą cały ten systemat jest tylko niedoszłym dopływem systematu Hilmendu: tylko zbyt suchy klimat nie pozwala wodom Ghusni dosięgnąć rzeki głównéj; jednak w r. 1878 wody jeziora w czasie wysokiego stanu przelewały się chwilowo do systematu Hilmendu.

Wszystkie te rzeki Afganistanu, z wyjątkiem Hilmendu, nie są żeglowne, lecz woda ich, skrapiając pustynie, tworzy wśród niej pasy rolnicze i ułatwia podłużną lądową komunikacyę; poprzeczna zaś komunikacya odbywa się za pośrednictwem brodów, mających tu ważne znaczenie strategiczne (np. forteca Giriszk nad brodem Hilmendu) lub za pomocą łodzi ze skór kozich. Dolina Hilmendu jest jakby zieloną wstęgą, łączącą Azyę zachodnią i centralną z Indyami („droga królewska"); to téż wzdłuż téj doliny przechodziły oddawna ludy, karawany i armie; ona to zjednała Afganistanowi miano: „Das Land der Passage".

IV.

O klimacie Afganistanu jużeśmy wspominali nieco przy opisie niektórych ważniejszych i lepiéj znanych miejscowości. Tutaj dodamy tylko, że w ogóle klimat Afganistanu jest chłodniejszy niżby się tego spodziewać można z jego geograficznego położenia, odpowiadającego północnemu Egiptowi i południowéj Sycylii (29° — 37° szer. pn.), a przytém suchy i krańcowy. Wynika to ze znacznego wzniesienia kraju nad poziom morza. Zimy w ogóle bywają mroźne i bardzo śnieżne, tak, iż kraj wtedy staje się bezdrożnym (klęska Anglików 1842 r., powolne ich posuwanie się 1879 r., choroby w wojsku indyjskiém, nieprzywykłém do zimna, padanie wielbłądów itp.), lata przeciwnie—bardzo gorące; nie mówiąc już o południowych i niżéj położonych częściach kraju, ale nawet w Kabulu, według świadectwa Vambery'ego, gorąco dla Europejczyka jest nieznośne. Wśród najgorętszych dni lata noce bywają chłodne, tak, iż Afganie, podobnie jak wiele ludów, zamieszkujących kraje z kontynentalnym klimatem, cały rok bez kożucha obejść się nie mogą; można-by do

nich zastować słowa Dantego o duszach w czyścu skazanych „a tormenti caldi e geli“. W szczególności jednak napotykają się znaczne różnice klimatu w różnych miejscowościach, jak we wszystkich krajach górzystych, z powodu różnic pionowego wzniesienia. Gdy na szczytach Hindukuh, Kohi-Baby i Sefidkuhu na wysokości 13000’ wieczna panuje zima, niektóre doliny tych gór, np. dolina Kunaru i Swatu mają klimat podzwrotnikowy, podobnież niższa terrasa Kabulu (równina Dzellalabadu), po części równina Heratu, wiele niskich dolin Solimanu itd. Wyżyna w wysoko położonych okolicach Ghazny cierpi wielkie mrozy i groźne dla życia mieszkańców burze śniegowe. Idąc zaś stąd w kierunku południowym i południowo-zachodnim, spotykamy, już-to z powodu niższéj szerokości geograficznéj, już z powodu obniżania się wyżyny okolice, gdzie rzadko śnieg pada i gdzie lata są tak gorące, że jak wiemy, mieszkańcy z piekłem je porównywają, gdzie zamiast śniegowych zamieci wieje palący wicher pustyni. Z drugiéj strony silne ogrzanie południowych pustyń, a stąd znaczne rozrzedzenie powietrza wywołuje silne wiatry z chłodniejszych gór, ograniczających wyżynę Kandaharu i Hamunu z północy. Mieszkańcy tych okolic umieli zużytkować siłę północnych wiatrów na poruszanie licznych wiatraków, szczególnéj struktury o skrzydłach poziomych z rogoży (sitowia) (1).

Płody roślinne składają się głównie ze zbóż europejskich (pszenica udaje się do 7000’) i owoców europejskich; jednakże pomarańcze, cytryny, a témbardziéj bawełna, trzcina cukrowa i palma daktylowa napotykają się tylko w niektórych nisko położonych dolinach. Za to jabłka, gruszki, śliwki, wiśnie, brzoskwinie, morele, winogrona rosną obficie, stanowiąc codzienne pożywienie i przedmiot handlu. Kabul szczególniéj słynie z morw, Ghazna ze śliwek, Kandahar z fig i granatów, Herat z winogron i melonów. Obfitość owoców w ostatniém mieście wywołała oryginalny zwyczaj: każdy może wejść do ogrodu i jeść owoców do syta, a zapłata określa się stosownie do różnicy, jaka zaszła między wagą konsumenta przy wejściu i wyjściu. Z roślin lekarskich i kuchennych rośnie w Afganistanie asafetyda, szafran i rabarbar, które stanowią przedmiot handlu. Uprawa z powodu suchości klimatu odbywa się przy pomocy kanałów irygacyjnych, które dla ochrony wody od parowania rozprowadzane są często w galeryach podziemnych. Z płodów leśnych dąb rośnie do wysokości 3000’, dzika oliwa do 6000’, sosna do 10000’. Kraj cierpi jednak niedostatek drzewa, z tego powodu mieszkania i całe miasta zbudowane są z niepalonéj cegły, łodzie jak wiadomo

(1) Według sprawozdania afgańskiéj komisyi granicznéj („Nowosti“).

robią się ze skór kozich, a tratwy i skrzydła wiatraków z sitowia. W ogóle płody Afganistanu należą do strefy umiarkowanéj tak, iż dla Europejczyka przybywającego tu z Indyj, Afganistan robi przyjemne wrażenie rodzinnego kraju.

Ze zwierząt dzikich trafiają się szakale, lisy, wilki, niedźwiedzie, lamparty, lwy i tygrysy; te ostatnie podobnie jak i małpy, żyjące w północno-wschodniéj części kraju w górach, otaczających doliny Kunaru i Swatu, przypominają bliskość Indyj. W Seistanie gromady dzikich osłów przebiegają pustynię, podnosząc tumany pyłu. Ze zwierząt domowych hodowany jest wielbląd (dromader), jako zwierze juczne; stada bydła, owiec i kóz są liczne i dostarczają pożywienia (baranina) i surowych płodów do jedynych fabrykacyi wełnianych (szale) i skórzanych (Kandahar i Kabul). Koni jest mniéj, głównie dostarcza ich kraina Hazareh (stąd Herat prowadzi niemi handel).

Bogactwa mineralne, mało eksploatowane, są znaczne: żelazo, miedź, siarka, węgiel itp. napotykają się często, sól obficie w górach Solnych; także srebro w północnych górach, złoto w niektórych rzekach itd.

(*dok. nast.*) *Wacław Nałkowski.*

NALA.

POWIEŚĆ STAROINDYJSKA.

Pieśń trzynasta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Te słowa przewodnika słysząc krasawica,
Pobiegła z karawaną ową, smutna ciągle.
Po pewnym czasie drogi w lesie tym ogromnym
Spostrzegli staw uroczy z trawą i drzewami,
Z kwiatami, owocami i ptakami wkoło,
Staw z wodą czystą, słodką, chłodem swym nęcącą.
Strudzeni drogą, spocząć z bydłem umyślili.
Za wolą wtedy wodza weszli w bór cienisty
I na zachodnim brzegu obóz rozłożyli.
Gdy o północy niema cisza nastąpiła,
I karawana spała, przyszła trzoda słoni
Za wodą do krynicy, mącąc ją swym brudem.
Spostrzegły przytém słonie swojskie tam będące,
Bieżały pędem ku nim, chucią płciową wściekłe.
Nie do wstrzymania był lecących słoni napad,
Lawinie z szczytów gór lecącéj w przepaść równy.
Zatamowawszy drogę śpiącéj karawanie,
Deptały niespodzianie ją, na ziemi drżącą.
„Ach! ach!“ wołali kupcy i szukali skrycia,
Za krzaki się chowając, snem pijani jeszcze.
Niejeden zaspo stracie swych wielbłądów chodząc
Wśród pieszych, został w tłoku pozbawiony życia.

Znów inny pchnięty nagle lub strącony z drzewa
Pod kopytami śmierć znajdował niespodzianą,
W tém zamieszaniu, które słonie wywołały,
Zginęło, królu, prawie całe kupców grono.
Gdy nastał dzień, uratowani od zagłady
Pierzchali z miejsca tego, płacząc nad nieszczęściem,
Nad śmiercią brata, ojca lub téż przyjaciela.
I Damajanti wyrzekała: „Cóż zdziałałam?
Gromadę, z którą w lesie tym się połączyłam,
Zabiło stado słoni; ja-m nieszczęściu winna.
—Czyj czas nie przyszedł, nie zaginie, mówią starzy,
I to przyczyną tylko, że dziś żyję jeszcze,—
Bo ludzie owi nie są winni téj zagłady!
I ja z lat młodocianych nie mam winy żadnéj:
Jedynie przy wyborze męża pogardzone bogi
Z powodu Nali w gniewie mszczą się dziś nade mną.“
Tak wyrzekając nieszczęśliwa pięknogłowa,
Szła, królu, jako sierp księżyca jesiennego.
Pod wieczór przyszła w drodze do wielkiego miasta,
Do miasta króla Czedów, przyszłość widzącego.
Wybladłą, smutną, nędzną, i w łachmanie brudnym
Idącą jak bez zmysłów zobaczyli ludzie.
A widząc ją wchodzącą do czedzkiego miasta
Mieszczańskie dzieci, biegły za nią z ciekawości.
Widziała także ją z pałacu matka króla
I rzekła mamce: „Idź i przywiedź ją tu do mnie!
Ubogą tę niewiastę wyśmiewają ludzie,
A piękność jéj powiększy blask mojego domu.“
I ludzi oddaliwszy i do siebie wziąwszy,
Spytała Damajantę zadumioną, królu!
„Choć smutkiem przygnębiona-ś, piękne nosisz ciało!
Jak błyskawica w chmurze świecisz; ktoś jest, powiedz!
Nie ludzka postać twoja, choć ci brak klejnotów.
Nie boisz się samotna ludzi, bogorówna?“
Te słowa usłyszawszy, rzecze jéj te słowa:
„Śmiertelną jestem, wierz mi, męża szukającą,
Służącą z rodu szlachetnego; mieszkam, gdzie chcesz;
Mą strawą owoc; śpię, gdzie wieczór mnie zastanie.
Małżonek mój cnotliwy, szczerze mi oddany;
—I ja m mu żoną wierną, jak cień idącemu.—
Namiętność w grze jedynym była błędem jego.
W grze także ogran pobiegł z smutku w bór samotny,

Jedyną szatą odzianego, nieszczęsnego
Małżonka mego, by pocieszać, poszłam wraz z nim.
Pewnego razu zabłąkawszy się w głąb' lasu
Zostawił z zapomnienia szatę swą w gęstwinie.
Za nagim więc chodziłam, nie śpiąc nocy wiele.
Gdym raz po długim czasie znowu spała, przeciął
Mą szatę i tak odzian odszedł mnie niewinną.
Małżonka szukam więc strapiona dnie i noce,
Lecz znaleść go nie mogę, pana mi drogiego."
Do łzy lejącéj rzewne i tak się skarżącéj
Królewska rzecze matka, sama rozrzewniona:
„Zamieszkaj u mnie; cieszyć będę się niezmiernie!
Małżonka twego poszukają słudzy moi,
Lub może sam nadejdzie, błądząc tu i owdzie.
Mieszkając u mnie, znajdziesz męża, ty poczciwa!"
Królewskiéj matki mowę słysząc Damajanti,
Odrzecze: „Mieszkać mogę pod warunkiem tylko,
Że resztek jeść i nóg nikomu myć nie będę (1),
Że z męszczyznami mówić mi nie będzie trzeba
I skarzesz tego, który cnoty méjby żądał.
By męża znaleść, pójdę sama do brahmanów.
Jeżeli na to godzisz się, zostanę chętnie.
Jeżeli nie, ma dusza mieszkać tu nie pragnie."
Radosném sercem rzecze jéj królewska matka:
„Wypełnię wszystko! szczęść ci, co masz takie śluby!"
To rzekłszy do Bhîmówny matka króla, rządco,
Odezwie się do córki, zwiącéj się Sunandą:
„Służącą masz, Sunando, nową, boskopiękną,
Latami równą tobie; drużką twą niech będzie!"
Sunanda ucieszona, poszła do mieszkania
Zabrawszy z gronem drużek także Damajantę.

Pieśń czternasta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Król Nala opuściwszy Damajantę, władco,
Zobaczył ogień wielki gorejący w lesie,
A z środka słyszał głos istoty niewidzialnéj,
Głos wołający ciągle: „Nalo! pójdź na pomoc!

(1) Jedzenie resztek i mycie nóg było wedle ówczesnych pojęć nader ubliżające i sprowadzało na człowieka pewien rodzaj moralnego poniżenia.

Wstąp w ogień śmiało!" I wstąpiwszy w środek ognia,
Zobaczył Nala tam Siajânę, wężów króla,
W krąg zwiniętego i pokornie proszącego:
„Ja-m wężem Karkotaką, królu; oszukałem
Naradę przeświętego, cnego pokutnika,
Rozgniewan za to zaklął mnie, o królu, słowy:
„ „Bądź nieruchomy, aż dopóki Nala kiedyś
Nie pójdzie tędy; wtenczas z klątwy zwolnion będziesz!" "
Dla klątwy téj nie mogę ruszyć się tu z miejsca:
Szczęśliwym cię uczynię, ratuj mnie, o władco!
Pomocnym będę ci—a nie ma mi równego—!
Podźwignij mnie, nie ciężki-m, potém szybko odejdź!"
To rzekłszy wężów książę, przybrał wielkość palca.
Podźwignął go więc Nala, by z płomieni wynieść.
Gdy przybył poza ogień na bezpieczne miejsce
I złożyć chciał go, rzekł mu za się Karkotaka:
„Idź kroków kilka, licząc je o Niszadhczyku!
Natenczas spuszczę szczęście na cię wielkie, Nalo!"
Gdy dziesięć kroków zliczył, wąż go kłem ukąsił,
Po ukąszeniu znikła nagle postać jego.
Ujrzawszy Nala siebie zmienionego, węża
W właściwym zaś mu kształcie, zdziwił się niezmiernie.
Pocieszał go więc Karkotaka słowy temi:
„Dlatego-m dał ci kształt ten, by cię nie poznano,
I położenia twego nieszczęsnego, Nalo!
Mój jad dokuczać będzie komuś, co cię trapi; (1)
I z jadu tego póki nie uwolnisz członków,
Dopóty z żalem on przebywać będzie w tobie.
Przez kogo obrażony będziesz ty niewinnie,
Rzuć klątwę nań, a znajdziesz odpuszczenie na to.
Nie potrzebujesz bać się dzika ani wroga,
Ni mędrców, ni brahmanów z łaski méj, o królu!
Trucizna moja bólu sprawiać ci nie będzie,
A w bitwach, władco, zawsze ty zwycięscą będziesz!
Idź królu stąd: „Woźnicą ja-m Bâhuką" mówiąc
Do Rtuparny; zna on wiedzę grania w kostki.
Za konioznawstwo da ci król ten kostkoznawstwo.
Z Iśwaków rodu jest on; szczęście ci przyniesie.
Gdy w kostkach mistrzem będziesz, będzie szczęście z tobą

(1) Karkotaka ma tu na myśli Kalego, który, jak wiadomo, wstąpił w Nalę, a któremu teraz trucizna jego boleści sprawiać będzie; por. pieśń 20.

I żonę ujrzysz swoję! nie smuć się więc wcale!
Gdy postać twą zaś przybrać zechcesz, mężowładco,
Wspomniawszy na mnie, szatę tę przyodziéj wtenczas!
Odziany szatą tą odzyskasz postać swoję."
To rzekłszy, dał mu potém boskich sukien dwoje.
Tak nauczywszy Nalę, szaty mu téż dawszy,
Król wężów wtenczas, królu, zniknął niespodzianie.

Pieśń piętnasta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Gdy po zniknięciu węża Nala daléj poszedł,
Do miasta Ṛtuparny przybył w dniu dziesiątym.
Do króla udał się „Bâhuką jestem—mówiąc.
„W jeżdżenia sztuce nie ma nigdzie mi równego.
W przypadkach trudnych i niezwykłych ja celuję;
Pokarmów téż przyprawę lepiéj znam od innych;
Wszelakie sztuki na tym świecie i rzecz każdą
Postaram się wykonać. Ṛtuparno! przyjm mnie!"
Ṛtuparna rzecze:
„Bâhuko! zostań u mnie! ty mnie zaspokoisz.
By konie szybko biegły, zawsze się starałem.
Starania dołóż więc, by konie szybkie były.
Koniuszym moim będziesz; płacą twą sto setek.
Do usług twych Wârszneja i Dżîwala będą,
Zabawisz z nimi się, Bâhuko! zostań u mnie!"
Bṛhadaśwa rzecze:
Po słowach tych zamieszkał Nala szanowany
Z Wârszneją i Dżîwalą w mieście Ṛtuparny.
Mieszkając król tam myślał o swéj Widarbhównie,
Co wieczór wiersz ten jeden powtarzając ciągle:
„Cóż robi teraz ona, głodna i pragnąca,
Nieszczęściem się trapiąca? komuż teraz służy?"
Do króla tak się skarżącego rzekł Dżîwala:
„Tak ciągle za kim płaczesz? powiédz mi, Bâhuko!"
Odrzecze mu król Nala: „Pewien człowiek próżny
Miał żonę zacną, mowa jéj stanowcza była.
Z przyczyny błahéj głupiec ów się z nią rozłączył
I w rozłączeniu błąka się trapiony żalem,
A dręczon wyrzutami, dniem i nocą ciągle
Powtarza o północy, o niéj myśląc, wiersz ów.

Gdziekolwiek przyjdzie w swéj wędrówce po tym świecie,
Wspomina wszędzie sobie nędzę jéj, niegodny.
Niewiasta ta w nieszczęściu szła do boru za nim,
A on nikczemnik ją opuścił; żyje-ż jeszcze?
Samotna i dróg nie zna! na toż zasłużyła?
Pragnienie i głód męczą ją! ach! żyje-ż jeszcze?"
Tak wspominając król Niszadhów Damajantę,
Zaginion niby mieszkał w domu króla tego.

Pieśń szesnasta.

Brhadaśwa rzecze:
Gdy Nala z żoną po utracie państwa służbę
Przyjęli, słał brahmanów Bhîma na wywiady,
I dawszy bogactw nadzwyczajnych wiele, rzekł im:
„Szukajcie Nali i méj córki Damajanty!
Krów tysiąc dam ja temu, kto ich przyprowadzi
I w posiadanie wieś dam wielką, miastu równą.
Jeżeli przywieść nie zdołacie ich oboje,
Lecz ich poznacie, krów dam w darze setek dziesięć".
Po słowach tych brahmanie poszli w różne strony,
Czy Nali gdzie nie ujrzą lub téż córki Bhîmy:
Do Czedów miasta przybył brahman zwan Sudewa.
I ujrzał tamże Widarbhównę w domu króla
Dzień dobry (1) mu życzącą razem ze Sunandą,
Cudownie piękną, niewypowiedzianie śliczną.
Spostrzegłszy pięknobrewę smutną i wychudłą,
Ze znamion odgadł, iż to Damajanti i rzekł.
Sudewa rzecze:
„Ta, którą wprzód widziałem, jest podobną téj tu.
Skończone więc zadanie, skoro ją znalazłem.
Podobna księżycowi, z pięknèm licem, piersią,
Królowa ta przewyższa drugie jako światło
Ciemności i jak pełni blask nów księżycowy.
Bez męża posmutniała, jak bez wody rzeczka,
Lotusu (2) zwiędłych liści pełna, a bez ptastwa,
Jak rzeczka od zdziczałych słoni zamącona,
Cnotliwa, piękna, stroju godna choć niestrojna,
Jak młody sierp księżyca na niebieskim stropie,

---

(1) Należało to do licznych ceremonij staroindyjskich.
(2) Kwiat indyjski, od poetów bardzo często wspominany.

Miłości uciech pozbawiona i bez krewnych
Wiodąca życie smutne z żalu za małżonkiem,
— Mąż bowiem głównym strojem żony jest niestrojnéj —
Przez niego opuszczona płacze nieszczęśliwa.
— Że przy tém życiu jeszcze w rozpacz nie popadła?! —
Gdym ujrzał czarnowłosą w smutku pięknobrewę,
Choć szczęścia godną, duch się mój żałością przejął.
Do krańca nieszczęść kiedyż dojdzie krasawica
I ujrzy męża, jak Rohini (1) tęskna księżyc?
Radować będzie się Niszadhczyk, gdy ją znajdzie
I państwo znów odzyska, które był utracił.
Cnotliwéj bowiem i szlachetnéj Widarbhówny
Niszadhczyk godzien, jak i jego czarnooka.
Należy mi pocieszyć smutną i tęskniącą
Małżonkę walecznego bohatyra tego.
Pocieszę ją, co lice ma, jak księżyc, blade
Z kłopotu nad nieszczęściem wprzód jéj nieznanego".

Bṛhadaświa rzecze:

Wnioskując tak z rozlicznych poznak, że to ona,
Przystąpił brahman do Bhîmówny i rzekł do niéj:
„Sudewą jestem, przyjacielem brata twego;
Na rozkaz króla Bhîmy szukać cię przyszedłem.
Twój ojciec zdrów i matka twa i bracia twoi
I dzieci twoje, tam żyjące, téż są zdrowe.
Tyś winna, że twych krewnych grono jest w rozpaczy
I sta brahmanów po wszem świecie cię szukają".
Poznawszy go wnet Damajanti, Judiszthiro,
Pytała o znajomych wszystkich swoich z rzędu.
I rozpłakała się wspomnieniem rozrzewniona,
Sudewę, przyjaciela brata zobaczywszy.
Płaczącą i łkającą widząc ją Sunanda
I skrycie ze Sudewą szeptającą, królu,
Odezwie się do matki: „Ma służąca płacze,
Z brahmanem się spotkawszy; spytaj o przyczynę!"
Z królewskich komnat wtenczas matka Czedów króla
Udała się do Damajanty i brahmana.
Sudewę przywoławszy, rzecze doń królowa:
„Niewiasta ta małżonką czyją jest lub córką?
I czemu rozłączona z mężem i krewnymi?
I czemu przyszła tutaj i jak ją poznałeś?

---

(1) Pierwsza żona księżyca.

Usłyszéć pragnę ja dokładnie to od ciebie;
Odpowiédz mi więc szczerze na pytanie moje!“
Sudewa, brahman mądry, tak zagadnion od niéj
O Damajancie chętnie prawdę opowiedział.

Pieśń siedmnasta.

Sudewa rzecze:
„Widarbhów król rozumny, sławny zwie się Bhîma;
Urocza Damajanti ta jest córką jego.
Niszadhów królem jest syn Wiraseny, Nala;
Małżonką Punjaśloki jest ta krasawica.
Od brata ogran Nala i pozbawion państwa,
Opuścił Damajantę, kryjąc się gdzieś nieznan.
Za Damajantą chodzim więc po świecie całym.
Ukrytą ją znalazłem ja w mieszkaniu twojém.
Poznałem po znamieniu ślicznem między brwiami,
Podobném lotusowi, które wnet spostrzegłem,
Choć brudem było skryte, jak i księżyc chmurą.
Dla wyróżnienia dał jéj stwórca tę odznakę,
Dla któréj, choć zbrudzona, piękność jéj nie cierpi,
Lecz świeci, choć bez ozdób, jasno jako złoto.
Małżonkę tę królewską, jak po skwarze ogień,
Poznałem ja po ciele i znamieniu owém“.
Bṛhadaśwa rzecze:
Sudewy mowę usłyszawszy, mężowładco,
Sunanda zmyła brud zakrywający znamię.
Po zmyciu brudu piękne znamię Damajanty
Zabłysło jako księżyc na bezchmurném niebie.
Ujrzawszy znamię matka króla i Sunanda,
Ze łzami w oczach uściskały ją serdecznie.
Otarłszy łzy, po chwili rzecze matka króla:
„Méj siostry córką jesteś, tém znamieniem znaczna.
Twa matka, jak i ja córkami szlachetnego
Jesteśmy króla Sudâmana, pięknobrewo!
Ją pojął Bhîma silny, mnie zaś Wîrabâhu.
W ojczystym domu widywałam dzieckiem ciebie.
Czém dom ojcowski dla cię, tém i mój ci będzie,
I władza moja, Damajanti, jest i twoją“.
Radosném sercem przywitała Damajanti
Poznaną właśnie ciotkę i to rzekła do niéj:
„Choć mnie nie znałaś, dobrze mi tu było zawsze;

Że przyjemnością wszelką otoczona teraz
Wiodłabym milsze jeszcze życie, ja nie wątpię;
Racz puścić wszakże, matko (1), mnie tułaczkę biedną!
Maleńkie dzieci me znajdą się tam same.
Za ojcem tęsknią już, a za mną cóż dopiero?
Jeżeli pragniesz sprawić mi przyjemność jaką,
—Chcę jechać do Widarbhów—szybko daj mi woza!"
Wesoła chętnie na to ciotka jéj przystała
I otoczoną wojskiem silném z wolą syna
Na wózku, który ludzie pchali, odesłała
Uszczęśliwioną, wraz z pokarmem i napojem.
Wprost wtenczas do Widarbhów zaraz się udała.
Radośnie powitało grono ją pokrewnych.
Ujrzawszy krewnych wszystkich i swe dzieci w zdrowiu
I ojca, matkę, i przyjaciół koło całe,
Złożyła cześć niebianom i brahmanom piękna
Królowa Damajanti w mierze nadzwyczajnéj.
Sudewę zaś ucieszył Bhîma krów tysiącem,
Włościami i pieniędzmi, wesół, że ma córkę.—
    Gdy noc przebyła w domu ojca krasawica
I wypoczęła, rzekła, królu, do swéj matki:
„Jeżeli żywą mieć mnie pragniesz, spełń, co powiém!
Postaraj się wynaleść także męża Nalę!"
Królowa Damajanty słowy rozżalona,
Płakała bez ustanku, królu, nic nie mówiąc.
W tym smutku gdy ją zobaczyło otoczenie,
Wołało: „ach! ach!" i płakało także rzewnie.
Do króla Bhîmy rzecze wtenczas to małżonka:
„Twa córka Damajanti tęskni za swym mężem
I wstydu się wyzuwszy, rzekła sama, królu:
„ „Niech idą szukać słudzy twoi Punjaśloki!" "
Uwiadomiony o tém król, brahmanów znowu
Na wszystkie wysłał strony, by szukali Nali.
Na rozkaz tedy króla widarbhskiego rzekli
Brahmanie Damajancie: „Idziem szukać Nali".
Odrzecze na to im Bhîmówna: „We wszech krajach
I między ludźmi wszemi głoście bez ustanku:
„ „Gdzie jesteś, graczu, który-ś szaty pół mi wziąwszy,
Opuścił w lesie śpiącą lubą twą, o luby!
Siedziała tam biedaczka, oczekując ciebie,

(1) „Matka" znaczy tu tyle, co starsza osoba.

W kłopocie wielkim, resztką szaty swéj odziana.
Płaczącéj ciągle z smutku i zmartwienia
Pociechę ześlij i odpowiedź daj żądaną!"
Tak proście wy go, by nademną się zmiłował,
Bo żar miotany wiatrem, w końcu bór zniweczy.
Ktokolwiek waszę mowę słysząc, da odpowiedź,
Pytajcie tego zaraz, kto on i gdzie mieszka?
A jeźli na pytanie wasze coś odpowié,
Dokładnie spamiętajcie to i mnie donieście.
Lecz by nie poznał, że na rozkaz mój mówicie,
Musicie nieznużenie częściéj go odwiedzać!
Czy biedny będzie bardzo, czyli téż bogaty,
Czy bogactw żądny, myśli jego zbadać trzeba".
Po słowach jéj brahmanie poszli na wsze strony,
By szukać wszędzie Nali, króla nieszczęsnego.
Królestwa, miasta, wsie, szałasy i pustelnie
Zwiedziwszy wszystkie, Nali znaleść nie zdołali,
Choć wszyscy słowa Damajanty, o władyko,
Głosili wszędzie, jak im była poleciła.

Pieśń ośmnasta.

Brhadaśwa rzecze:
Po długim czasie brahman pewien, zwan Parnâda,
Wróciwszy z drogi, rzekł Bhîmównie takie słowa:
„Szukając Nali Niszadhczyka, Damajanto,
Przyszedłem do Ajodhji, miasta Bhângasury (1).
Tam rozgłosiłem mowę twą, niewiasto mądra,
Przed Rtuparną wielkim i bogatym, pani!
To usłyszawszy nic nie odrzekł Rtuparna,
Ni z rajców żaden, choć niejeden raz pytałem.
Gdym odszedł z pozwoleniem króla, przyszedł do mnie
Natenczas człowiek Rtuparny, zwan Bâhuką,
Koniuszy księcia tego, brzydki i niekształtny,
Lecz w jeździe biegły i mistrz potraw doskonały.
Westchnąwszy ciężko, człek ten wśród łez nieustannych
I przywitawszy grzecznie mnie, zagadnął potém:
„ „Niewiasta zacna, choć popadnie w nędzę, stróżem
Jest sobie sama, za co niebo jéj zapłatą,
Małżonka, który ją opuścił, nie przeklina,

(1) Nazwa rodzinna króla Rtuparny, u którego służył Nala za koniuszego.

Lecz wiedzie życie czyste, cnoty tarczą bronna.
I choć mąż popadł w biedę i ją wyrwał z uciech,
I rzucił potém, złości za to dlań nie żywi;
Choć mąż bez strawy i od ptaków z szat wyzuty
I dręczon kłopotami, złości dlań nie żywi.“ “
Gdy słowa te słyszałem, prędko tu wróciłem,
Dowody mając; idź, i oznajm to królowi!“
To usłyszawszy wśród łez w oku od Parnâdy,
Do matki poszła skrycie Damajanti, mówiąc:
„O planie, który mam, nie powiem Bhîmie słowa,
Lecz tobie i Sudewie zamiar mój odkryję
— Nie wyjaw wszakże Bhîmie mojéj tajemnicy!—
I jeźli mnie miłujesz, musisz mi dopomódz,
By z mężem jak najprędzéj złączył mnie Sudewa
I znów ze skutkiem mógł wykonać swe zadanie“.
Parnâdę potém, gdy wypoczął, obdarzyła
Bogactwy rozlicznemi wdzięczna Widarbhówna.

Damajanti rzecze (do Parnâdy):

„Zrobiłeś dla mnie, czego inny mi nie zrobi,
A z mężem wkrótce się zobaczę, mężu święty!“

Bṛhadaśwa rzecze:

Na słowa jéj błogosławieństwem odpowiedział
I udał się do domu, rzecz spełniwszy swoję.
Sudewie rzecze wtenczas smutna Damajanti
Te słowa, Judhiszthiro, w obecności matki:
„Sudewo! idź do miasta, co się zwie Ajodhją,
I zszedłszy się przypadkiem niby z królem, rzecz mu:
„ „Samobór Damajanti znów przygotowuje!
Zdążają tam królowie, jak i królewicze;
Na dzień jutrzejszy wyznaczono termin jego.
Jeżeli możesz, wrogogromco, jedź tam także.
O wschodzie słońca będzie męża wybierała,
Gdyż nie wié, czy bohatyr Nala żyje, czy nie?“ “
Na rozkaz jéj podążył brahman, o władyko,
Do króla Ṛtuparny i rzekł słowa owe.

Pieśń dziewiętnasta.

Bṛhadaśwa rzecze:

Sudewy mowę usłyszawszy Ṛtuparna,
Pochlebnie głosem słodkim rzecze do Bâhuki:
„Mam zamiar jechać na samobór Damajanty

I w jednym dniu tam stanąć; można-ż to Bâhuko?"
Tą mową króla, o Kauntejo, ciężko zranion
W nieszczęściu swojém tak rozmyślał Nala zacny:
„Czyż zdolna Damajanti tak postąpić sobie!
Czy może tylko podstęp to, by mnie zwabiła?
Ach! zbrodnię spełnić jest gotowa Widarbhówna,
Przeze mnie nikczemnika obrażona niecnie!
Natura kobiet słaba, a mój błąd okropny,
Niech czyni w swém sieroctwie, co się jéj podoba
Z rozpaczy i żałości, w którą ją popchnąłem!
Nie! tego nie uczyni, zwłaszcza że ma dzieci!
Co prawdy lub nieprawdy w tém, przekonam się sam.
Za celem Ṛtuparny jadąc, mój osiągnę".
Tak rozmyśliwszy w duchu rzekł Bâhuka smutny
Do króla Ṛtuparny, ręce swe złożywszy:
„Życzenie spełnię twe, o królu, i zawiozę
W dniu jednym cię do miasta widarbhskiego, władco!"
Obejrzał potém konie cny Bahuka, królu,
Obejrzał paszę, jak król Ṛtuparna kazał,
Pośpiesznie w skutek zachęcenia pana swego
Poszedłszy do nich. I wnet przyprowadził konie
Wytrwałe, szybkie, silne, dobréj krwi i rasy,
Od błędów wolne, pięknonozdrze, wielkoszczękie.
Ujrzawszy je król wszakże, rzecze gniewny nieco:
„Tak spełniasz wolę naszę? tak nas oszukujesz?
Jak mają wieść nas konie te tak dychawiczne
I jakże chcesz się udać w podróż z końmi temi?"
Bâhuka rzecze:
„Te konie nas zawiozą do Widarbhów pewno!
Jeżeli innych żądasz, powiédz, a zaprzęgnę".
Ṛtuparna rzecze:
„Ty znawcą doskonałym jesteś, o Bâhuko,
Zaprzęgnij te więc, które uznasz za najlepsze!"
Bṛhadaśwa rzecze:
Natenczas zaprzągł znawca Nala czwórkę dzielnych
Do wozu koni dobréj i szlachetnéj rasy.
Gdy na wóz zaprzęgnięty król z pośpiechem siadał,
Rumaki zaraz dzielne padły na kolana.
Natenczas z mężów mąż, król Nala, o władyko,
Pogłaskał konie siłą i odwagą szybkie,
Lejcami śmiało potrząsł, śpiesząc się w odjeździe,
Wârszneji usieść kazał i dał znak do jazdy.

Na hasło dane przez Bâhukę konie dzielne
Pobiegły przez powietrze dziwnie szybkim pędem.
Ujrzawszy konie swe lecące jak wiatr szybko,
Ajodhji władca szczęsny zdumiał się niemało.
Wârszneja także widząc kierowanie koni,
Uwielbiał Bâhukowe w duszy konioznawstwo.
„Czyż on Mâtali, króla bogów jest woźnica?
Zalety bowiem wielkie jego tkwią w Bâhuce.
Lub może Nala król, zdobywca grodów wrogich?
Bo równa wiedza i u Nali i Bâhuki
I równy wiek też i u Nali i Bâhuki.
Lecz ciała brzydkość na przeszkodzie porównaniu".
Tak myśląc wiele i głęboko wciąż Wârszneja,
Woźnica Punjaśloki dumał sobie, królu.
Król Rtuparna zaś Bâhuki widząc biegłość
I starań jego wielkość, cieszył się niezmiernie.

Pieśń dwudziesta.

Brhadaśwa rzecze:
Gdy wóz tak w szybkim pędził biegu, Bhângâsurze,
Zdobywcy grodów wrogich, spadła wierzchnia szata.
Lecz mimo szybkiéj jazdy spostrzegł stratę swoję.
„Podniosę szatę", rzekł do Nali więc król sławny.
Lecz Nala rzecze jemu: „Szata twa daleko!
Nie możem wracać się jodżany (1) znów na powrót!"
Po słowach tych jechali daléj i przybyli
Do wibhîtaki (2) z liściem i owocem licznym.
Ujrzawszy ją król w prędkim biegu, rzekł Bâhuce:
„I moję sztukę w rachowaniu znaj, woźnico!
Nie każdy rzecz zna każdą—trudno wiedzieć wszystko —
I nigdzie nie zna człowiek jeden nauk wszystkich.
Na drzewie tym owoców ile jest i liści?
I spadłych ile? Twierdzę, iż jest więcéj nad sto!"
Wóz zatrzymawszy, rzekł Bâhuka mocarzowi:
„Przedziwne opowiadasz rzeczy, wrogogromco!
Przy tobie, królu mężny, zetnę wibhîtakę,
— Gdyż nie wiém, czy masz słuszność, czyli też niesłuszność—
I porachuję jéj owoce wobec ciebie.

(1) Jodżana, miara staroindyjska, równająca się 2 milom.
(2) Wibhîtaka jest drzewo indyjskie, terminalia bellerica.

Wârszneja chwilkę tylko niech potrzyma cugle!"
Woźnicy rzecze wtenczas król: „Nie czas tu bawić!"
Bâhuka rozgniewany srodze, odpowiedział:
„Zaczekaj chwilkę, albo sam jedź dalej, panie!
Masz drogę prostą; jedź! Wârszneja cię powiezie!"
Schlebiając, rzekł mu Rtuparna „Kurów synu!
Nad ciebie nie znam ja woźnicy, o Bâhuko,
I tobą dumny pragnę stanąć u Widarbhów.
Dlatego proszę cię serdecznie, nie czyń zwłoki!
Życzenie każde chętnie spełnię ci, Bâhuko,
Gdy u Widarbhów dziś mi jeszcze słońce wskażesz".
Bâhuka rzecze tedy: „Ściąwszy wibhîtakę,
Popędzę do Widarbhów; uczyń wolę moję!"
Niechętnie prawie rzekł mu król więc: „Rachuj sobie!"
Skoczywszy z woza szybko, ściął drzewinę owę
I zdziwion wielce rzecze słowa te królowi:
„Zliczyłem; ile rzekłeś, tyle jest owoców.
Przedziwną, widzę, masz w rachunkach biegłość, królu!
Usłyszéć chciałbym sposób, w który się to dzieje".
Odrzecze jemu wtenczas król śpieszący w drodze:
„W grze w kostki biegły jestem, więc i w rachowaniu".
Bâhuka rzekł mu więc znów: „Naucz mię téj sztuki!
A przyjmij za nią konioznawstwo, wrogogromco!"
Bâhuce rzecze wtenczas Rtuparna chciwy
Poznania konioznawstwa i ciekawy: „Owszem!
Jak rzekłeś, weźmij zacną sztukę grania w kostki,
A w zamian za to mam od ciebie konioznawstwo".
I wyszedł z Nali w kostek grze biegłego teraz,
Truciznę Karkotaki z paszczy ziomąc Kali.
Truciznę wyzionąwszy przybrał postać swoję.
Przeklinać chciał go w złości król Niszadhów, Nala,
Lecz Kali rzekł do niego w strachu, ręce wzniósłszy:
„Powstrzymaj gniew twój, królu! sławą cię obdarzę;
Przeklęła mnie już matka Indraseny w gniewie
Przez ciebie opuszczona; odtąd wśród mąk wielkich
Siedziałem w tobie, królu, ku nieszczęściu memu,
Trucizną króla wężów palon dniem i nocą.
O łaskę błagam cię! wysłuchaj, co ci powiem.
Ktokolwiek z ludzi sławić będzie cię na świecie,
Nie pozna on bojaźni, któréj ojcem jestem,
Jeżeli mnie nie przeklniesz, który ciebie proszę".
Po słowach jego Nala złość powstrzymał swoję.

—- Kalego wszakże nikt nie widział oprócz Nali.—
Pozbywszy przeszkód się Niszadhów król waleczny
I wsiadłszy na wóz, ruszył z końmi ognistymi
I pędził nimi, co jak ptaki, szybko biegły,
Kierując ucieszony wozem wedle woli,
Aż przybył do Widarbhów król wszechsłynny wreszcie.
Gdy Nala się oddalił, odszedł téż i Kali.
Nieszczęście jedno przebył tak król Nala ziemiowładny
Pozbywszy się Kalego, lecz nie kształtu swego.

Pieśń dwudziesta pierwsza.

Bṛhadaświa rzecze:
Wieczorem u Widarbhów byli rzeczywiście.
Wnet Bhîmie Ṛtuparnę ludzie oznajmili.
Na prośbę tedy Bhîmy wjechał do Kundiny,
Turkotem woza napełniając całe miasto.
Ten turkot posłyszały także konie Nali
A słysząc go zarżały, jak za Nali dawniéj.
I Damajanti turkot ten słyszała woza,
Lecący jako grzmot straszliwy z chmury ciemnéj.
To też gdy wstrzymał konie Nala, jako zwykł był,
Poznała zaraz, że to Nala z końmi stanął.
I pawie na przedsionku i po stajniach słonie
I konie usłyszały turkot woza tego,
A słysząc turkot woza, słonie wraz z pawiami
Wydały głos radosny, głowy swe podnosząc.
Damajanti rzecze:
„Ach! jakże turkot ten, rozbrzmiewający wkoło
Me serce rozwesela! Nala bawi tutaj!
Jeżeli dziś nie ujrzę pięknéj twarzy Nali,
Rycerza cnót pełnego, umrę bez wątpienia.
Jeżeli dziś nie doznam wśród objęcia jego
Słodyczy uściśnienia, umrę bez wątpienia!
Jeżeli do mnie nie przystąpi dziś Niszadhczyk,
W płomieniach złotych ognia szukać będę śmierci.
Pamiętać nie chcę kłamstw, pamiętać nie chcę uraz,
Doznanych, ani mów czczych więcéj w życiu mojém.
Władyka Nala, szczodry, wyższy ponad drugich
W rzezańców towarzystwie podłém dziś się bawi.
Gdy wspomnę na to, ja mu wierna dniem i nocą
Z boleści nad tym stanem serce mi się kraje“

Bṛhadaśwa rzecze:
Tak płacząc i odchodząc do rozumu prawie
Wstąpiła na dach domu, pragnąc ujrzeć Nalę.
Widziała stamtąd śród podwórza Ṛtuparnę
Na wozie pięknym, wraz z Wârszneją i Bâhuką.
Wârszneja i Bâhuka zeszli potém z woza,
Odprzęgli konie i wóz na bok postawili.
I władca Ṛtuparna zeszedł także z woza
I zbliżył się do Bhîmy, króla potężnego
Z największą czcią go przyjął Bhîma, choć zdziwiony
Przybyciem jego; nie znał bowiem planów córki.
I król waleczny Ṛtuparna też się dziwił,
Nie widząc ani królów, ani królewiczów.
Od Bhîmy wszakże przywitany i zapytan:
„Twa sprawa jaka? Bodaj szczęście ci przyniosła!"
Namyślał się chwileczkę i powiedział wreszcie:
„Przybyłem tutaj, aby cię też raz odwiedzić".
Król Bhîma się uśmiechnął i pomyślał w duszy:
„Przyczynę lichą podał pojawienia swego!
Nie ta jest jednak!" Potém go opuścił rzekłszy:
„Wypocznij sobie, bo podróżą zmęczon jesteś!"
Spoczynku myślą rozweselon i otoczon
Orszakiem udał się do komnat dlań gotowych.
Gdy Ṛtuparna wraz z Wârszneją, królu, poszli,
Bâhuka wóz zabrawszy poszedł do wozowni,
I uprząż z koni zdjąwszy dobrze je opatrzył.
Pogłaskał je i usiadł na krawędzi woza.
Ujrzawszy Damajanti smutna Bhângâsurę.
Z Wârszneją, z woźniczego rodu i Bâhuką,
Rozmyśliwała: „Kto z turkotem tym nadjechał?
Tak Nala zwykł był jeździć; lecz nie widzę Nali.
Wârszneja pewnie sztuki téj się też nauczył,
I on to, drugi Nala, sprawił turkot taki.
Czy może Ṛtuparna jest podobien Nali
I jazda jego dorównywa jeździe Nali?"
Tak myśląc Damajanti, umyśliła w końcu
Służącą posłać, by szukała Niszadhczyka.

Pieśń dwudziesta druga.

Damajanti rzecze:
„Kesini! idź i dowiedz się, kto ten woźnica,

Co na krawędzi siedzi, niski i niekształtny.
Uprzejmie pozdrów go, ma droga, i ostrożnie
Wybadaj go następnie, kim jest rzeczywiście!
Domyślam bowiem się, iż Nalą jest ten człowiek,
Jak radość i przeczucie serca mi powiada.
Powtórzysz w końcu mowy słowa mu Parnâdy,
I co odpowié, donieś mi, ty pięknobiodra!"

Bṛhadaśwa rzecze:

Pobiegłszy służka szybko do Bâhuki, rzekła:
— Widziała wszystko Damajanti z ganku swego —
„Pomyślnych chwil i szczęścia życzę ci, rycerzu!
Przychodzę tu do ciebie z woli Damajanty.
Skądeście przyszli i dlaczego tu przybyli?
Otwarcie powiédz; chce to słyszéć Widarbhówna!"

Bâhuka rzecze:

„O samoborze słyszał wielki król Kausialja
Powtórnym Damajanty od brahmana w domu.
Na wieść tę przybył król końmi pośpiesznymi,
Sto jodżan przeleciawszy; jego-m ja woźnicą!"

Kesini rzecze:

„A trzeci z was kto? skąd i z rodu jest jakiego?
I ty z jakiego-ś rodu i woźnicą czemu-ś?"

Bâhuka rzecze:

„Wârszneja Punjaśloki był woźnicą sławnym;
Gdy Nala zginął, udał się do Bhângâsury,
I ja-m koniuszy i powozić umiem dobrze,
Dlatego Ṛtuparna przyjął mnie do jazdy."

Kesini rzecze:

„Czy wie Wârszneja, dokąd udał się król Nala,
I tobie może téż powiedział, o Bâhuko?"

Bâhuka rzecze:

„Oddawszy tu Wârszneja dzieci króla Nali,
Szedł w świat daleki; a o Nali nic on nie wie!
I żaden człowiek nie wie o nim, krasawico;
W postaci obcéj chodzi nieznan on po świecie.
O Nali losach tajnych wie sam Nala tylko.
Bo poznać nie da Nala się nikomu nigdzie."

Kesini rzecze:

„Co brahmanowi, do Ajodhji przybyłemu
Na słowa jego rzekłeś, kiedy wołał ciągle,
„ „Gdzie jesteś graczu, który-ś szaty pół mi wziąwszy.
Opuścił w lesie śpiącą lubą twą, o luby!

Siedziała tam biedaczka, oczekując ciebie
W kłopocie wielkim resztką szaty swéj odziana.
Płaczącéj ciągle z smutku i zmartwienia
Pociechę ześlij i odpowiedź daj żądaną!" "
Te same słowa powtórz dziś dosłownie!
Usłyszeć je od ciebie znów chce Widarbhówna."
Bṛhadaśwa rzecze:
Kesini mowę gdy usłyszał Nala, królu,
Zraniło mu się serce, załzawiło oko.
Lecz boleść powściągnąwszy władca nieszczęśliwy,
Choć łzy mu głos tłumiły, znowu się odezwie:
„Niewiasta zacna, choć popadnie w nędzę, stróżem
Jest sobie sama, za co niebo jéj zapłatą.
Małżonka, który ją opuścił, nie przeklina,
Lecz wiedzie życie czyste, cnoty tarczą bronna.
I choć mąż popadł w biedę i ją wyrwał z uciech
I rzucił potém, złości za to dlań nie żywi;
Choć mąż bez strawy i od ptaków z szat wyzuty
I dręczon kłopotami, złości dlań nie żywi."
To mówiąc Nala czuł się bardzo nieszczęśliwy,
A łez nie mogąc wstrzymać, płakał, o Bhârato!
Kesini zaś się oddaliwszy, Damajancie
Opowiedziała mowę i wzruszenie jego!

Pieśń dwudziesta trzecia.

Bṛhadaśwa rzecze:
Służącéj mowę usłyszawszy Damajanti
I przeczuwając, że Bâhuka Nalą, rzekła:
„Kesini, idź raz jeszcze i Bâhukę zbadaj,
Zważając pilnie na czynności i ruch jego.
By wstrzymać tu go, nie daj ognia mu, Kesini!
Na prośbę jego nie śpiesz mu się podać wody,
Gdy znamię jakie ujrzysz, boskie albo ludzkie,
Lub coś nadzwyczajnego, donieś mi natychmiast!"
Po słowach Damajanty poszła znów Kesini.
Znamiona koniuszego wybadawszy potém.
Wróciła, oznajmując wszystko Damajancie,
I znaki wszystkie, które była w nim spostrzegła.
Kesini rzecze:
„Nadzwyczaj dziwny jest on; nie widziałam nigdy

Człowieka podobnego jemu, Damajanti!
Choć niską wchodzi bramą, nigdy się nie zgina,
Lecz wchód za przyjściem jego dlań się rozprzestrzenia,
Ze względu na mocarza Rtuparnę strawy
Rozlicznéj dano mu i mięsa zwierzęcego,
Do mycia naczyń mu potrzebnych przyniesiono,
Na które skoro spojrzał, wody pełne były.
Umywszy się Bâhuka potém, poszedł na bok
I trawy wiązkę wziąwszy podniósł ją ku słońcu
Po małéj chwili gorejący powstał ogień.
Ujrzawszy to zdumiona, przyszłam tu oznajmić.
I inny cud niezwykły oglądałam także,
Że ogień dzierżąc w ręku, sam się nie oparzył.
Prócz tego jeszcze jeden cud widziałam wielki,
Jak kwiaty, które wziął i zdusił ręką wolno,
Jak kwiaty te rękoma jego poduszone,
Tym bardziéj pachnąc świeżość znowu odzyskały."

Bṛhadaśwa rzecze:

Te czyny Punjaśloki słysząc Damajanti,
Powzięła przekonanie, iż ich sprawcą Nala,
A sądząc, iż mąż Nala kryje się w Bâhuce,
Łagodnym rzecze głosem do Kesini płacząc:
„Idź jeszcze raz i zabierz mięsa pieczonego
Bâhuce powolnemu i przyjdź do mnie, droga!"
Poszedłszy do Bâhuki, wzięła z ognia mięsa
Kesini i przyniosła Damajancie, królu.
Po smaku i przyprawach mięsa pieczonego
Poznała zaraz, płacząc, iż woźnica Nalą.
Wzruszenie gdy minęło i twarz gdy umyła,
Posłała dzieci swoich dwoje doń z Kesinią.
Poznawszy Indrasenkę, jak i jéj braciszka,
Do serca swego je przycisnął król Bâhuka.
I mając je na łonie, dzieciom boskim równe,
Zapłakał głośno nad nieszczęsnym losem swoim.
Zdradziwszy tak Niszadhczyk wielkie swe wzruszenie,
Odepchnął nagle dzieci i rzekł do Kesini:
„I ja mam takich dzieci dwoje, ma staruszko,
Ujrzawszy nagle te tu, zapłakałem sobie.
Posądzą cię o bezwstyd, boś tak często u mnie;
Ja-m gościem tutaj tylko; idź więc precz ode mnie!"

Pieśń dwudziesta czwarta.

Brhadaśwa rzecze:
Wzruszenie Punjaśloki cnego oglądawszy
Kesini, poszła z wieścią znów do Damajanty.
I znów Kesinię Damajanti, smutku pełna,
Wysłała do swéj matki, tak jéj mówić każąc:
„Bâhukę strzegłam, Nali w nim się domyślając.
Co w kształcie jego mi wątpliwe, zbadać pragnę.
Dlatego proś go tutaj lub mnie puść do niego!
Czy z wiedzą czy bez wiedzy ojca być to musi."
Po słowach tych królowa objawiła Bhîmie
Zamiary córki; król dał pozwolenie swoje.
Za ojca więc i matki pozwoleniem, królu,
Przyjęła Damajanti Nalę w swém mieszkaniu.
Ujrzawszy Damajantę nagle władca Nala,
Z żałości i nieszczęścia zaczął płakać rzewnie.
Ujrzawszy go w wzruszeniu takiém Damajanti,
Popadła również w żal i smutek krasawica.
W czerwonéj sukni, z włosem zaplecionym, brudna (1)
Te słowa Damajanti rzecze do Bâhuki:
„Czyś widział kiedykolwiek, aby człowiek zacny
Zostawił swą małżonkę śpiącą w lesie pustym,
Małżonkę wierną i niewinną, lecz znużoną?
Któż mógłby zdradzić tak kobietę oprócz Nali?
Występek jakiż popełniłam względem niego,
Że w lesie śpiącą zostawiając, uszedł sobie,
Niepomny, że bogami gardząc, jego wzięłam!
Jak mógł opuścić mnie, co kocham go nad wszystko?
On, który w obecności bogów wierność przyrzekł,
Nad ogniem rękę dzierżąc, gdzież się błąka w świecie?"
Gdy tak mówiła Damajanti, wrogogromco,
Łez gorzkich strumień z oczu lał się jéj obfity
Z ócz czarnobrewych Nala strumień łez płynący
Ten widząc, rzecze do płaczącéj słowa takie:
„Królestwo-m stracił, lecz nie moją winą własną!
Z Kalego-m winy, o kobieto, stracił wszystko.
Lecz jakiém prawem ty wiernego ci małżonka
Opuszczasz i innego chcesz wybierać nędzna?
Na rozkaz króla przebiegają gońcy ziemię:

(1) Znamiona wielkiéj żałoby i smutku

„ „Bhîmówna, głosząc, po raz wtóry za mąż idzie.“ •
Ten zarzut Nali usłyszawszy Damajanti,
Złożyła ręce i z bojaźni drżąca, rzecze:
Potwarzy miotać nie racz na mnie, bohatyrze!
Ja-m bogów ostawiła, a wybrała ciebie!
Dla ciebie brahmanowie szli na wszystkie strony,
W swych rymach słowa me śpiewając w każdym kraju,
Aż w końcu brahman mądry, zwan Parnâdą, królu,
W Kosiali (1) znalazł ciebie w domu Rtuparny.
Na słowa pieśni jego ty się odezwałeś.
By ciebie zwabić, wymyśliłam podstęp taki,
Bo nikt prócz ciebie w jednym dniu, o ziemiowładco,
Nie zdolen jodżan setkę końmi przebiedz, królu!
Tych stóp się dotknę na stwierdzenie prawdy, władco,
Że myślą nawet nie zgrzeszyłam przeciw tobie!
Niech Wiatr, coświadkiem stworzeń wszystkich na tym świecie,
Odbierze życie mi, jeżeli grzech popełniam!
Niech Słońce, które ciągle świat obiega cały,
Odbierze życie mi, jeżeli grzech popełniam!
Niech Księżyc, który jak szpieg środkiem krąży stworzeń,
Odbierze życie mi, jeżeli grzech popełniam!
Ci trzej bogowie trzechświat utrzymują cały,
Niech oni prawdę ci poświadczą, niech mnie zdradzą!“
Po słowach takich Wiatr odezwie się z powietrza:
„Nie popełniła ona grzechu, mówię-ć prawdę.
Bogaty skarbiec cnoty Damajanty nie naruszon;
Świadkami i stróżami jéj lat trzy byliśmy.
Podstępu zaś użyła, aby zwabić ciebie,
Bo nikt, jak ty w dniu jednym jodżan sto nie jedzie.
Znalazła cię Bhîmówna, a Bhîmównę ty znów!
Nie wahaj więc się dłużéj z żoną swą połączyć!“
Gdy Wiatr to mówił jeszcze, spadł deszcz kwiatów na nich,
Głos bębnów boskich rozległ się i wietrzyk zawiał.
Gdy cud ten wielki ujrzał Nala król, Bhârato,
Poprzestał podejrzywać Damajantę, królu!
I oblekł szatę owę, kurzem niedotkniętą,
Słów króla wężów pomny i wnet kształt swój zyskał.
W postaci dawnéj widząc męża Bhîmy córka,
W objęcia padła jego, głośno się radując.
I Nala, król, Bhîmównę, piękny jako dawniéj,

(1) Druga nazwa miasta Ajodhji.

Uściskał i powitał dzieci swe radośnie.
Do piersi swéj twarz piękną jego przycisnąwszy,
Wzdychała ze wzruszenia ciężko długobrewa.
Podobnie król ściskając brudem pomazaną
Małżonkę swoję, stał wzruszeniem nieruchomy.
Poznanie Nali z Damajantą w wszech szczegółach
Opowiedziała Bhîmie matka jéj, o królu!
Król rzecze wtenczas: „Gdy dokona oczyszczenia
I z żoną się zabawi Nala, udam doń się.“
Tymczasem oni w nocy powiadali sobie
Koleje życia swego, mile czas spędzając.
Wesoło w domu Bhîmy Nala z Widarbhówną
Bawili się tam, pocieszając się nawzajem.
Po latach trzech tak zszedłszy się z małżonką znowu
I widząc życzeń swych spełnienie, czuł się szczęśliw.
I Damajanti męża mając, téż wzmocniała
Jak zboże napółwzrosłe po spadnięciu deszczu.

Pieśń dwudziesta piąta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Spędziwszy noc tak Nala, poszedł z Widarbhówną
Ubrany pięknie, złożyć cześć teściowi swemu.
Jak syna przyjął go z weselem wielkiem Bhîma
I wedle stanu go uczciwszy, cieszył się z nim.
I Nala, cześć przyjąwszy tę, jak mu przystało,
Gotowość swą do usług w zamian ofiarował.
Natenczas powstał w mieście wielki krzyk radości
Ucieszonego tłumu, że powrócił Nala.
Skropiono drogi i kwiatami ozdobiono,
I w bramach wszystkich sypał kwiaty lud poddany.
I Ṛtuparna słysząc, że Bâhuka w Nalę
Się zmienił i pojednał z żoną, téż się cieszył.
Przywiódłszy doń król Nalę, uniewinnił zięcia.
„Szczęśliwym bądź, rzekł Ṛtuparna, z żoną twoją!
Jeżelim cię obraził może, Niszadhczyku,
Nie wiedząc, iż przebywasz w domu moim, królu,
Jeżelim z wolą lub bez woli kiedykolwiek
Postąpił sobie z tobą źle, racz mi wybaczyć.“
Nala rzecze:
„Nie wyrządziłeś krzywdy mi najmniejszéj, królu,

A choćby-ś i wyrządził, chętnie ci daruję.
Oddawna jesteś przyjacielem mym i krewnym;
I nadal jeszcze racz zachować przyjaźń dla mnie!
W dostatki wszelkie opływałem ja u ciebie;
Jak w domu własnym miałem się w twym domu, królu!
Koniarstwo dotąd mą jest tajemnicą jeszcze;
Powierzyć ci ją, królu, jeźli wola, pragnę."

Bṛhadaśwa rzecze:

Po słowach tych dał Ṛtuparnie wiedzę owę.
Z wdzięcznością przyjął ją, prawidła jéj pojąwszy.
Pojąwszy konioznawstwo władca Bhângâsuri,
Woźnicę wziął innego i do domu wrócił.
Gdy Ṛtuparna był pojechał, mężny Nala
Niedługo bawił się w Kundinie, mężowładco!

Pieśń dwudziesta szósta.

Bṛhadaśwa rzecze:

Po jednym już miesiącu z Bhîmą się pożegnał
I z służalcami kilku do Niszadhów jechał.
Wziął wóz przepyszny z sobą i szesnaście słoni,
I koni pięćdziesiątkę i piechurów sześć set,
Że ziemia drżała od pośpiechu ziemiowładcy,
Ze złością skrytą udał się król wielkoduszny,
Syn Wiraseny, Nala, do Puszkary i rzekł:
„Zagrajmy znowu! bogactw nazbierałem licznych;
Ja stawiam Damajantę i me mienie całe
Za przedmiot gry téj; ty Puszkaro staw królestwo!
Rzucimy kostki wszakże—także me życzenie—
Raz jeden tylko! Bacz więc! i o życie gramy!
Zwycięsca zaś zabiera państwo lub bogactwa.
Odpłatę dać należy! tak nam każe zwyczaj.
Jeżeli gry nie pragniesz, łuki niech zaświszczą
I w pojedynku ty lub ja niech spokój znajdzie!
O ziemię ojców w każdy sposób walczyć trzeba
I środkiem każdym; tak uczyli mnie starcowie!
Z dwóch walk wybieraj jednę sobie dziś, Puszkaro;
Kostkami w grze lub łukiem, w boju walczyć będziem."
Po słowach Niszadhczyka rzekł Puszkara z śmiechem,
W nadziei zwyciężenia Nali w odpowiedzi:
„Cześć tobie! bogactw nazbierałeś do odpłaty!

Ach! dzięki! Damajanty los rozstrzygnion dzisiaj!
Bhîmówna wraz z bogactwy twemi dziś wygrana
Mnie służyć będzie, jak Apsaras (1) w niebie Siakrze.
Wspominam ciągle cię i czekam, Niszadhczyku,
Bo nie znajduję w grze z innymi przyjemności.
Wygrawszy dziś zaś Damajantę niezrównaną,
Osięgnę cel mój; dawno o niéj już myślałem."
Dowcipy jego nierozsądne wysłuchawszy,
Chciał głowę mieczem rozciąć mu rozgniewan Nala.
Lecz chociaż oko gniewem wrzało, z śmiechem rzekł mu:
„Zagrajmy! poco gadać? po grze cicho będziesz!"
Zaczęli więc grę potém Nala i Puszkara
I w jednéj grze Puszkarę ograł mężny Nala.
Ograwszy zaś Puszkarę, rzecze uśmiechnięty:
„Królestwo me jest; żaden wróg go nie zaburzy,
A Widarbhówny nie zobaczysz, nikczemniku!
Do stanu niewolników jéj upadłeś, niecny!
Nie ty sprawiłeś, żem ograny został dawniéj;
Kalego sprawa była to, lecz tyś nie wiedział.
Lecz nie na tobie zemszczę się za winy innych.
Żyj sobie więc do woli! życie ci daruję
I skarby wszystkie, własność twoję, zabierz z sobą!
Gdyż kocham cię, rycerzu—nie wątp o tém wcale!—
I przyjaźń ma od ciebie nigdy nie odstąpi.
Puszkaro! bratem bądź mi wciąż i żyj lat setkę."
W ten sposób pocieszywszy brata Nala zacny
Do miasta go własnego posłać przyobiecał.
Pocieszon tak przez Niszadhczyka rzekł Puszkara
Do Punjaśloki, ukłoniwszy się z pokorą:
„Pomyślność wieczna ci! żyj lat tysiące szczęsny,
Ty, który życie z miastem mi darujesz, władco!"
W gościnie bawił tam Puszkara miesiąc jeszcze,
A potém chętnie udał się do miasta swego.
Puszkarę odesławszy w zdrowiu i z bogactwy,
Do miasta wszedł szczęśliwy pięknie ubranego.
Mieszczanie i wieśniacy ucieszeni bardzo,
W pokorze rzekli wszyscy z ministrami wspólnie:
„Szczęśliwi dziś jesteśmy po wsiach i po miastach!
Przychodzim służyć ci, jak bogi Siatakracie (2)

---

(1) Nimfa niebieska.
(2) Przydomek Indry.

Gdy miasto się uspokoiło w swéj radości,
Wyruszył z wojskiem silném król po Damajantę.
Straszliwy wrogom rodzic jéj, szlachetny Bhîma,
Obdarzył hojnie córkę swą i puścił z mężem.
Gdy Widarbhówna z dziećmi nadjechała zdrowa,
Był Nala szczęśliw, jako bogów król w Nandanie (1).
Znaczenie odzyskawszy znowu w Dżambudwipie (2)
I państwo swoje, rządził niém sławiony wielce.

Przełożył *Jan Lieciejewski.*

---

(1) Ogród Indry.
(2) Stara nazwa Indyj wschodnich.

ZDROWOTNOŚĆ MIESZKAŃ NASZYCH.

Nietrudno będzie dowieść jak ważnym w zachowaniu zdrowia czynnikiem jest *dobre mieszkanie*, gdy się zastanowimy, że nie mniéj, jak trzecią część życia naszego w domach mieszkalnych już podczas samego snu spędzamy. Dodajmy do tego czasy dzieciństwa, wszelkie choroby przebyte, obowiązkowe, przymusowe i dobrowolne (szczególniéj po miastach) zajęcia i rozrywki pod dachem, warunki naszego klimatu, długie jego zimowe wieczory,—a przekonamy się że przeszło połowa życia upływa nam w zamknięciu między czterema ścianami.

Łatwiéj jeszcze przekonać, jak szkodliwe wpływy *złych mieszkań* niszczyć mogą to, co jest nam najdroższe. Oto rozpatrzmy bliżéj kiedy, w jakich okolicznościach te wpływy przeważnie działają. A więc: w dzieciństwie, w czasie snu, w czasie choroby i rekowalescencyi. Głównie przeto w momentach pewnéj bezbronności organizmu naszego, kiedy największéj potrzebujemy ochrony.

Że w dzieciństwie, chorobie i czasu powrotu do zdrowia organizm, jako słabszy lub chwilowo znękany, wrażliwszym jest na złe wpływy, łatwe jest do pojęcia i wie to każdy; lecz nie wszystkim zapewne wiadomo, że w czasie snu, właściwa normalnemu organizmowi odporność bardzo znacznie się zmniéjsza. Dzieje się to wskutek omdlenia reakcyi nerwowéj, wskutek zwolnienia w krążeniu soków i opóźnionéj przez to przemiany materyi, spadku temperatury, nie mówiąc już o dodatkowych, ułatwiających wtargnięcie i rozwój zarazków zjawiskach, jak zaleganie koniecznych fizyologicznych funkcyj, nagromadzenie się śluzów w drogach oddechowych i jamie ustnéj, transpiracyi skóry itp. Odpowiednio do tego i zarażenia się chorobami najłatwiéj podczas snu przychodzą. Któryż np. z lekarzy, zamieszkujących okolicę nawiedzaną przez febry błotne, nie obserwował mnogich wypadków zarażenia zimnicą, przez sen choćby

krótkotrwały w miejscu silniéj zapowietrzoném, wtedy, gdy czuwanie lub praca fizyczna tamże, ochraniała inne indywidua od objawów choroby, bo dopomagała im do zwalczenia w sobie i wydalenia zarazka. Potrzeba zdrowego mieszkania, jest już dziś prawie ogólną, bo do ogólniéj znanych prawideł hygieny zaliczyć wypada i świadomość o zbawiennym lub szkodliwym jego wpływie na zdrowie nasze. Również, każdy już z nas dzisiaj umiałby (tak się przynajmniéj nam zdaje) poznać się na warunkach *zdrowego mieszkania*. W tém zwykłém znaczeniu, jeżeli jest ono nie wilgotne, jest suche, na zimę ciepłe, bez przeciągów, gdy jest w dodatku obszerne, wysokie a widne, więc z dostatkiem powietrza a światła, nie ma złego sąsiedztwa, a niech to będzie jeszcze domek w ogrodzie wśród drzew,—to już i dla najbardziéj kapryśnych nic do życzenia nie pozostawi i nigdy obwinioném nie będzie o szkodliwe działanie na zdrowie.

A jednak są jeszcze warunki inne, mniéj ogółowi znane, z pierwszorzędném, kardynalném znaczeniem w kwestyi zdrowotności mieszkania.

Mieszkanie człowieka powinno być, oprócz przytoczonych warunków, jeszcze:

1. Wolne od współlokatorów: roślin, owadów, myszy.

2. Czystością swą możliwie zabezpieczone od grzybków-pleśni i spokrewnionych z niemi grzybków-bakteryj.

3. Powinno być zaopatrywane w powietrze z warstw wyższych po nad ziemią.

4. Powinno być *absolutnie* przedzielone od wyziewów ziemnych.

Skazując rośliny na wygnanie z mieszkań ludzkich, trudno co prawda przeciwko nim samym poważny postawić zarzut; co więcéj sprawiedliwość wymaga nawet, wyliczenia małych ich zasług. Że niektóre z nich, kwiatów, silnym zapachem nabawią czasem zawrotu głowy amatora flory pokojowéj,—to za to, dostarczają one dla zdrowia potrzebnéj wilgoci, szczególniéj w czasie mrozów (bo wtedy powietrze mieszkań najsuchsze). Są przytém ozdobą trudną do zastąpienia. Jeżeli są one szkodliwe, to tylko dlatego, że się bez ziemi w wazonach obejść nie mogą. Przytaczane przez obrońców roślin pokojowych inne zasługi, jak np. dostarczanie tlenu, tak potrzebnego dla istot żyjących, a pochłanianie kwasu węglowego, przez te ostatnie wydzielanego, podlegają krytyce. Każda roślina, co wdzień pod działaniem słonecznych promieni zrobi dobrego, to nocą popsuje, gdyż nocny proces jéj oddechania jest wprost przeciwny. Kwas

węglowy nocą roślina oddaje napowrót. Oddech więc roślin, w pożytku lub szkodliwości zredukowany jest do zera; lecz oddech to a raczéj wyziew ziemi z wazonów jest tutaj okolicznością obciążającą, która koniecznie werdyktu potępiającego wymaga. Wyjątek stanowią niektóre cebulkowe. Mając zapas pokarmu w cebulach nagromadzony, potrzebują tylko wody i z jéj pomocą są zdolne kwiaty wykształcić. Czytelnikowi znany zapewne sposób trzymania tych kwiatów w szklannych flakonach z wodą.

W ziemi każdéj, a témbardziéj w żyznéj, w humus obfitéj ziemi wazonowéj, odbywa się ciągły proces chemiczny, zależny poczęści od rozwoju drobnych tworów żyjących. Procesowi temu towarzyszy trwałe wydzielanie gazów stanowczo szkodliwych ustrojom wyższym a więc człowiekowi. Przy dostatku wilgoci i w temperaturze pokojowéj, proces ten potęguje się. Niedziw więc, że ujemne jego działanie zwróciło uwagę wielu lekarzy. Prof. Eichwald opisuje uporczywą malaryę zimniczą u pewnéj kobiety w Petersburgu. Dama ta miała w swoim salonie oranżeryą i większą część dnia w tym salonie przesiadywać zwykła. Po kilku dawkach chininy choroba ustępowała, lecz jednocześnie z powrotem do zdrowia, chora opuszczała swój pokój sypialny, wracając do zwykłego przepędzania czasu w salonie. Febra objawiała się znowu, znowu była leczoną, i tak się powtarzała dopóty, aż prof. Eichwald zwrócił uwagę na kwiaty jako przyczynę złego. Po usunięciu ich z mieszkania, chora raz wyzdrowiawszy, już więcéj nie zapadała na febrę. Prof. Tomasi-Crudeli (1) z Rzymu jest zdania, że fabrykantem szkodliwych tych emanacyi, jest wykryty przez niego mikrob (Bacillus Malariae) żyjący przeważnie w ziemiach wilgotnych, humusowych. Mal'aria, nowoczesna nazwa zimniczego zakażenia, jest więc, jak widzimy, bardzo odpowiednią dla téj choroby dziś tak rozpowszechnionéj.

Z mieszkań naszych wypędzić trzeba owady, bo z pomiędzy nieprzyjemnych i dokuczliwych, niektóre mogą być wprost szkodliwemi dla zdrowia ludzkiego. Jeżeli muchy kąsające przenoszą zarazki karbunkułowe z jednego zwierzęcia na drugie i to szczepienie podskórne im się udaje, to czemużby muchom pokojowym nie miało z równym sukcesem udawać się przenoszenie zarazków, np. cholerycznych, na przedmioty na pokarm człowieka przeznaczone, jak mleko, owoce itp. i przeszczepianie ich tamże dla dalszego rozwoju. A przytém, miliardy ich trupów, że weźmiemy za przykład jesienną

---

(1) Tomasi Crudeli: La Malaria de Rome et l'ancien drainage des collines Romaines. Paris 1880.

epidemię much, są wstanie zatruć powietrze pokoju i dostarczyć pokarmu dla konkurujących o wszystko i niczém nie gardzących wszędobylskich bakteryj, (przez które to pewnie żyjątka w naturze nic zaginąć nie może).

Co mówimy o owadach, to podniesione do wyższéj potęgi stosować wypada do myszy i szczurów. I te również bez szpitali i przedsiebierstw pogrzebowych obchodzić się zwykły, a podlegają wielu chorobom, nietylko swoistym, lecz i u ludzi powszechnym. Są to stworzenia nadzwyczaj wrażliwe i łatwo przyjmujące (jak o tém doświadczalne laboratoria przekonywają) zarazki chorób wspólnych zwierzętom i ludziom (karbunkuł, dyfteryt). Czy więc nie mogą być one roznosicielami tych chorób? A nawet w innych chorobach, czy nie biorą na siebie roli osób trzecich, pośredników pokątnych? Bardzo to niehygieniczna i niesympatyczna społeczność. Żaby np. i węże, bo i tych gości w wiejskich naszych, szlacheckich nawet domach spotkać można, nie są tyle szkodliwe, jako stworzenia o krwi zimnéj; jeżeli więc i mają swemu gatunkowi właściwe choroby, to zapewne zupełnie odrębne, na ludzi nie przechodzące. Wobec śmierci jednak wszyscyśmy równi. Pośmiertne szczątki jednych i drugich jednako zapachnąć mogą. A któż z wieśniaków nie zaznał téj przyjemności w domu, gdzie Tord-boyaux do tępienia myszy użyją, nie wspominając o zdechłych z pragnienia, jak się to najczęściéj myszom w zamknięciu przytrafia. O uczcie dla bacillusów wtedy zbytecznem byłoby mówić.

Lecz może o nich samych, o tych mikrobach Pasteur'a, bacillusach Kocha, lasecznikach, pora już słów parę powiedziéć!

Są to przedewszystkiém stworzenia gołém okiem niewidzialne, chyba w znacznèm nagromadzeniu jednostek jako kolonie. Pod mikroskopem niewprawne oko dostrzeże zaledwie, jakby odrobinę sieczki rozsianéj na polu widzenia. Nazwa též ich od kształtu zapożyczona: bakterya (βακτηρία — pałeczka), lasecznik (Bacillus—laska), mikrokokki (μικρός —drobny, Coccum—ziarno, jądro); a chociaż jest ich setki rodzai i odmian i wszystko to prawie pałeczki i ziarnka, to dla wprawnego oka rozpoznanie ułatwia ugrupowanie się cząstek. Jak zdala rozpoznajemy gatunek lecących ptaków, po kluczu żórawie lub dzikie kaczki, po gromadce gołębie, tak i pod mikroskopem widząc gromadki, szeregi, dwójki itp. kombinacye pałeczek i ziarnek, już wnosić możem o gatunku bakteryj, jakkolwiek ostatecznie rozstrzygają dopiero ich biologiczne własności, zachowanie się względem farb pewnych i próbne szczepienia zwierzętom.

W historyi naturalnéj miejsce tych tworów drobnowidzowych na kresach państw roślinnego i zwierzęcego. Sposobem życia i rozmnażania się do roślin (jak one bez wilgoci obejść się nie mogą i jak one tworzą zarodki, nasionka), a darem ruchu do zwierząt zbliżone,—stanowić powinny odrębne państwo, a państwo potężne, bo śmiało powiedziéć można, najliczniejsi to mieszkańcy ziemi. Przytém, w walce o byt najpotężniejsze, najpłodniejsze, najbardziéj na różnicę temperatury zahartowane, z rozciągłą zdolnością przystosowywania się do otaczających warunków, ogólnym prawom natury dla istot żyjących najmniéj podległe. Wśród téj to groźnéj rzeszy, mamy także naszych wrogów nieprzejednanych. Są one jak wiadomo, przyczynami wielu chorób. Lekarze - badacze albo już odnaleźli, albo podejrzewają, że dla każdéj zaraźliwéj choroby istnieje osobny gatunek bakteryj. I tak: w karbunkule *bacillus anthracis*, w tyfusie powrotnym *spirilla*, w suchotach odrębny laseczník. Towarzyszą one zawsze róży, ospie, błonicy; a w nowszych czasach dla zimnicy *bacillus malariae* dla cholery *bacillus przecinek* odnaleziony. Dla dwóch ostatnich wprawdzie akta nie są jeszcze zamknięte. Hodowcy studyując ich życie, odkryli jedną z bardzo doniosłych własności, swoistą téj grupie stworzeń. Oto, nieszkodliwy, obojętny pierwotnie gatunek bakteryi, przy odpowiedniéj, dogodnéj dla niego kulturze, nabrać może w następnych swych pokoleniach wysokiéj jadowitości. Po pewnym jednak czasie, dosięgnąwszy niejako szczytu dzielności, przeżywa się, słabnie. W tym więc razie, nie wyłamały się one z pod powszechnego prawa natury. Że takie samoistne kultury bakteryi w przyrodzie się powtarzają, objaśni nam łatwo każda z epidemij, ze swym cyklicznym, wzmagającym się, równym i słabnącym w końcu przebiegiem.

Pokrewne bakteryom, lecz więcéj do roślin zbliżone są pleśnie. Któż ich nie widział w kałamarzu na atramencie, na konserwach zimowych kompotów, na serach gnojonych, na ścianach wilgotnych piwnic. I ten rodzaj grzybków jest zdolnym powiększyć swą siłę żywotną, a nawet stać się jadowitym przy odpowiednich warunkach. Miliardy zarodków pleśniowych kiełkują wszędzie, gdzie tylko grunt dla nich jest odpowiedni. Zapalne choroby uszu polegają często na rozwoju grzybka z gatunku *Aspergillus*. Pleśnie także wydzielają z siebie gazy niezdrowe, stęchliznę, a przytém znajdujemy zawsze z niemi razem bakterye, czy-to jako towarzysze wspólnego stołu, czy jako pasorzytów na mniéj silnych, lub może sprzymierzonych w jednakim celu.

Prof. Naegeli z Monachium, chcąc objaśnić niektóre fakta i pogodzić sprzeczne zapatrywania epidemioznawców, zbudował nastę-

pującą hypotezę. Dla wywołania choroby z grupy chorób miazmo-wo-zakaźnych, np. tyfusu brzusznego, potrzeba takiego zaczepno-odpornego przymierza dwóch różnych zarazków. Miazmatowy, który wprzód w ziemi powinien się rozwielmożnić, po przejściu do organizmu człowieka i osłabiając jego odporność, ma tam grunt przygotować, dla właściwego zarazka—*contagium*. Bez tego przygotowawczego działania pierwszego, drugi zaszczepić się, tj. rozwinąć nie ma dość siły.

„Czy nie prościéj, jak słusznie mówi Wernich (1), działanie grzybka miazmowego, zredukować do szkodliwego wpływu gazów, jakie on wytworzyć jest w stanie i gazom tym przygotowawcze działanie przypisać?“ A nawet, jak mnie się zdaje, jeden i ten sam grzybek-zarazek może obie role przyjąć na siebie, i gazy trujące produkować i w następstwie zarażać organizm swoją istotą chorobotwórczą, jak tchórz, co swoje ofiary w kurniku podkurza.

Wernich na dowód słuszności zapatrywania, cytuje swe doświadczenia nad odżywczemi płynami, specyalnie przygotowanemi dla hodowli bakteryj. Płyny takie, wystawione przez pewien czas na działanie wyziewów z rozkładu materyj organicznych, daleko prędzéj i łatwiéj przyjmowały w następstwie szczepiony zarazek i sprzyjały rozmnażaniu się jego, niż płyny téj saméj treści, lecz niewystawiane poprzednio na działanie gazów smrodliwych. Czyż analogicznie i do organizmu człowieka zastosować by tego nie można?

Przejściem do punktu 3-go naszego zadania, będzie zwrócenie uwagi na tę okoliczność, że ciężar gatunkowy gazów, wydzielanych przez ziemię, większy jest od gatunkowéj ciężkości powietrza; stąd téż, warstwy powietrza niżéj nad ziemią złożone, obfitować muszą w znaczniejszą ilość téj szkodliwéj domieszki. W warstwach wyższych, zwykle ruch większy, możebne więc rozrzedzenie, rozwianie tego co jest szkodliwe. Słuszném byłoby żądanie, zaopatrywać parterowe mieszkania w powietrze, przez lufty bliżéj sufitu umieszczone lub przynajmniéj przez tak zwane oberlufty w oknach.

Mimochodem zaznaczyć wypada, że z gatunków ziemi grunta przepuszczalne od dawna są uważane za najniezdrowsze, najbardziéj sprzyjające rozrostowi zarazków. Wydzielają one również z łatwością gazy, w czém im wsiąkająca z powierzchni woda znakomicie dopomódz może. Grunta ścisłe, gliniaste, są zdrowsze, raz dla tego, że wydzielanie gazów hamują, a powtóre, że przystęp do nich powietrza, koniecznego warunku dla należytego rozwoju grzybków-bakteryj, jest utrudniony.

---

(1) Dr. A. Wernich. Desinfectionslehre. Wien, 1882.

Znany jest fakt z czasów wojny Krymskiéj, że armia francuska, dziesiątkowana przez cholerę w Konstantynopolu i pod Warną, przeniósłszy się pod Sewastopol, pomimo skupienia, niewygód i trudów wojennych, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu w krótkim bardzo czasie znacznie na zdrowiu zyskała, co ostatecznie przypisać należy skalistemu, nieprzesiąkliwemu gruntowi półwyspu i jego małéj zdolności do reprodukowania zarazków i wydzielania gazów. Słynny chirurg Pirogow, nie mógł się dość nachwalić świetnych rezultatów swych operacyj, dokonywanych po chatach włościańskich w Małorosyi, gdzie jak wiadomo podłogę zastępował zawsze tok gliniany. Nigdy nie miał on tam zakażenia ran i gangreny. Jakkolwiek, łatwemu gojeniu się ran sprzyjała bez wątpienia i ta okoliczność, że to się działo po wsiach, gdzie nie ma wykształconych zarazków szpitalnych,—część jednak dobroczynnego wpływu sprawiedliwie przyznać tu można seperacyi mieszkań od wyziewu ziemnego. Niestety, dziś już na Litwie i Rusi włościanie, jednocześnie z przeróbką chat kurnych na kominowe; układają podłogi, zapominając o tradycyonalnéj, glinianéj podkładce, w miejsce któréj niebaczni, częstokroć (niby dla ciepła) ścielą słomę, która próchniejąc pomnaża jeszcze wyziewy.

Jak dobrze jest zamknąć drogę wyziewom ziemnym cisnącym się do mieszkania, przekona nas spostrzeżenie sławnego epidemiologa prof. Hirscha z czasu cholery pod Gdańskiem. W pewnym majątku wiejskim z 9-ciu domków folwarcznych, obok siebie stojących, dwa w środku były to chatki na dawny słowiański sposób, z klepiskiem glinianém, mocno ubitém, zamiast podłogi. Inne domy, zbudowane na piwnicach, zupełnie zresztą suchych, z podłogami z bali, widne, z dostatkiem powietrza, jak się zdawało, były o wiele zdrowsze od dwóch środkowych. Ogólna liczba wszystkich mieszkańców wynosiła 150. Cholera wybuchła najprzód w jednym ze 7 domostw, przyniesiona tam przypadkowo przez chorą na ulicy podjętą. W następstwie 17 osób z liczby mieszkańców 7 domów lepszych zmarło na cholerę, a żaden lokator dwóch szczęśliwie upośledzonych, o klepisku glinianém, nie doznawał nawet napadu choroby.

Jeżeli wyziewy ziemne niezdrowe są w wiejskich mieszkaniach, to o ileż one szkodliwszemi być muszą w miastach, gdzie ziemia jest przesiąknięta i przepełniona odpadkami organicznemi. Miejskie mieszkania tylko na piętrach bez zaprzeczenia mogą być zdrowsze. Malarya np. rzadko na wyższe wstępuje piętra. Ale i tam gazy trujące dostać się mogą bez podpadnięcia rozwianiu, a to przez pory murów, klatki schodowe i inne drogi. Wciąganie ich zawsze ma miejsce, jak o tym przekonywują zatrucia gazem do oświetlania, przy pęknięciu rury gdzieś wgłębi ziemi.

Dla czego tak późno pomyślano o gazach niezdrowych w mieszkaniach ludzkich, kiedy na szkodliwość ich dla zwierząt domowych zwrócono poniekąd uwagę i dawniéj? Délafond np. w 1843 r. (1) radził dla uniknięcia wyziewu „des gaz malfaisants", mogących zatruwać owce, co drugi rok wyrzucać warstwę ziemi z pod mierzwy w owczarniach, zastępując ją nową ziemią, gliniastą, mocno ubitą. I u nas w Polsce, na Litwie i Rusi, więcéj chyba dbają o inwentarze niż o siebie i swą rodzinę, bo łatwiéj jest znaleźć w majątku wiejskim dobrą oborę, owczarnię, a przedewszystkiém stajnię porządną niż dom hygieniczny. Nawet tak zwane pałace, są to po większéj części murowane partery, które nigdy, pod względem zdrowotnym porównania z domem drewnianym wytrzymać nie mogą; mury bowiem przez swą kapilarność, ciągną bez przerwy wilgoć ziemną do góry, a przytém, ściany ich mniéj *oddychają* niż ściany w domu drewnianym. Reumatyzmy to podarunek wilgotnych parterów. Piętrowe, są po wsiach prawdziwą rzadkością. Dla czego w znacznéj części Wielkorosyi, włościanie mają domy piętrowe, a sypialnie zawsze na piętrze? Czemu przypisać tę dla zdrowia szczęśliwą konstrukcyą: czy instynktowi, czy doświadczeniu, czy przypadkowi? Czy téż może celowemu i surowemu przez Sardamskiego cieślę poleceniu poddanym, holenderskich modeli.

Chaty włościan naszych, a i nasze niektóre domy szlacheckie stoją chyba pod względem zdrowotnym niżéj od mieszkań nawodnych pierwotnego człowieka. Te ostatnie były przynajmniéj od spodu przewiewne. Jakie to miewamy powietrze w niektórych mieszkaniach w czasie roztopów wiosennych lub w porze deszczowéj, kiedy wsiąkająca w grunt woda wypycha wszelkie gazy w ziemi zawarte w stronę mniejszego dla nich oporu, a więc z pod podłogi do mieszkań; a z mieszkań przez nieopalane już piece wcale nic nie ubywa. Dodajmy do tego jeszcze, jak to jest we zwyczaju, piwniczkę domową, skąd kapusty, kartofle i inne ogrodowiny zioną całą moc gazów-fermentów na pożytek gospodarza i jego gości. A dla kompletu mefitycznego obrazka dorzućmy zapach od szczurów, myszy, grzyba drzewnego,—i któż się wtedy nie ulituje nad więźniem podobnego lokalu? jak można winić takiego, że nie jest silnym do pracy fizycznéj, do walki o byt. kiedy już od dzieciństwa na charłactwo ciała i ducha skazany!

Znane łacińskie przysłowie o zdrowiu duszy, lepiéj-by zaczynać od właściwszego dla jéj zdrowia początku,—*In tecto salubri*, *cor-*

---

(1) Délafond. Maladies de sang des bêtes à laine. 1843.

pus sanum; *in corpore sano*, *mens sana*, i zdanie to rozpowszechniać do przysłowiowéj wziętości.

Prawdziwych chorobowych zarazków, zważywszy na ich drobnotę i lotność, tak czy inaczéj, całkowicie uniknąć nie możemy, pomimo ciągłych wysiłków nauki o dezynfekcyi. Postarajmyż się więc zapobiedz im na drodze pośredniéj, przez uczynienie organizmu naszego bardziéj odpornym, a to usuwając wpływy osłabiające, bo odporność jest nam wrodzoną. Zarazki, jak trafnie powiada dr. Port (od którego dużo wiadomości czerpiemy) (1), porównać można do iskier wielkiego pożaru w mieście. Te z nich, które dosięgnąć możem, tłumić należy, lecz w obec wyżéj po nad dachami lecących, jesteśmy bezsilni, wiedząc napewno, że gdzie która z tych iskier na słomianą upadnie strzechę—zapali i nowy pożar roznieci. A więc pokryjmy domy nasze materyałem niepalnym, a klęsk od ognia ubędzie.

Może dożyjemy tego, że będą wydawane rozporządzenia administracyjne odnośnie do „zamknięcia" wyziewu ziemnego, na podobieństwo przepisów prawnych, po miastach już obowiązujących, co do strzech słomianych i dachów gontowych. W Bawaryi dokonywują już przeróbek w téj myśli w domach rządowych, koszarach, szpitalach i więzieniach; jakkolwiek trudniéj jest przeprowadzić je ściśle w domu już zbudowanym, niż przy zakładaniu nowych dlań fundamentów. Gdyby choć na początek, właściciele mieszkań letnich, jako miejsc gdzie się zapas zdrowia gromadzić powinien, zechcieli uwzględnić wyżéj podane fakta.

Jak zapobiedz wciskaniu się oddechu ziemnego do gmachów miejskich, murowanych, zostawiam do roztrzygnięcia specyalistom-technikom. Dla mieszkańców wsi, podam na zakończenie opis domu drewnianego, na powyższych zasadach.

Przestrzeń cała, pod dom mieszkalny przeznaczona, powinna być splantowana i 8-calową warstwą gliny pokryta. Glina powinna być zmieszana z czystym mineralnym piaskiem, dla zapobieżenia pękaniu, i silnie ubita. Na spód fundamentów takaż warstwa gliny; dla dokładności, nieszkodziło-by otaczać cały fundament od spodu i boków gliną, o ile jest w ziemi.

Fundament dostatecznie wysoki (2 łokcie po nad ziemią) zaopatrzony ma być w przerwy, tj. okna obszerne i dość liczne dla swobodnego przewiewu powietrza.

Odosobnienie drewnianych podwalin od kamienia lub cegły dokonywa się w sposób następujący. Gotuje się lak asfaltowy z gliną, aż

(1) Dr. Port. Zur Aetiologie des Abdominaltyphus Vortrag. München, 1881.

przez dodawanie gliny, przy ciągłym mięszaniu zrobi się gęsta czarna masa. Téj masy kładnie się na gorąco warstwę $^1/_3$ cala grubą na fundamencie, szerokością odpowiednią podwalinie drewnianéj. Warstwę tę, dla ułatwienia przystępu cieślom przy zakładaniu podwalin, nakrywa się pasmami tektury smołowcowéj. To samo pod końce poprzecznych wiązań i legarów do podłóg. Legary przechodzące gdziekolwiek przez mury, należy dla zapobieżenia próchnieniu drzewa, i grzybowi drzewnemu osmołować mięszaniną laku asfaltowego ze smołą czarną, szewcką zwaną, o tyle o ile w murze zakryte będą.

Gdy już dom nakryty, przystępujemy do położenia na legarach spodniéj, tak zwanéj u nas „czarnéj podłogi" z bali suchych 3-calowych. Po dokładnym dopasowaniu, należy zalać wszystkie szpary smołą z asfaltem na gorąco, z poprawkami po ostygnięciu. Następnie po wysmarowaniu całéj przestrzeni obficie asfaltem z dodaniem smoły, położyć warstwę 4-calową gliny rzadkiéj, mieszanéj w $^1/_3$ części z piaskiem mineralnym, i silnie ubijać codzień, aż do zupełnego uschnięcia (co nie tak prędko następuje). Glina łączy się ściśle z asfaltem i ma tę dodatnią stronę, że neutralizuje absolutnie jego przykry zapach.

Po zupełném uschnięciu, zalać raz jeszcze szpary gliną rozrzedzoną. Wtedy dopiero kładną się deski, jako właściwa podłoga lub jako podkładka dla posadzki kostkowéj, tak jednak, aby pomiędzy gliną i deskami została próżnia przynajmniéj jedno-calowéj wysokości. Można być pewnym, że przez tak hermetyczną podłogę ani wyziew ziemny nie przejdzie, ani chłód od spodu nie przeniknie, w czém także warstwa powietrza między gliną a deskami podłogi zawarta, znakomicie przeciwdziałać będzie. Myszy przytém komunikacyi nigdy tu nie otworzą, asfaltu bowiem nie gryzą.

W kominach muszą być założone specyalne (od dołu do góry) lufty, komunikujące z lochem, dla utrzymania trwałego przeciągu powietrza pod domem. Lufty te przegrodzone powinny być siatką chroniącą od zatkań przez gniazda mysie. W oknach podmurowania, takież siatki, od najść wszelkiego rodzaju zwierząt i możliwego zanieczyszczenia.

Wewnątrz domu nie wiele szczegółów. Sufity wysokie, dla wiejskiego domu dość 5 $^1/_2$ łokcia, rachując od położonéj już podłogi. Tynki malowane olejno, bez obić papierowych. Jakaż to łatwość odświeżania ścian takich przez zmywanie mokremi szmatami. Wentylatory pod sufitami, okna z oberluftami, w tych ostatnich siatki od much i komarów. Kominek choć jeden na parę pokoi.

Z dodatkowych hygienicznych rzeczy, wanna z urządzonemi rurami na zewnątrz do wlewania i wypuszczania wody. Waterklo-

zet, w pokoiku z wentylatorem u góry i luftem u dołu do pieca, w którym specyalnie przepalać trzeba, dla utrzymania ciągłego ruchu powietrza. Kto może, niech kuchni i spiżarni w domu nie mieści.

Jakkolwiek podobny dom będzie rodzajem fortecy, to jednak postarać się trzeba i na zewnątrz jego usunąć złe wpływy. Trafny wybór miejsca niepoślednią w tém gra rolę. Miejscowość wzniesiona, z zapewnionym odpływem spadków atmosferycznych, z gruntem ścisłym, gliniastym, byle bez wody zaskórnéj, oto najbardziéj zapraszająca do osiedlenia. Wokoło domu nie nazbyt dużo drzew, krzewów,—otwarty przewiew i dostęp promieni słońca. Absolutna czystość dokoła, uprzątanie liści, śmietnisk i wszelkich gnić mogących materyi. Na ostatek: studnia *zdrowotna* ze spadkiem dokoła i częste zlewanie wody.

W takiém mieszkaniu, mam przekonanie, możnaby wytrzymać oblężenie każdéj zarazy, nawet cholery,—bodajby do nas nieprzyszła.

Dr. Wacław Korybutt Daszkiewicz.

ZARYSY

RUCHU LITERACKIEGO RUSINÓW. (1)

Literatura małoruska rozwija się i rozrasta stopniowo na całéj przestrzeni, zamieszkanéj przez plemię rusińskiéj, liczące obecnie około 18 milionów głów pod panowaniem Rosyi i Austryi; ruch ten literacki wśród narodu rusko-ukraińskiego, jak go sami rusini lubią nazywać, powinien być interesującym dla czytelników „Ateneum“ zarówno z powodu bliskiego powinowactwa plemiennego, jak i dla żywotności swéj, któréj dowodzi mnożenie się pism i książek, występowanie coraz to nowych talentów, które lubo pracować im przychodzi wśród okoliczności najmniéj przyjaznych, usilnie starają się utrzymać się na wysokości ogólno-europejskich idei. Dla tego postaramy się w krótkich zarysach wskazać historyą tego rozwoju i obecny stan téj literatury.

I.

Pierwsze pomniki ruchu piśmienniczego nad Dnieprem pochodzą z wieku X i XI, z czasów po przyjęciu chrześciaństwa przez księcia Włodzimierza i całą ludność ziemi Kijowskiéj. Niektóre z tych pomników znane są powszechnie, jak np. „Latopisiec Ne-

(1) Artykuł obecny rozpoczyna szereg szkiców pisanych przez Ukraińca, biorącego udział czynny w ruchu umysłowym małoruskim. Czytelników naszych niewątpliwie zainteresuje, jak się na ten ruch zapatrują sami Małorusini. (*Przyp. Red.*)

stora", „Pateryk peczerski", albo jak wysoce artystyczny poemat „Słowo o pułku Igora".

W drugiéj połowie wieku XVII i na początku w. XVIII kultura, oświata i literatura rusińska stały już na stopniu dość wysokim jak na owe czasy, ale język literacki różnił się wtedy zupełnie od mowy narodu; bo na całéj Ukrainie, tak samo zresztą jak i wszędzie w Europie ludzie oświeceni i piszący uważali za konieczne używać w swych pracach języka odmiennego od żywéj mowy ludu. Twory literackie ówczesne składały z mięszaniny języków cerkiewno-słowiańskiego, rusińskiego i polskiego. Ale niebawem zrodziła się i zaczęła się szerzyć chociaż bardzo leniwie myśl wprowadzenia do książek języka ludowego, myśl tę rozpoznać można w utworach dramatycznych Teofana Prokopowicza, Jerzego Koniskiego, Dowgalewskiego i innych. Zapewne, że przy okolicznościach przyjaznych, język ludowy prędko-by zapanował w literaturze i zarzucono-by sztuczny język książkowy, ale stało się inaczéj: wypadki tak się złożyły, że literatura rusińska zacichła i na długo rozwój jéj został powstrzymany.

Wypadki to bardzo rozmaite i powikłane, opisywać ich tutaj nie możemy, ani chcemy dotykać strony ich politycznéj; nadmienimy tylko, że zawsze i wszędzie warunki życia politycznego i państwowego oddziaływać muszą stanowczo na rozwój lub upadek myśli i literatury.

Wiadomo, że w epoce rozwijania się oświaty i literatury na południu, tj. na Małorusi,—na północy; w ziemiach Wielkorosyjskich, których ogniskiem była Moskwa, oświata była jeszcze bardzo słaba, a ciemnota panowała powszechnie; świadczą o tém nie tylko pisarze cudzoziemscy jak Fletscher i Olearius, ale i czystéj krwi Wielkorosyanin Pososzkow przyznaje to i ubolewa, że duchowieństwo tak jest ciemne, iż nawet „od najgłupszego odszczepieństwa nie umie się obronić" (od samaho durackaho raskoła nie znajet oprawiti siebia). Powoli z południa oświata szerzyła się ku północy. Piotr I najenergiczniéj zajął się szczepieniem jéj i szerzeniem wszystkiemi środkami rządowemi; ale na północy nie było sił odpowiednich, trzeba było ściągać je z Kijowa, ze stolicy południa, w skutek czego ludzie uczeni i oświeceni, chąc niechcąc, musieli przenosić się na północ, słabły więc siły naukowe na Ukrainie. Akademia kijowska główny rozsadnik oświaty i nauki małoruskiéj zaczyna odtąd tracić to swoje znaczenie i przekształca się w końcu na proste seminaryum.

Do zniżenia stopnia oświaty, a zatém i do zacichania literatury, przyczynił się może jeszcze więcéj upadek kraju ekonomiczny. Jeszcze za czasów carewny *Zofii* zaczęła się wojna, ciągnąca się po-

tém przez całe panowanie Piotra I; toczyła się ona przedewszystkiém na południu, niszczyła więc i wycieńczała zasoby miejscowe. Następstwa wojny, głód, powietrze 1710 r. dziesiątkowały ludność, któréj téż wielką ilość odrywano od roli, wysyłając na roboty przy fortyfikowaniu Kijowa, a nawet w dalekie strony do budowania Petersburga i kopania kanału ladoskiego. Coraz silniéj krzepnąca i wzmacniająca się na północy centralizacya administracyjna uznała za konieczne wprowadzić na Ukrainie prawo poddaństwa, a starszyznę wojskową przerobić na dworzaństwo wedle prawa wielkorosyjskiego i oddać mu na własność dusze kozackie.

A jak pierwéj starszyzna małoruska, naśladując polskich panów z łatwością przyswoiła sobie polskie obyczaje i język, teraz nowokreowane dworzaństwo jeszcze łatwiéj stosowało się do zwyczajów i języka panującego plemienia wielkorosyjskiego. W tymże czasie powstaje literatura wielkorosyjska, albo ściśléj mówiąc tworzy się język literacki rosyjski, przed którym otworzyła się wielka przyszłość silnego rozwoju. Przy końcu w. XVIII Rosya miała już akademią, dwa uniwersytety, język urzędowy, który zapanował w kościele, w szkole, w sądach i w administracyi. Łatwo więc zrozumiéć, że ludzie zdolniejsi z południa ciągnęli na północ, szukając oświaty, lub karyery na służbie. Bez przesady powiedziéć można, że w końcu XVIII i na początku XIX wieku Rosyą oświecali i rządzili Małorusini, że wspomnimy tu nazwiska: Razumowskich, Zawadowskiego, Bezborodków, Troszczyńskiego, Kuczubeja, Sperańskiego i innych.

Krótko mówiąc, o ile w XVIII w. oświata i literatura wzmagały się na północy, o tyle upadały na południu. Język małoruski i jego literatura zostały zarzucone, potępione. Oświeceni ludzie nie czuli potrzeby i nie widzieli żadnego praktycznego celu w używaniu swego języka, o oświecaniu ludu zapisanego w poddaństwo nikt wtedy nie myślał.

Współcześnie niemal z zupełnym upadkiem piśmiennictwa małoruskiego rozpoczyna się budzenie się do życia rozlicznych narodowości słowiańskich; ten duch odrodzenia musiał się przedostać na obszary małoruskie i zjawia się tu, chociaż w odmiennéj formie. Kiedy już literaturę uważano za upadłą zupełnie i skazaną na zaginienie, otwiera się właśnie nowy jéj peryód. Nie można tego nazwać odrodzeniem, rodzi się ona na nowo, i odrazu staje się narodową z języka, nawskroś demokratyczną i wysoce ludzką z nastroju; pozostaje téż do dzisiaj wierną tym swoim zasadom, nie odstępując od nich w ciągu kilkudziesięcioletnich wysiłków swoich i rozrostu.

II.

Protoplastą nowéj literatury małoruskiéj jest Jan Kotlarewski, urodzony w Połtawie w r. 1769 i zmarły tamże w r. 1838. Syn ubogich rodziców, Kotlarewski uczył się w seminaryum duchowném, a po skończeniu nauk został nauczycielem przy dzieciach bogatego obywatela; żyjąc na wsi, widział codziennie i zbliska ubóstwo, pognębienie i ciemnotę ludu poddańczego, a przypatrując się temu, czuł konieczność jakiéjś ulgi dla upadających pod brzemieniem, uznał potrzebę puszczenia chociażby kilku promieni światła dla rozproszenia ogólnéj ciemności. Ale jak tego dokazać. Wychowany w seminaryum „Kotlarewski musiał znać utwory literackie swych poprzedników, pomiędzy któremi było nie mało od pochwalnych i zapewne téż nie był wolnym od przesądu współczesnych sobie, od mocno zakorzenionego wówczas pojęcia, że języka ludowego w książce używać należy tylko dla wykazania komicznéj strony prostaków. Umiał jednak wyzyskać to w swych celach narodowych i przedsięwziął przetłómaczyć Eneidę Wirgiliusza na język małoruski, rysując w niéj obrazy smutnego stanu ukraińskiego. Musiał jednak uciekać się do omówień do aluzyi. Nie chcąc drażnić panów, a chcąc zwrócić uwagę na biédę i nędzę ludu wiejskiego wybrał formę komiczną, humorystyczną; jednakże w jego „Eneidzie" lub w „Odzie do księcia Kurakina" czuć łzy gorzkie i boleść prawdziwą, przedzierające się przez ten śmiech wesoły, boleść i łzy nad dolą swego narodu.

„Eneidy" pierwsze trzy księgi wydrukowane były po raz pierwszy w r. 1798 a wydanie to wyczerpało się dość prędko, bo w r. 1808 zjawiło się nowe dopełnione przekładem trzech ksiąg następnych. Odtąd do dni obecnych „Eneida", razem z innymi pismami Kotlarewskiego, była już przedrukowana 22 razy. Popularną była ona zapewne, kiedy w r. 1809 trzecie wydanie robił swoim kosztem jeden z magnatów połtawskich Koczubéj.

Oprócz „Eneidy" i „Ody do ks. Kurakina," Kotlarewski napisał operetkę „Natałka-Połtawka" i wodewil „Moskal Czarywnyk." Prace Kotlarewskiego przesiąkłe są ideą narodowości, demokracyi, humanitarności, a obok tego język ich czysty, żywy i zachwycający, widać w nich głęboką znajomość życia ludu i pełne są czysto małoruskiego humoru.

Jednocześnie ze scenicznemi utworami Kotlarewskiego grano w teatrze połtawskim, czy ściśléj mówiąc, w teatrze Troszczyńskiego, podobne utwory także małoruskiego pisarza Bazylego Hohola (ojca Mikołaja Gogola, znanego autora „Martwych dusz"), ale z nich jedna tylko komedyjka „Prostak" była drukowana w roku 1862.

III.

Głos Kotlarewskiego pobudził innych do pracy, do studyowania kraju i ludu maloruskiego, co w roku 1816 spowodowało założenie w Charkowie pisma peryodycznego „Ukrainśkyj Wistnyk“; przetrwało ono do r. 1829, kiedy okoliczności zmusiły do zaniechania tego wydawnictwa, które stało się punktem zbornym dla całéj grupy uczonych, etnografów i beletrystów maloruskich. W „Wistnyku“ drukowały się poezye Piotra Artemowskiego-Hułaka. Hułak, syn księdza, urodził się w gub. kijowskiéj w r. 1790, zmarł w Charkowie w r. 1866. W r. 1818 skończył uniwersytet Charkowski i tamże rozpoczął wykład języka i literatury polskiéj, potém przeszedł na katedrę geografii i statystyki, a nakoniec na katedrę historyi Rosyi, którą wykładał lat 26, a przez lat dziesięć (1840-1850) był rektorem uniwersytetu.

Literaturą zajmował się nie długo; pierwszym i najlepszym jego utworem była bajka „Pan ta Sobaka“, która zjednała mu odrazu dużo wielbicieli ale zarazem i nieprzyjaciół wielu. Obok obrobienia artystycznego w duchu narodowym, w bajce téj dużo myśli głębokich. W tym samym czasie, kiedy tacy koryfeusze nauki jak Karamzyn, chwalili w Petersburgu poddaństwo i niewolę ludu, Hułak w formie humorystycznéj wykazywał odwrotną stronę medalu, i śmiałemi rysami skreślił obraz tragiczny przerażającego ucisku, obraz w którym wedle sprawiedliwych słów Kostomarowa: „wyraża się chociaż panujące nad sobą ale boleśne uczucie ludu, znoszącego, bez nadziei polepszenia, samowolę panowania nad poddaństwem.“ Obraz taki nie mógł się podobać ogółowi właścicieli poddanych, a ponieważ wkrótce potém nastały czasy wpływów archimandryty Focyusza, Magnickiego, i wszechwładztwo Arakczejewa—Hułak zamilkł. Ale nieprzyjaciele nie mogli wybaczyć mu satyry „Pan ta Sobaka“ i innych jak „Sałopyj ta Liwria,“ a nie zadowolnili się ani zamknięciem „Wistnyka“ ani milczeniem Hułaka. Niejaki Czerniajew zaskarżył jakoby w Charkowie zawiązano stowarzyszenie rewolucyjne, na czele którego stoją profesorowie: Artemowski-Hułak, Kronenberg i Kunicki. Oskarżenie okazało się fałszywém i cesarz i Mikołaj zwiedzając Charków, łaskawie sam uspokoił Hułaka, ale pomimo to muza satyryka nie odezwała się już więcéj.

W tymże „Ukraińskim Wistnyku“ występowali po raz pierwszy i inni poeci, z pomiędzy których należy wspomnieć o Lwie Borowikowskim, piszącym prześliczne bajki.

IV.

Po zamknięciu „Ukraińskiego Wistnyka,“ czas jakiś wydawano „Słowianina,“ ale i ten istniał nie długo; pisarze małoruscy częściéj wydawali książki oddzielne, almanachy, w których drukowano utwory całego szeregu utalentowanych poetów, beletrystów, etnografów, historyków. Nazwiska niektórych z pomiędzy nich znane są zaszczytnie daleko po zagranicami Małéj Rusi, jak Kwitka, Hrebenka, Kostomarów, Bodianski, Srezniewski Maksymowicz. Po roku trzydziestym coraz bardziéj szerzyło się przekonanie, że literatura małoruska nie jest zgoła zjawiskiem przypadkowém, ani jakimś prowincyonalizmem, ale faktem wywołanym przez potrzeby życia narodowego, rozwijania i oświecania masy ludowéj. Nowi pisarze pojmowali poważniéj swe obowiązki i zakładali swym pracom cel wyższy, rysując w niéj ideały nie tylko życia domowego, ale i stosunków społecznych.

W szeregu tych autorów pierwsze miejsce należy się Grzegorzowi Kwitce (ur. 1778, zmr. w Charkowie 1843). Kwitka był synem zamożnego obywatela, ale nie odebrał wychowania systematycznego; w ciągu swego życia, a szczególnie w latach młodości, przebywał rozliczne koleje, był mnichem, urzędnikiem, aptekarzem, oficerem, póki nie trafił nakoniec do kółka ludzi wykształconych, których wtedy w Charkowie przy niedawno odkrytym uniwersytecie było niemało; rej wodził pomiędzy nimi znany pracownik na polu oświaty I. J. Karazin. Tu Kwitka zajął się sprawami społecznemi i niemałe położył zasługi około założenia w Charkowie teatru i instytutu dla panien.

Z dwudziestu powieści Kwitki za najlepsze uchodzą „Marusia“ i „Serdeszna Oksana“, chociaż i inne, jak „Mertwećkyj wełykdeń“, „Kozyr Diwka“, „Dobre roby dobre bude“, „Ot tobi i skarb“, dużo mają zalet. Powieści tych główną zasługą prawda etnograficzna i artystyczna. Opisując miejscowości, ludzi, ich obyczaje i życie duchowe, Kwitka nigdzie nie rozmija się z rzeczywistością, zawsze i wszędzie wiernie oddaje *życie*. Nie można tego powiedzieć o jego utworach dramatycznych; pozostawił ich pięć, a wszystkie pisane były dla wywołania wesołości. Usiłując zabawić publiczność, autor stwarza typy przesadzone, niebywałe, a czasem jak w operetce „Satana“ wyprowadza na scenę chłopa kalekę, półidiotę, żeby się z niego naśmiewać. Sceniczne utwory Kwitka pisał w dwóch językach; niektóre z osób działających (urzędnicy i żołnierze) mówią językiem książkowym albo narzeczem wielkoruskiém, inne znowu (typy ludo-

we) po małorusku. Mieszanina taka bardzo niemiła w czytaniu i na scenie dużo zaszkodziła tym sztukom, które zresztą, jak „Szelmenko pysar“, „Szelmenko deńszczyk“, albo dramat „Szczyra lubow“ niezmiernie rzadko ukazują się na scenie.

W ogóle jednak dzieła Kwitki znakomicie wzbogaciły literaturę małoruską. Rosyjscy pisarze i krytycy, jak współczesny Kwitce Bieliński i późniejszy Petrow, czy to z powodu nieznajomości warunków życia ludowego na Małorusi, czy z innych jakich przyczyn, nieprzyjaźnie a nawet z naganą odzywali się o powieściach Kwitki, ganiąc je właśnie zato, co stanowi największą ich zasługę, wierność etnograficzną tak artystycznie przez Kwitkę oddaną; nazywali to „zbytkiem sentymentalizmu.“

Powieści Kwitki drukowano w Moskwie w 1834 i 1837, w Charkowie w 1841, w Petersburgu w 1858; wydanie kompletne powieści i dramatów wyszło we Lwowie w 1878, w setną rocznicę jego urodzin. Rocznicę tę obchodzono w Charkowie, i postanowiono tam wydać wszystkie jego pisma z biografią szczegółową, redakcyą wydawnictwa wziął na siebie profesor uniwersytetu charkowskiego Potebnia. Jednakże wydania dotąd nie widać, a powieści Kwitki dzisiaj już stanowią rzadkość bibliograficzną.

Jeszcze trudniéj odszukać pisma małoruskie zmarłego w r. 1877 profesora uniwersytetu moskiewskiego Józefa Bodiańskiego, które wydawał pod pseudonimem „Iśko Materiuka“. Bodiański, syn dziaka ze wsi Warwy powiatu Łochwickiego, urodził się w r. 1805. Po ukończeniu seminaryum duchownego, wstąpił on na uniwersytet w Moskwie, gdzie się zaznajomił z „kółkiem Stankiewicza,“ który wywarł wpływ silny na rozwój duchowy i całe życie jego. W r. 1835 wyszła w Moskwie niewielka książeczka, zawierająca trzy skazki Bodiańskiego i przedmowę do nich, z któréj bije miłość dla ludu wiejskiego głęboka i tkliwa. Potężnemu talentowi Bodiańskiego okoliczności nie pozwoliły się rozwinąć, owszem skazały go na milczenie. Gdy znany Tadeusz Bułharyn wydał swe badania pod tytułem „Rossija w istoriczeskom, statisticzeskom i dr. otnoszenijach,“ Bodiański ostro i niemiłosiernie skrytykował te badania w piśmie „Moskowskij nabludatiel;“ krytyka ta narobiła Bodiańskiemu mnóstwo nieprzyjaciół w sferach literackich i po za niemi.

W lat kilka potém Bodiański, po powrocie z zagranicy, zajął w uniwersytecie mosk. katedrę literatur słowiańskich w r. 1846, wybrany był na sekretarza „Towarzystwa Rosyjs. Starożytności“ i na redaktora wydawanych przez nie „Cztienij“. Pomiędzy pomnikami drukującemi się w „Cztienijach“ Bodiański zamieścił „Historyą Rus-

sow" Jerzego Koniskiego, za co przeniesiono go do uniwersytetu kazańskiego; po roku wrócił na swoją katedrę w Moskwie, ale już nie wrócił do redaktorstwa „Cztienij". Stracił też zupełnie ochotę do pisania po małorusku, do czego zapewne przyczynił się nie mało proces Szewczenki, o którym wspomnimy niżéj.

Należy się jeszcze wspomnienie Eugeniuszowi Hrebence wychowańcowi liceum nieżyńskiego. Hrebenka (ur. 1812, zmr. 1848) znany na Ukrainie z niewielu ale prześlicznych bajek, od których nie posiada chyba piękniejszych żadna literatura słowiańska. „Prykazki" jego były drukowane po raz pierwszy w Petersburgu w r. 1834. W dziwnie pięknych alegoryach malują one ciężkie życie prostego ludu, jego nędzę i ciemnotę, rozpustne życie obywateli, sprzedajność sądów itp. W „prykazce" „Róża i chmiel" Hrebenka w postaci róży przedstawia lud wiejski, opleciony ze wszech stron przez panów i urzędników, którzy, jak chmiel obwity koło krzaku róży, nie dają mu wzrastać w siłę i dobić się do światła słonecznego, a zmuszają do nędznego wegetowania pod uciskiem bezprawia, wśród ciemności i nędzy.

Pięknym wierszem Hrebenka przetłómaczył poemat Puszkina „Połtawa", chociaż tłómaczenie nie wyrównywa oryginałowi a nawet w wielu miejscach zmienia myśli autora. Niektóre liryczne utwory Hrebenki są tak popularne, że śpiewane bywają po wioskach.

Hrebenka, tak samo jak Kwitka, nosił się z myślą wydawania dla ludu pisma w języku małoruskim, celem popularyzowania elementarnych wiadomości naukowych; zamiary te jednak rozbiły się o niepodobne do pokonania przeszkody, tak samo jak zamierzone także przez Hrebenkę wydawnictwo pisma literackiego małoruskiego.

V.

Wspominaliśmy o Mikołaju Kostomarowie, nie wiele pisał on po małorusku, ale nazwisko jego wiąże się z historyą literatury małoruskiéj i z losami genialnego poety Szewczenki, dla tego należy mu się tutaj miejsce zasłużone. Kostomarów znany jest powszechnie jako historyk: 6 tomów jego monografii i 2 tomy „Historyi ruskiéj w życiorysach głównych jéj działaczy" stanowią cały skarb dla nauki historycznéj w ogóle; oceną jednak tych prac pisanych po rosyjsku, zajmować się tu nie będziemy.

Kostomarów urodził się w r. 1817 w powiecie Ostrogoskim gub. Woroneskiéj. Nauki uniwersyteckie ukończył w Charkowie i zaraz

oddał się studyom nad historyą i narodem małoruskim. Mieszkając w Charkowie, gdzie się wówczas skupiał literacki ruch małoruski, Kostomarow przyjął w nim udział czynny, biorąc do serca zadania. które sobie wtedy stawiano; jakoż w r. 1838 ogłosił drukiem w osobném wydaniu dramat historyczny „Sawwa Czałyj,“ w 1839 „Ballady Ukraińskie,“ w 1840 zbiór poezyj: „Wytka“, potém tragedyą „Peryasławśka Nicz.“ Potém poezye i opowiadania Kostomarowa drukowano w różnych almanachach i w piśmie ,,Osnowa“, a w r. 1875 w Odesie wydano dzieła wszystkie Kostomarowa w języku małoruskim pod tytułem „Twori Jeremii Hałki (jego pseudonim).

Poezye Kostomarowa zarówno oryginalne jak i tłómaczone nie odznaczają się ani obrazowością ani bogactwem fantazyi, nie czuć w nich artystycznego talentu, ani nawet uczucia żywszego; jest to sucha proza rymowana, czasem obficie nadziana poważnemi myślami. Wyżéj można cenić jego utwory dramatyczne, szczególnie ,,Peryasławśka Nicz.“ Treść tragedyi i bohater wzięty z czasów wojen Chmielnickiego, z tych smutnych czasów kiedy codziennie niemal samo życie nawiązywało węzły okropnych tragedyj, zlewając ziemie ukraińskie krwią polską i kozacką. Osnowa tragedyi następna. Na święta wielkanocne 1649 r. zebrał się w Peryasławiu tłum ludu a wśród niego toczy się spór zawzięty z powodu zabranéj przez księdza płaszczenicy (1). Ksiądz uspakaja ludność, tymczasem zjawia się, jako obcy wędrowiec, bohater narodowy Łyseńko, zbiegły z niewoli od Polaków i uważany przez peryasławian za zabitego. Łyseńko w gorącéj mowie pobudza lud do powstania przeciw Polakom i uwolnienia wiary i kościoła z rąk żydowskich. W Peryasławiu mieszka siostra Łyseńki Maryna, która kocha Polaka i jest przezeń kochana, a kochanek to starosta peryasławski. Na rozkaz brata Maryna wzywa starostę na nocną schadzkę nad brzegiem Alty. Kiedy zadzwoniono na jutrznię zaczyna się między Polakami i Kozakami rzeź, w któréj giną starosta i Łyseńko. Tragiczność cała skupia się tu w osobie Maryny, w duszy jéj toczy się straszna walka pomiędzy miłością kochanka a miłością ojczyzny. Doskonale namalowane tu wysoki patryotyzm kobiety i cała głębia idei narodowości; równie wzniośle zarysowane inne osoby tragedyi, napisanéj wierszem pięknym i językiem czystym.

„Peryasławśka Nicz“ od początku do końca pisana równie dobrze i pięknie, jak piękną jest myśl jéj zasadnicza, poświęcenia i miłości ojczyzny, nie wahania się w obec najcięższych ofiar osobistych,

(1) Tak się zowie malowane wyobrażenia Chrystusa w grobie, wystawiane w cerkwiach w wielkim tygodniu.

dla szczęścia i powodzenia ojczyzny. „Peryasławśka Nicz“ świadczy o sile talentu dramatycznego Kostomarowa; dalszemu jego rozwijaniu się przeszkodziły jednak okoliczności, o których późniéj mówić nam wypadnie.

VI.

Do wzbogacenia literatury ukraińskiéj przyczyniło się jeszcze kilku pisarzy, nie tyle co powyżsi utalentowanych i dla tego mniéj znanych. Paweł Bielecki Noseńko, współczesny Kotlarewskiemu, obywatel pow. Przyłuckiego. Pisma jego drukowane po jego śmierci nie odznaczają się ani formą ani treścią; w roku 1871 w Kijowie wydano tego autora „Prykazki“ w czterech częściach; „Hostyneć zemlakam—Kazki slipoho bandurysta“ i „Horpyniada żartowliwa poema“.

Kiryło Topola pisal sceny dramatyczne pod tytułem „Czary“, drukowane w Moskwie 1837. Ambroży Metlinśkyj więcéj pracował nad etnografią, aniżeli nad poezyą; to samo można powiedziéć o Michale Maksymowiczu b. profesorze i rektorze uniwersytetu kijowskiego, jednakże jego tłómaczenie poematu „Słowo o pułku Igora“ i niektórych psalmów Dawida odznaczają się pięknością języka ludowego.

Dwaj bracia Pisarewscy, Korenićkyj, Dumitraszko - Raicz, Semen Metlinśkyj pisali i drukowali w rozmaitych książkach zbiorowych wiersze dobre na swój czas, ale dzisiaj już zapomniane. Nierównie więcéj utalentowanym był Wiktor Zabiła, na nieszczęście mało dbał o to co pisal. Niektóre z jego utworów lirycznych jak „Ne szczebeczy sołwejko na zory raneńko“, „Hude witer wełny w poli, rewe, lis łomaje“ i inne, do ktorych dorobił muzykę Glinka, dzisiaj jeszcze śpiewane są po całéj Ukrainie, zarówno w chatach wieśniaczych jak i w pańskich salonach. Tutaj téż wspomniéć należy o poetach niepozbawionych talentu jak Szczegolew (w Charkowie), Korsun, Afanasiew, ale wszyscy oni razem przygotowywali tylko grunt, na którym zrodził się i wyrósł genialny poeta narodowy Taras Szewczenko. Zanim jednak poświęcimy mu swą uwagę, musimy jeszcze wrócić wstecz do czasów „Ukraińskiego Wistnyka“ i wspomniéć o innym odłamie plemienia rusińskiego, zamieszkałym w granicach państwa Austryackiego, w Galicyi, na Bukowinie i w Węgrzech.

VII.

Pisarze małoruscy w pierwszéj ćwierci XIX wieku nie poprzestawali na saméj beletrystyce, owszem uważali za konieczne opra-

cowanie naukowe języka i zbadanie etnograficzne swego kraju. Pierwszą pracą na tém polu była „Hramatyka Ukraińskaho jazyka“ Pawłowskiego, wydana w r. 1818, a następnie ukazują się jeden za drugim zbiory etnograficzne. Najprzód zjawił się w r. 1819 w Petersburgu „Opyt Sobranija starinnych małorossiejskich piesień“ księcia Certelewa. Zawierał on dziewięć dum i jedną pieśń, ale miał wielkie znaczenie jako pierwszy początek; w lat kilka potém, w r. 1827 Maksymowicz wydał swój zbiór, zawierający już 127 pieśni ludowych i słownik do nich, w r. 1834 wydaje on dwa jeszcze zbiory „Ukrainskije narodnyje dumy“ i „Gołosa (nuty) ukrainskich piesień“. W r. 1836 wydaje Łukaszewicz nowy zbiór „Małoruskija i Czerwonoruskija narodnyja piesni i dumy“ (176 numerów). W r. 1838 profesor i potém akademik Izmaił Srezniewski rozpoczął w Charkowie wydawanie „Małorossijskoj i Zaporożskoj Stariny“: w ciągu lat sześciu wydał tego zbioru sześć ksiąg. Zbiory te i „Eneida“ Kotlarewskiego przesłane do Galicyi, stały się bodźcem do rozbudzenia wśród tamecznych Rusinów ruchu literackiego. Stolicą i punktem środkowym życia umysłowego Rusi galicyjskiéj był Lwów, jednakże Rusini pokarm duchowy czerpali z Ukrainy, a nadewszystko z Kijowa. Po upadku ruchu naukowego i literackiego w Kijowie, pokarm ten zrobił się mało pożywnym. Ale już i w Galicyi odkryło się dla Rusinów źródło rozwijania i szerzenia oświaty własnemi siłami. W czasach największego upadku literatury małoruskiéj w Rosyi, cesarz Józef II dbając o podniesienie oświaty, założył w r. 1783 we Lwowie seminaryum duchowne dla Rusinów, a w roku następnym otworzył uniwersytet we Lwowie, na którym pewne przedmioty wykładane były w języku rusińskim, i wtedy to zaczęła się podnosić oświata wśród Rusinów. Ale nie trwało to długo. Rząd austryacki w polityce wewnętrznéj trzymał się zgubnéj zasady *divide et impera*, opiekował się więc Rusinami wtedy tylko, kiedy potrzebował ich podburzyć na Polaków; skoro zaś taka potrzeba mijała, skoro uznał, że Polacy są dostatecznie poskromieni, porzucał Rusinów, oddając ich na wolę Niemców i Polaków. Polityka ta ciągnie się niby nitka czerwona przez całą historyą Austryi od czasu przyłączenia do niéj Galicyi. Nie łatwo nawet wyobrazić sobie, jak wielce szkodliwą była ta polityka dla obu plemion, zmuszonych żyć obok siebie, pod władzą jednego rządu, żywić się z tych samych naczyń i krzepić się tą samą wodą.

Po trzecim rozbiorze Polski, w prowincyach przyłączonych do Austryi zapanował bezwarunkowo żywioł niemiecki, oświecanie Rusinów zdawało się już wtedy zbytecznén, do takiego stopnia, że język ludowy (?) wygnano nawet ze szkół elementarnych, a wszystkie

starania metropolity Michała Lewickiego i kanonika Mogilnickiego, o przywrócenie go spełzły na niczém. Wśród inteligencyi polskiéj na nieszczęście nie znalazł się nikt, ktoby wyjaśnił, jeżeli nie rządowi to społeczeństwu jakie szkody sprowadzi na kraj cały ucisk języka i innych praw narodowości Rusinów. Zdawało się, że Rusini skazani są już na zupełną zagładę. Ale narody nie łatwo tracą najdroższy dla siebie organ wyrażania myśli —*język*. Narodowość żyje dopóty, dopóki *żyje* jéj język.

Zaledwo dostały się do Lwowa z za kordonu książki małoruskie, zaraz iskra tlejąca rozżarzyła się na nowo, wśród studentów rusinów zrodziła się myśl o możności odrodzenia w Galicyi literatury rusińskiéj. Na czele téj młodzieży stanął Markijan Szaszkiewicz (ur. 1811 w Złoczowskiém, zmarł w r. 1843). Obdarzony z natury znakomitym talentem poetyckim, władał doskonale żywym językiem ludowym i dużo z jego utworów lud przyswoił sobie, stały się one pieśniami ludowemi, do czego nie mało się przyczyniały wyrażone w nich idee demokratyczne, przejęte uczuciem ludzkości.

Do kółka Szaszkiewicza przyłączyło się kilku pisarzy utalentowanych jak Mikołaj Ustianowicz, Jan Wagilewicz i inni. Złożyli oni ze swych utworów, a w części z pieśni ludowych zbiór „Rusałka“, który po długich walkach z cenzurą udało się im wydrukować w r. 1837 w Budzyniu (na Węgrzech). Rząd austryacki zabronił „Rusałki“; prześladował zarówno autorów jak i wydawców. Zaszło tu zabawne *qui pro quo*. Główną winą almanachu miało być to, że język w nim był podobny do „rosyjskiego“, którego nie należy dopuszczać ze względów politycznych; w rzeczy zaś saméj „Rusałka“, pisana była najczystszym ludowym językiem rusińskim halickim, nierównie więcéj różniącym się od „rosyjskiego“ niż ten w którym za pozwoleniem rządu drukowali swe utwory Józef Lewicki (Stich na cześt halickaho metropolita. Przemyśl, 1838), Lesieniecki (Wozzrenie Straszyliszcza w Pestie i Budie) itd.

Pisarze jak Lewicki, Lesieniecki, Ilkiewicz nie mogli mieć żadnego wpływu na rozwijanie się literatury rusińskiéj w Galicyi, nie rozumieli bowiem téj prawdy najprostszéj, że rozwój ten może być użytecznym dla kraju i narodu, tylko pod warunkiem trzymania się drogi, na którą skierowali go Szaszkiewicz i Kotlarewski, drogi żywego ludowego języka. W głowach Lesienieckiego, Ilkiewicza i im podobnych pokutowały pojęcia z pierwszéj połowy ośmnastego wieku, że język książkowy musi być różnym od języka żywego, pisali więc „dla ludu“ w języku, który dziwił i oburzał pisarzy małoruskich nad Dnieprem. Maksymowicz np. w r. 1841 pisał z powodu

utworów Lesienieckiego: „to nie język, lecz sztuczny wytwór słowiano-ruski, w którym u nas (tj. w Rosyi) pisano wiersze przed stu laty“. Doradzał on zarzucenie téj niemożebnéj mięszaniny i pisanie w języku ludowym, ale rady jego pozostały głosem wołającego na puszczy, młodzi zaś pisarze narodowi byli prześladowani, a przytém jako ubodzy nie mieli środków niezbędnych dla wydawnictw literackich. Tak więc sprawa rozkwitu literatury narodowéj rusińskiéj w Galicyi stanęła „na punkcie zamarzania“ i stała na nim aż do roku 1848.

HYPNOTYZM

WOBEC OSTATNICH BADAŃ NAUKOWYCH

I.

Teorya magnetyczna Mesmera uznająca istnienie płynu magnetycznego, rozlanego powszechnie w naturze, pewnéj siły elektryczno-życiowéj oddziaływającéj na daną jednostkę przez pośrednictwo magnetyzera, została potępioną przez paryską akademią nauk i towarzystwo medyczne, jako teorya czysto hypotetyczna, nie posiadająca żadnych naukowych podstaw. Pomimo to jednak teorya ta znajdywała propagatorów, pośród których najwięcéj uwydatnili się w początkach bieżącego stulecia: ksiądz Faria—portugalczyk, oficer późniéj zaś generał Noizet, dr. Bertrand, Dupotet, Lafontaine.

Podniesiona w 1825 r. w paryskiéj akademii medycznéj przez Foissac'a kwestya magnetyzmu oddaną została pod sąd komisyi specyalnéj, która po latach pięciu dopiero (w 1831 r.) orzekła w sprawozdaniu Hussona, iż „magnetyzm uważany jako czynnik zjawisk fizyologicznych, lub jako środek terapeutyczny mógłby znaleść zastosowanie w zakresie nauk medycznych i dla tego lekarze sami powinniby go próbować, lub rozciągnąć dozór nad tego rodzaju doświadczeniami, jak to ma miejsce w krajach północnych" (1). Akademia odrzuciła ten wniosek, a w 1840 r. ogłosiła, iż odtąd nie będzie odpowiadała na żadne stawiane jéj kwestye magnetyczne.

James Braid, lekarz angielski, nową wygłosił teoryą w tym przedmiocie w 1841 (2). Odrzucił on płyn życiowy, magnetyczną siłę nerwową. przy pomocy których tłomaczono sobie zjawiska zagadkowe stanu zwanego magnetycznym, któremu on pierwszy dał

(1) Dupotet. Cours de magnetisme. Paris 1840, p. 441.

(2) James Braid. Neurypnology. London and Edinburgh. 1841.

nazwę hypnotyzmu. Działanie, pod wpływem którego znajduje się osoba zahypnotyzowana, nie pochodzi z zewnątrz. Hypnotyzm jestto pewien sen nerwowy, wywołany sztucznie przez długie natężone skierowanie uwagi, a szczególniéj wzroku na jakiś przedmiot, najlepiéj zaś na jakiś przedmiot błyszczący. Ściśle biorąc, hypnotyzm oznacza nie jeden lecz szereg stanów, w najrozmaits. · wahających się sposób pomiędzy snem zwykłym a głębokim snem patologicznym, wobec zupełnego braku świadomości i siły woli z jednéj strony i wobec pewnéj prawie nie do uwierzenia egzaltacyi funkcyi zmysłów oddzielnych, zdolności intelektualnych i siły woli z drugiéj strony. Idee poddawane osobie zahypnotyzowanéj przybierają postać rzeczywistości przedmiotowéj.

Zjawiska hypnotyczne nie są jednak nowe; znane były one oddawna na wschodzie. Fakirzy indyjscy, stojący przez długi czas w niezwykłéj pozycyi, nieczuli i nieruchomi—są to hypnotycy, zasypiający przez wpatrywanie się w koniec nosa. Podobnież i omphalopsychiści, pewna sekta azyatycka, przez wpatrywanie się pewien czas w pępek (uważany przez nich za najszlachetniejszą część ciała, gdyż przezeń człowiek styka się z bóstwem, podobnie jak dziecko z swą matką) wpadają w stan hypnotyczny; uważani są oni przez lud za świętych.

Cała historya Wschodu z jego fanatyzmem i uległością niewolniczą jest przejawem wpływów hypnotycznych. W Indyach istnieją trzy wielkie szkoły zwane *mahtam*, w których wykładane są tajemnice téj wiedzy, zwanéj *dżog*. Trzy te szkoły: nad Gangesem, w okolicy Orissy i na południu Indyj, pozostają w zależności od klasztoru centralnego w Tybecie, gdzie w tajemniczém otoczeniu mieszczą się najwydatniejsi z pośród uczonych ascetów. Tu się kryje siła hypnotyzująca czterdzieści milionów Indyan, siła rozkazująca i kierująca dowolnie poddaną sobie ludnością. Anglicy wiedzą o tém dobrze i dlatego baczną zwracają uwagę na klasztor tybecki. Powstanie cipayów w 1857 r. pod dowództwem jednego z wtajemniczonych Nana-Sahib'a przekonało ich o potężnym wpływie *mahtamów* na ludność ulegającą poddanym jéj hypnotycznie rozkazom. Prasa publiczna w Kalkucie i Bombayu zajmuje się nieustannie od lat kilku *mahtam'ami*, najsurowsza jednak krytyka nie może im odmówić ich zdolności umysłowego oddziaływania na zewnątrz, tego rzutu ducha, téj siły przejawiającéj się tak potężnie w zjawiskach zadziwiających najbardziéj sceptyczne umysły. Myśl ich zwrócona w nieskończoność, wolna od trosk światowych potęguje się tak, iż zdolną jest oddziaływać na umysły znajdujące się w pewnéj psychicznéj od niego zależności.

Dwie są szkoły badaczów zjawisk hypnotycznych. Jedna przypisuje zjawiska te działaniu magnetyzmu zwierzęcego (*zoomagnetyzm*), druga—działaniu wyobraźni. Jeżeli dwa tak różne sposoby zapatrywania się na jedne i te same zjawiska zostaną przyjęte przez cały świat naukowy, wtedy zjawiska te staną się dla nas zrozumialszemi.

Jeden z obrońców zoomagnetyzmu A. Chevillard (1) dowodzi, iż zjawiska nazywane spirytystycznemi nie są niczém jak tylko przejawami nieświadomemi magnetyczno-dynamicznego działania płynu nerwowego, czyli elektryczności zwierzęcéj, która jest prawdopodobnie zmodyfikowanym płynem elektrycznym. Zjawiska magnetyczno-zwierzęce wytwarzają stan nieświadomy woli osobistéj i nieświadomość w wykonywaniu tejże woli. Zjawiska te są dowodem promieniowania nerwowego.

Inny znowu uczony, dr. Baréty (2) uznaje istnienie w człowieku, a prawdopodobnie i w zwierzętach, specyalnéj i odrębnéj siły nerwowéj czyli *neuryczněj*. Siła ta znajduje się w stanie statycznym i dynamicznym; stan dynamiczny przejawia się w krążeniu wewnętrzném i w promieniowaniu na zewnątrz. Siła nerwowa promieniuje według praw promieniowania światła i ciepła; promienie te odbijają się i łamią tak samo, jak promienie świetlne i cieplne. Kolory żółty i fioletowy pochłaniają je, przez czerwony i zielony przechodzą całkowicie. Żółty kawałek papieru może się jednakże stać przenikliwym dla promieni nerwowych przez zmoczenie go rozczynem siarczanu chininy. Niektóre osoby mogą być przewodnikami siły nerwowéj, mogącéj działać na odległości kilku centymetrów do kilku metrów z siłą 1 do 2 metrów na sekundę. Osoby w wysokim stopniu *neuryczne* potężny wywierać mogą wpływ na osoby mniéj neuryczne. Z osób neurycznych tworzyć można baterye neuryczne bardzo znacznéj niekiedy siły.

Teorya ta bardzo się zbliża do teoryi fizycznéj genewskiego fizyka Zieglera (3). Ziemia i magnesy sztuczne, mówi on, posiadają dwojakiego rodzaju magnetyzm: dynamiczny, działający na żelazo i niektóre inne ciała, i magnetyzm podraźniający czyli oddziaływający tylko na organizmy zwierzęce i roślinne. Pewne ciała nieposiadające własności dynamicznych, jak np. siarczan chininy, kwas salicylowy, cyanek potasu i inne, wykazują w wysokim stopniu własno-

(1) A. Chevillard. Etudes experimentales sur le fluide nerveux. Paris. 1882, p. 115.
(2) Dr. Baréty. De propr. d. Magnét. animal. Paris. 1882, p. 37 et suiv.
(3) Ziegler. Le rayonnement magnétique. Genève, 1881.

ści magnetyzmu podrażniającego. Siarczan chininy działa podobnie jak biegun południowy magnesu, odpowiadający ujemnemu biegunowi prądu elektrycznego; kwas salicylowy działa odwrotnie. Magnetyzm ten promieniuje, działa zatém na odległości, promienie zaś jego, przechodząc przez soczewkę szklanną lub téż żelazną, łamią się i tworzą ogniska magnetyczne, znajdujące się w dwa razy większéj odległości od soczewki niż ogniska świetlne.

Teorya promieniowania nerwowego nowe zyskuje poparcie ze strony Ch. Richet'a (1), który na zasadzie swych badań naukowych w kwestyi poddawania umysłowego dochodzi do wniosku, iż siła intelektualna mózgu przerzuca się na zewnątrz i odbija się w myśli sąsiedniéj.

Dr. Liébeault stawiał następujący zarzut obrońcom magnetyzmu zwierzęcego w r. 1868: „Dwa czynniki, różniące się najzupełniéj, działanie myśli i działanie płynu obcego nie mogą wywierać tychże samych wpływów na tęż samę osobę, nie byłyby bowiem różnemi... Moi przeciwnicy powinni by wykazać niemoc myśli poddanéj lub niepoddanéj, wywołującéj zjawiska snu i oddziaływającéj na stronę fizyczną w postaciach stanu biernego, jeżeli chcą ustalić zasadę działania płynu magnetycznego na organizm drugiéj osoby“ (2).

Doświadczenia magnetyczne dr. Dupotet, czynione nad dziećmi, były o tyle jednak przekonywające, iż dr. Liébeault przyznał możliwość istnienia i oddziaływania płynu magnetycznego. Sam Dupotet (3) tak się odzywa o swych doświadczeniach: „Każde dziecko uśpione, magnetyzowane w ciągu 5 do 10 minut, dostatecznie wykazuje zmianę, jaka zachodzi w zwykłym stanie jego istnienia. Zmianę wywołuję w sposób następujący: Staję w odległości jednéj stopy od dziecka i prowadzę swe ręce ponad powierzchnią jego ciała, nie dotykając się jego pokrycia; po kilku minutach przerywam owe ruchy, zbliżam palec ku gołéj lub okrytéj powierzchni dziecka, nie dotykając się jéj wcale, i wywołuję lekkie kurczenie mięśni. Jeżeli działam na rękę, przejawiają się wtedy słabe ruchy konwulsyjne w palcach, a często nawet całe ciało przyjmuje udział w tym ruchu magnetyzmowym. Jeżeli siłę, któréj istnienie w sobie przypuszczam, skieruję na głowę dziecka, wówczas sen staje się intensywniejszym.“

---

(1) Revue philosophique. 1884, Décembre: La suggestion mentale, par Ch. Richet.

(2) Union magnétique, 1868, N. 231, p. 270,

(3) Dupotet, Manuel du Magnétisme, 1868, p. 2.

Doświadczenia prof. Dumont z Nancy, czynione nad śpiącemi dziećmi w pewnéj od nich odległości, potwierdziły w zupełności zdanie dra. Dupotet.

Longpretz, magnetyzer z Liège, oddawna leczy magnetyzmem przez dotykanie rękoma części chorych nawet przez ubranie; przyprowadzał on do zdrowia w ten sposób dzieci kilkomiesięczne, nie zdolne jeszcze do odczuwania wpływów umysłowego poddawania. Nawet dzieci, uważane przez lekarzy jako niewyleczalne, udawało mu się uzdrawiać po kilku próbach magnetycznych.

Dr. Liébeault (1) opisuje 45 wypadków leczenia dzieci sposobem magnetycznym, i we wszystkich wypadkach nadspodziewane otrzymał rezultaty. Koklusz, gorączka, wymioty, biegunka, bóle, paraliże itd. ustępowały po kilku posiedzeniach. Pomyślne te rezultaty potrzeba przypisać działaniu magnetycznemu; poddawanie umysłowe nie mogło bowiem mieć miejsca, szczególniéj w tych razach, gdy dzieci były uśpione poprzednio, podobnie jak to czynili Dupotet i Dumont, którzy oddziaływali na bardzo młode dzieci, nie dotykając się ich wcale. Zjawisko to objaśnia się tém, że siła nerwowa magnetyzera wywołuje pewne wstrząśnienie nerwowe w osobie magnetyzowanéj, wprowadza w stan czynny, czyli pobudza do życia tę część systemu nerwowego, w któréj życie jakby zamarło; w innym razie osłabia działalność nerwową, jeżeli działalność ta jest nadmierną. Innemi słowy, siła nerwowa magnetyzera ustanawia równowagę w systemie nerwowym osoby magnetyzującéj się, któréj system w danym razie jest jakby dalszym ciągiem systemu nerwowego magnetyzera. Ruch molekularny w obu systemach nerwowych staje się jednakowym, osoba więc magnetyzująca może odczuwać i poddawać myśli osobie zamagnetyzowanéj. Im więc więcéj rozwiniętym jest system nerwowy magnetyzera w stosunku do osoby magnetyzowanéj, tém silniéj oddziaływa na tę ostatnią.

Magnetyzm zwierzęcy staje się więc, jak widzimy, przedmiotem poważnych badań naukowych, badania zaś te wyjaśnić nam mogą pewne zagadkowe dla nas dotąd zjawiska psychologiczne.

II.

Kwestya hypnotyzmu podniesiona przez Braid'a zwróciła na siebie uwagę wielu lekarzy w roku 1853, gdy fizyolog Carpenter

(1) Etude sur le zoomagnétisme par. Dr. A. A. Liébeault. Paris - Nancy, 1883 p. 11 — 22.

w swych sześciu wykładach, w Royal Institution w Manchester, o fizyologii systemu nerwowego, z szczególniejszém uwzględnieniem somnambulizmu, uznał najzupełniéj fakty wykazane przez Braid'a, oraz przyjął jego teoryą. Teorya ta wprowadzoną została do Francyi przez dra Azam'a z Bordeaux około 1860 r., szczegółowiéj ją zaś rozwinął dr. Liébeault z Nancy w r. 1866. W tymże czasie poglądy Braid'a doszły i do nas i wyłożone zostały po raz pierwszy w dziele dra Szokalskiego: „Fantazyjne objawy zmysłowe" (Warszawa, 1863).

Teorya hypnotyzmu jednak zyskuje charakter pozytywny dopiero od r. 1878 dzięki studyom i doświadczeniom prof. Charcot i jego szkoły w szpitalu Salpêtrière w Paryżu. W ostatnich latach kwestya hypnotyzmu licznych znajduje badaczów, zwłaszcza we Francyi.

Zjawiska hypnotyczne zasadzają się na prawie kojarzenia się wyobrażeń i na prawie kojarzenia się ruchów. Pierwsze z tych praw polega na tém, że jeżeli z pomiędzy dwóch wyobrażeń, zjawiających się jednocześnie lub bezpośrednio po sobie w jednym i tym samym akcie świadomym, odtworzoném zostanie przypadkowo jedno, pociąga ono za sobą wtedy i drugie i odtwarza je także. To samo stosuje się do ruchów. Reprodukcya jednego z pomiędzy dwóch lub kilku ruchów, wykonanych jednocześnie lub z kolei, wyłuje reprodukcyą ruchów innych, i im częściéj się to powtarza, tém łatwiejszém jest ich kojarzenie się, czyli to, co nazywamy przyzwyczajeniem. Wyobrażenia wywoływać mogą na téj zasadzie skojarzone z niemi ruchy, ruchy zaś—skojarzone z niemi wyobrażenia. Pewien przedmiot wywołuje szereg ruchów, skojarzonych z wyobrażeniem tegoż przedmiotu, dokonywanych zwykle w stanie normalnym. Dajmy szklankę osobie zahypnotyzowanéj, a osoba ta wykona wówczas ruchy, towarzyszące piciu, dajmy jéj miotłę a zacznie wtedy zamiatać. Do téj kategoryi zjawisk należy naśladowanie ruchów, wykonywanych w obec osoby zahypnotyzowanéj; jest to naśladowanie najzupełniéj automatyczne. Raz wywołane ruchy powtórzone być mogą po kilka razy bez powtórnego ich wywołania. Pewne ruchy nadają osobie zahypnotyzowanéj odpowiedni wyraz twarzy (1). Wszelkie tego rodzaju ruchy wywoływać można także słowem. Oprócz ruchów wywołać można w ten sposób bezwładność, paraliż, utratę mowy (afazyą), ślepotę i głuchotę jednostronną, a niekiedy zupełną, katalepsyą itd., lub też usunąć którykolwiek z tego rodzaju stanów, jeżeli jest tylko czysto nerwowym. O zjawiskach tych obszerniéj pomówimy niżéj, przy objaśnieniu teoryi *ideoplastyi*.

---

(1) Zob. „O poddawaniu uczuć" przez J. Wł. Dawida. Ateneum, 1884. T. IV.

Nie wszystkie osoby mogą być hypnotyzowane. Najłatwiéj udaje się hypnotyzować osoby histeryczne: kobiety w ogóle posiadają więcéj wrażliwości hypnotycznéj niż mężczyzni. Nie tylko osoby nerwowe, lecz także osoby najzupełniéj zdrowe mogą posiadać wrażliwość hypnotyczną. Nie wszystkie jednak osoby nerwowe odznaczają się taką wrażliwością. Hypnotyzm zatém niesłusznie zaliczony został do newroz przez niektórych lekarzy, którzy doświadczenia swe czynili wyłącznie na osobach histerycznych.

Wrażliwość hypnotyczna zależną jest prawdopodobnie od stosunków odruchowych pomiędzy systemem mózgo-rdzeniowym a systemem ganglionarnym, głównie zaś pomiędzy mózgiem a nerwami naczynio-ruchowemi.

Im częściéj bywa kto hypnotyzowany, tém jest wrażliwszy, tém łatwiéj więc można go uśpić.

Wrażliwość hypnotyczna ujawnia się, według badań dra Ochorowicza (1), pod wpływem działania magnesu. Magnes więc użyty być może jako środek dla wykazania wrażliwości hypnotycznéj.

Działanie fizyologiczne magnesu spostrzeżoném już było w r. 1779 przez Andry i Thouret, a następnie przez Beckera w r. 1829, Bulmeringa w r. 1835, Lippic'a w r. 1846 i przez Maggiorani w latach ostatnich (1869—1880). Dziś fizyologiczne działanie magnesu nie podlega wątpliwości i uznaném zostało przez świat naukowy.

Wszystkie osoby wrażliwe na magnes posiadają, jak utrzymuje dr. Ochorowicz (2), wrażliwość hypnotyczną, tj. mogą być hypnotyzowane. Z 700 osób badanych przez niego 236 okazało się wrażliwemi na magnes.

Zastosowany w tym celu przez p. Ochorowicza magnes, nazwany przezeń *hypnoskopem*, posiada kształt niezupełnéj rurki 5,5 centymetrów długości i 3.4 centym. średnicy,—rurki wyciętéj przez całą długość, brzegi zaś tego wycięcia oddalone od siebie na 1.5 centymetrów są biegunami magnesu. Kształtem swym przypomina on elektromagnes Joule'a, z tą różnicą, że linie siły skierowane są w nim na wewnątrz. Magnes ten zawiesza się na palcu wskazującym tak, ażeby dotykał biegunów magnesu i pozostawia się go w téj pozycyi przez dwie minuty. Osoby wrażliwe na magnes (około 30 na 100) odczuwają wtedy pewne nieprzyjemne łaskotanie, jakby mrowie, chłód lub gorąco i suchość, czasem kłucie, rzadko ból lub uczucie nabrzmienia palca, które niekiedy bywa rzeczywistém, albo też cięż-

---

(1) Comptes-Rendus de la Société de Biologie. Paris, 1884. Nr. 20, p. 325.

(2) La lumière électrique, 1884, Nr. 45, p. 211. L'Hypnoscope, par dr. J. Ochorowicz.

kość w palcu lub w całéj ręce. Głównemi jednak objawami są tu objawy przedmiotowe, jak: ruchy mimowolne, znieczulenie, paraliż, tężec. Zjawiska te znikają po upływie kilku minut przez lekkie potarcie palca. Objawy wrażliwości magnetycznéj nie zależą ani od siły magnesu, ani od jakości bieguna. Powtarzane przejawiają się silniéj, lecz posiadają tenże sam charakter.

Działanie fizyologiczne magnesu jest niezaprzeczenie rzeczywistém, doświadczano go bowiem nieraz na osobach śpiących i na zwierzętach, lecz i wyobraźnia bierze w działaniu tém pewien udział. Dr. Ochorowicz sądzi, iż w większości wypadków magnes jest tylko podścieliskiem (substratum) innego działania, na tyle jednak słabego z fizycznego punktu widzenia, że nie daje się ocenić żadnym z naszych instrumentów, a przejawia się tylko przez pośrednictwo systemów nerwowych wyjątkowo wrażliwych. Jest to nowy i nieznany nam przejaw—częściowa modyfikacya zjawisk elektrycznych.

Dr. Ochorowicz wyraża nadzieję, iż hypnoskop znajdzie zastosowanie w medycynie. Wszystkie osoby wrażliwe na magnes powinny-by być leczone sposobem hypnotycznym, przez właściwe poddawanie, szczególniéj w chorobach nerwowych.

Każda anomalia funkcyjna w systemie nerwowym uwidocznia się pod wpływem działania magnesu (u osób wrażliwych na magnes) i znika następnie, dzięki temuż wpływowi. Organiczne nawet anomalie systemu nerwowego w mniejszym niekiedy przejawiają się stopniu pod wpływem działania magnesu. Magnes znaleść więc może na téj zasadzie zastosowanie w diagnostyce i terapii lekarskiéj. Dr. Ochorowicz utrzymuje nawet, iż zastosowanie hypnoskopu w medycynie wywoła potrzebę wprowadzenia odmiennéj terapii dla osób hypnotycznych, działanie bowiem środków lekarskich u tychże osób może być zwiększane lub osłabiane przez stosowne poddawanie hypnotyczne.

Zjawisko przeprowadzania pewnych stanów patologicznych z jednéj połowy ciała do drugiéj znaném jest od lat kilku; w ostatnich czasach zjawisko to skonstatowano na osobach hypnotycznych. Jako czynnik przeprowadzający używany bywa magnes zwykle. Stosuje się to do objawów patologicznych tak czucia jak i ruchu, tak samo powstałych jak i wywołanych w rozmaitych stadyach hypnotyzmu.

Profesor Charcot (1) wyróżnia trzy stadya hypnotyzmu: letarg, katalepsyą i somnambulizm. Podział ten, niezupełnie trafny, stosować się może tylko do niektórych osób hypnotycznych. Dr. Bern-

(1) Comptes-Rendus de l'Academie des sciences, 1882

heim nie zgadza się również na podział Charcot. Stopień stanu hypnotycznego zależy od temperamentu, od stopnia indywidualnéj wrażliwości, nie zaś od sposobu hypnotyzowania. Jeżeli w stanie letargu (oczy zamknięte) otworzyć jedno oko, to otrzyma się półkatalepsyą téjże połowy ciała, którą to katalepsyą przeprowadzić można przez działanie magnesu do drugiéj połowy ciała. Katalepsya prawéj ręki pod wpływem magnesu, działającego na lewą rękę przechodzi do téj ostatniéj, która przyjmuje téż samę pozycyą, jaką miała poprzednio ręka prawa. Paraliż, poddany w stanie somnambulizmu w lewéj ręce, przechodzi pod wpływem magnesu do ręki prawéj.

Ch. Féré i A. Binet (1) przytaczają bardzo ciekawy tego rodzaju przykład. Choréj histeryczce zahypnotyzowanéj kazano pisać cyfry. Po przebudzeniu zaczęła pisać cyfry prawą ręką aż do 12, następnie po pewném wahaniu zaczęła pisać lewą ręką pod wpływem magnesu ukrytego w pobliżu téjże ręki. Znaki pisane lewą ręką były zupełnie symetryczne do pisanych ręką prawą, tj. były pisane odwrotnie: w lustrze dopiero można było spostrzedz podobieństwo ich do cyfr pisanych ręką prawą. Halucynacye wszystkich zmysłów przeprowadzane być mogą również z jednéj połowy ciała do drugiéj.

Prof. Bernheim występuje przeciw tak stanowczo wypowiadanym twierdzeniom pp. Féré i Binet i doświadczenia ich przypisuje wyłącznie poddawaniu.

III.

Zjawisko fizyologicznego zrealizowania pewnego wyobrażenia (idei) nazwaném zostało przez Durand de Gros (2) *ideoplastyą* i w tém znaczeniu użytém zostało przez dra Ochorowicza (3). Zjawisko ideoplastyi może mieć miejsce nietylko wskutek poddawania wyobrażenia ze strony osoby drugiéj, lecz również i wskutek samopoddawania bez współudziału drugiéj osoby.

Zjawiska ideoplastyi są częściowemi przejawami ogólnego prawa, *prawa odwrotności.* Prawo to polega na tém, że jeżeli siła *a* przekształca się w siłę *b*, to i siła *b* może się również przekształcić w siłę *a*. Jeżeli ruch mechaniczny przekształca się w ciepło, to i ciepło może się przekształcić w ruch mechaniczny.

---

(1) Comptes-Rendus de la Société de Biologie, 1884. Nr. 27, p. 445.

(2) Durand de Gros. Cours théorique et pratique de Braidisme. Paris, 1860, p. 44

(3) Comptes-Rendus de la société de Biologie, 1884. Nr. 25, p. 409, Nr. 27, p. 456

Wyobrażenie wywoływaném bywa przez wrażenie zmysłowe, w ideoplastyi zaś odwrotne spostrzegamy zjawisko: wyobrażenie wywołuje wrażenie zmysłowe. Odwrotne to przekształcenie nazywaném bywa *halucynacyą*, jeżeli dokonywa się bez współudziału drugiéj osoby, jeżeli zaś zostaje wywołaném, wtedy nazywaném bywa *poddawaniem* (*suggestion*). Jest to ideoplastya wrażeń zmysłowych, czyli *ideoplastya bierna*. Percepcya podniety nieegzystującéj nosi nazwę ideoplastyi *dodatniéj*; niemożliwość percepcyi czynnika rzeczywistego otrzymała nazwę ideoplastyi *ujemnéj*.

Zjawisko ideoplastyi możliwém jest tylko w stanie monoideizmu, tj. w stanie gdy dane wyobrażenie przez skupienie na niém uwagi zagłusza inne wyobrażenia, gdy dochodzi do maksymum możliwego spotęgowania. Wtedy oddziaływa ono na cały system nerwowy. Wyobrażenie jest wtedy tylko punktem wyjścia pewnego działania, nie zaś właściwym czynnikiem. Wyobrażenie górujące w danéj chwili obudza pewien częściowy stan organiczny, z którym w nieświadomém znajduje się skojarzeniu. Wyobrażenie pewnéj zmiany organicznéj wywołuje tym sposobem ową zmianę nieświadomie przy współudziale nerwów naczynio-ruchowych. Psychologia i fizyologia stykają się w tym punkcie. Wyobrażenie, oswobadzając się ze swych skojarzeń psychicznych w stanie monoideizmu, odnajduje swe skojarzenia organiczne i wywołuje odpowiednie zmiany w pewnych organach. Skojarzenia *organo-organiczne* (drażnienie pewnego nerwu powstrzymuje ruch odpowiedniego organu życiowego) należą do fizyologii, skojarzenia zaś *ideo-organiczne*, będące przyczyną zjawisk ideoplastycznych, należą zarówno do psychologii jak i do fizyologii.

Halucynacya, czyli przywidzenie jest następstwem pobudzania ośrodków zmysłowych. Halucynacyą wywołać można przez poddanie osobie zahypnotyzowanéj pewnéj idei określonéj. Poddając osobie zahypnotyzowanéj wyobrażenie pięknego ogrodu, kwiatów, owoców, wywołać można w jéj mózgu. a mianowicie w ośrodkach zmysłowych, obrazy odpowiednie, jak gdyby one były rzeczywiście odbiciem wrażeń zewnętrznych. Jeżeli się powie osobie zahypnotyzowanéj, np. „co za piękny ogród, jakie ładne jabłka, proszę zerwać jedno i spróbować“, osoba ta wykona natychmiast ruchy, jakoby zrywała jabłko i jadła je. Jeżeli się jéj poda pewien przedmiot, nadając mu nazwę innego przedmiotu, odmienne posiadającego własności, np. wodę, nazywając ją amoniakiem, lub kartofel, albo kawałek krédy, mówiąc, że to jabłko, wówczas wodę przyjmie ona za amoniak i przy wąchaniu jéj poczuje zapach amoniaku, jedząc zaś krédę lub kartofel, odczuje smak jabłka.

Mnie samemu udawało się nieraz zadziwiające wywoływać halucynacye; dokładność w odczuwaniu poddawanych wrażeń jako rzeczywistych była tak uderzającą u niektórych osób, że gdybym się nie był przekonał o prawdziwości tych halucynacyj, przypuściłbym, iż były udane. Badając osoby hypnotyzowane i porównywając wyniki tych badań z tém, czegom sam doświadczał, gdy byłem hypnotyzowany, przekonałem się, iż osoba zahypnotyzowana może rozumować, zastanawiać się, może posiadać świadomość stanu w jakim się znajduje, może nawet udawać do pewnego stopnia, stan jéj jednak hypnotyczny nie jest udany.

Halucynacye pewne, tak samo jak i rzeczywistość, ulegają prawom optyki. Lustro odbija, lornetka przybliża, soczewka powiększa owe obrazy fantazyjne; pryzmat zdwaja przedmioty, choć one istnieją w wyobraźni tylko. Lecz prawom optyki ulegają tylko halucynacye tak zwane objektywne (przedmiotowe), czyli właściwie obrazy iluzyjne, np. pewne punkty rzeczywiste, którym wyobraźnia nadaje postać jakiegoś przedmiotu. Halucynacye właściwe, tj. halucynacye wewnętrzne, czyli mózgowe, i halucynacye subjektywne, czyli zmysłowe, jako nie mające nic wspólnego z rzeczywistością, nie ulegają prawom optyki.

Jeżeli podamy osobie zahypnotyzowanéj kawałek kartonu, mówiąc jéj, iż to jest lustro, wówczas osobie téj przedstawi się, że rzeczywiście lustro ma przed sobą, a halucynacya ta trwać może czas jakiś jeszcze po przebudzeniu; osoba zbudzona widzi siebie w lustrze istniejącém w jéj wyobraźni. Wrażenie, wywołane słowem w stanie hypnotycznym, istniéć może przez pewien czas w mózgu po przebudzeniu, bez ponownego działania wywołującéj je podniety. W ten sposób tylko można wyjaśnić pewne zjawiska somnambuliczne, które z pozoru zdają się być nadzwyczajnemi.

Jeżeli osoba zahypnotyzowana widziała pod wpływem poddanego jéj wyobrażenia na czystym kartonie portret jakiéjś osoby, to po przebudzeniu odróżni karton ten z pomiędzy innych i na téjże saméj stronie widziéć będzie ów portret nieistniejący i widziéć go będzie tak długo, dopóki nie zniknie w jéj mózgu wrażenie, wywołane w stanie hypnotycznym. Ruch wywołany w mózgu nie znika w chwili przebudzenia, lecz trwać może daléj i po przebudzeniu. „Proszę liczyć do 10 i przy 6 się obudzić“ — mówi dr. Bernheim do osoby zahypnotyzowanéj, która rzeczywiście budzi się, wymówiwszy 6, lecz liczy daléj do 10, sama nie wiedząc dla czego.

„Po obudzeniu, się poczujesz pan zapach wody kolońskiéj“ — mówi Bernheim do zahypnotyzowanego młodego człowieka. Zbudzony (bardzo inteligentny i nie nerwowy) odczuwa zapach nie wy-

rażny, jakby zapach octu. „Poddałem panu wyobrażenie zapachu wody kolońskiéj, czy pan czujesz co jeszcze?“ „Czuję wodę kolońską“—odpowiada.

Poddawanie paraliżu czucia, czyli znieczulanie miejscowe jest zjawiskiem znaném oddawna, z którego niejednokrotnie korzystał Broca przy wykonywaniu niektórych operacyj chirurgicznych. Znieczulenie takie może być o tyle znaczne, iż pacyent sądzi, że pozbawiony jest zupełnie znieczulonego członka. Znieczulenie to przeprowadzoném być może przez działanie magnesu do odpowiedniego członka drugiéj połowy ciała. Znieczulenie zastosować można także tylko wyłącznie do jednego przedmiotu. Stosuje się to również do znieczulania zmysłów. Sposobem poddawania w stanie hypnotycznym uczynić można tę lub ową osobę z otaczających niewidzialną dla zbudzonego hypnotyka. Inne zmysły otrzymywać mogą jednak wrażenia od téjże osoby. Głos i dotknięcie osoby niewidzialnéj mogą być odczuwane najzupełniéj.

Niektóre osoby histeryczne nie znoszą hałasu pewnego chińskiego instrumentu muzycznego, zwanego *tam-tam* i pod wpływem tego hałasu wpadają natychmiast w katalepsyą. Jednéj z takich histeryczek zahypnotyzowanych w Salpêtrière pokazano *tam-tam* i poddano jéj wyobrażenie, iż po przebudzeniu nie zobaczy owego instrumentu i nie usłyszy hałaśliwego jego dźwięku. Po zbudzeniu jéj *tam-tam* nie istniał dla niéj wcale, a dźwięk jego żadnego nie wywierał na nią wrażenia. Po zatarciu poddanego znieczulenia wzrokowego i słuchowego instrument działał natychmiast jak zwykle. Pozostawiona zaś pod wpływem poddanéj idei nie odczuwała hałasu w ciągu 11 dni.

Jedna z chorych tegoż szpitala Salpêtrière posiada z każdéj strony okolic sutkowych miejsce histerogeniczne, naciśnienie którego wywołuje natychmiast atak histeryczny. Jeżeli znieczulić wzrok i dotykanie choréj dla percepcyi pewnéj osoby, wtedy silne nawet naciskanie miejsc histerogenicznych, wykonywane przez ową osobę, pozostaje nieodczuwaném i nie wywołuje ataku. Zbliżenie się zaś innéj osoby ku niéj przejmuje ją strachem.

Świadoma jednakże tylko czuciowość pozbawioną być może wrażliwości. Gdy pokażemy osobie hypnotycznéj sześć pochewek od termometrów, z których jedna wyróżnia się z pośród innych górną swą częścią i część tę uczynimy niewidzialną, osoba ta zliczy wtedy pięć tylko pochewek. Lecz gdy jéj pokażemy dolne części pochewek, wtedy zliczy wszystkie sześć.

Jeżeli pokazać osobie zahypnotyzowanéj kwadratowy kawałek papieru czerwonego z czarnym punktem we środku, twierdząc jéj,

iż około tego punktu niema nic czerwonego, osoba ta wówczas nie odczuwa nieistniejącéj dla niéj barwy. Lecz jeżeli następnie pokazać jéj punkt czarny na białym arkuszu papieru, wtedy punkt wyda się jéj otoczonym zielonym kwadratem. Brakło więc jéj tylko świadomości barwy czerwonéj, która pozostawiła wrażenie na siatkówce oka.

Jeżeli uniemożliwimy osobie zahypnotyzowanéj, sposobem poddawania, wszelką percepcyą co do pewnéj znanéj jéj osoby, wtedy osoba zahypnotyzowana po przebudzeniu stracić może najzupełniéj pamięć o wszystkiém, tyczącém się téj osoby. Osoba hypnotyczna może widziéć ową osobę, lecz jéj nie poznaje; jest to osoba zupełnie dla niéj nowa.

Percepcya każdego przedmiotu składa się z wielu pierwiastków odnośnie do każdego ze specyalnych zmysłów. Wszelkie wrażenie, pochodzące od danego przedmiotu, oddziaływa na pewną ilość komórek mózgowych, które specyalizują się dla tejże percepcyi. Jeżeli grupa komórek mających styczność z wzrokiem np. zostanie sparaliżowaną przez poddanie odpowiedniego wyobrażenia, to centr ideacyi pobudzany jest jeszcze wtedy przez oddziaływanie innych grup, pamięć więc nie ginie jeszcze wówczas; pamięć wtedy dopiero ginie, gdy wszystkie pierwiastki percepcyi przestaną funkcyonować. Podobne zjawisko powstać może wskutek przyczyn organicznych. Taine (1) opowiada o pewnéj młodéj amerykance, która po długim śnie straciła pamięć o wszystkiém, czego się nauczyła. Musiała się na nowo uczyć czytać, rachować, poznawać przedmioty i osoby otaczające. Podobne wypadki cytują dr. Azam z Bordeaux i dr. Dufay z Loir-et-Cher.

Bernheim, opierając się na licznych doświadczeniach, mówi, że jeżeli powiedziéć osobie zahypnotyzowanéj, iż po przebudzeniu przypomni sobie wszystko, co się z nią dzieje, wtedy osoba ta, wyprowadzona z stanu hypnotycznego, rzeczywiście powtórzy wszystkie szczegóły czynionego nad nią doświadczenia. Hypnotyk nie jest zatém automatem nieświadomym. Halucynacya—mówi Bernheim (2), jest aktem psychicznym: *osoby zahypnotyzowane widzą to, co sądzą, że powinny widziéć.* Wyobraźnia jedynie realizuje zjawisko, hypnotyk widzi je myślą, pojmuje je i odczuwa.

W szpitalu Salpêtrière w Paryżu przedstawiono pewnéj osobie zahypnotyzowanéj fikcyjny portret mężczyzny, dodając, iż mężczyzna ten ma na sobie surdut niebieski ze złotemi guzikami. Po prze-

(1) H. Taine. De l'intelligence. Paris, 1883. I. p. 156.
(2) Revue philosophique. 1885. N. 3. Mars. p. 315—316.

budzeniu jéj na zapytanie, jak był ubrany ów mężczyzna na portrecie, odpowiedziała: w niebieski surdut; gdy ją zaś zapytano, jakie miał guziki? miedziane—odpowiedziała po pewném wahaniu. Pamiętała zatém, iż guziki były żółte, lecz zapomniała, lub téż nie przypuszczała, że guziki były złote. Ponieważ zaś sądziła, iż guziki były miedziane, musiała zatém rozumować (1).

Osoba zahypnotyzowana traci siłę oporu, nie może przeciwdziałać, lecz zmuszoną jest ulegać wpływom poddawanych jéj wyobrażeń, staje się automatem. Automatyzm jest wynikiem monoideizmu: umysł ulega poddanemu wyobrażeniu, nie posiada bowiem w tejże chwili innego, któreby mógł wybrać i oprzeć się w ten sposób wyobrażeniu poddanemu.

Jeżeli osobie zahypnotyzowanéj powiedziano, iż nie pamięta swego nazwiska i nazwano ją inaczéj, wie ona, że to nie jéj nazwisko, nie umie jednak wypowiedziéć, a niekiedy przypomniéć sobie właściwego. Wyobrażenia jéj, uczucia, sympatye, namiętności, przesądy mogą być zmienione, modyfikowane w tenże sposób stosownie do woli hypnotyzującego. Można poddawać jéj również wyobrażenia czynów jakoby przez nią dokonanych lub mających być dokonanemi.

„Przyjdź pani takiego a takiego dnia o takiéj a takiéj godzinie do mnie—mówi Ch. Richet (2) do pewnéj kobiety zahypnotyzowanéj. Zbudzona nie pamięta oznaczonego dnia i godziny i pyta, kiedy ma przyjść. Kiedykolwiek w ciągu przyszłego tygodnia. O któréj godzinie? O któréjkolwiek. I najakuratniéj osoba ta przychodzi do mnie w dniu i o godzinie, kiedy jéj oznaczyłem. Doświadczenie to powtórzyłem trzy razy z tą i cztery razy z inną kobietą i zawsze się udawało."

Dr. Bernheim (3) opisuje fakt następujący:

„Zeszłego sierpnia mówię do somnambulisty S... starego sierżanta, podczas gdy tenże spał: Idź pan w pierwszą środę października do dra Liébeault, tam pan znajdziesz prezydenta rzeczypospolitéj, który wręczy panu medal i pensyą.—3 października otrzymałem od dra Liébeault list następujący: „S... był u mnie dziś o godzinie 11 bez 10 minut. Widziałem go kłaniającego się z wielkiem uszanowaniem, a następnie usłyszałem to wymówione przezeń słowo: ekscе-

---

(1) Revue philosophique. 1884. I. sem. p. 481. Revue politique et littéraire. 1884. p. 200.

(2) Ch. Richet. L'Homme et l'intelligence. Paris, 1884, p. 253.

(3) Dr. Bernheim. La suggestion dans l'état hypnotique et dans l'état de veille. Paris, 1884. p. 28.

lencyo! Zapytałem go, do kogo mówi?—Do prezydenta rzeczypospolitéj—odpowiedział." W kilka dni potém mówił mi, że myśl pójścia do p. Liébeault przyszła mu do głowy niespodzianie 3 października o godzinie 10 rano."

Bardzo ciekawemi pod tym względem są doświadczenia p. Liègeois (1).

Pani T... poddano, ażeby poszła po czterech dniach do pani S..., znajdzie ją w sali jadalnéj, ażeby nalała sobie kieliszek likieru znajdującego się w szafce i poczęstowała panią S... Przed odejściem spostrzeże dziewczynkę ubraną dziwacznie w kolory czerwony i zielony. Po zbudzeniu T... nic nie przypominała sobie z tego, co jéj poddano. Nazajutrz, uśpiona przez dra Liébault, mówi nie zapytywana przez nikogo, że ma pewną sprawę do załatwienia w niedzielę, lecz że nie będzie miała na to czasu. Liébault odrzekł jéj, iż to samo może uczynić w sobotę. W niedzielę rano pani S... pisze do p. Liègeois o bytności u niéj T... i o jéj zachowaniu się z wszelkiemi szczegółami zgodnemi z tém, co jéj poddano we śnie hypnotycznym.

Inne doświadczenie z tąż osobą nie mniéj jest ciekawém. Zeznała ona w biurze policyi, iż przyszedł do niéj jakiś człowiek, chcąc jéj odstąpić za bardzo nizką cenę sześć kuponów obligacyj skarbowych. Ponieważ wzbraniała się je przyjąć, uważając je za skradzione, człowiek ten rzucił jéj owe kupony, jako nie mające żadnéj wartości dla niego, gdyż nie mógł ich nigdzie sprzedać, i wyszedł. Kupony te zwróciła p. Liègeois, który całą tę historyą poddał jéj wczasie snu hypnotycznego, dla nadania zaś jéj pozoru rzeczywistości umyślnie przyniósł z sobą owe kupony. Człowiek sprzedający kupony i głos jego były wytworem poddanego jéj wyobrażenia, były halucynacyą.

Panna E... zeznaje, iż zabiła swą przyjaciółkę. Innym razem taż sama E... strzela do swéj matki, nie wiedząc najzupełniéj o tém, że pistolet nie był nabity.

Pan W... (zdrów zupełnie) podaje ciotce swéj szklankę wody zatrutéj arszenikiem; w rzeczywistości był to pewien proszek nieszkodliwy. Wyobrażenie to poddano mu w stanie zupełnego czuwania, nie usypiając go poprzednio.

Liègeois przytacza liczne przykłady osób podpisujących kwity, weksle, zeznania fałszywe pod wpływem poddanego im wyobrażenia. Panna E... z Nancy podpisuje weksel na 500 fr., których nie po-

---

(1) Comptes-Rendus de l'Académie des sciences morales et politiques 1884. 2 semestre. J. Liègeois. De la suggestion hypnotique dans ses rapports avec le droit civil et criminel. p. 174.

życzała; pani O... także z Nancy wydaje weksel na tysiąc a następnie na sto tysięcy franków, które jakoby miały być pożyczone przez jéj męża, itd.

Osoby zahypnotyzowane nie zdolne są stawić żadnego oporu zamachom zbrodniczym i stają się ich ofiarą.

Dr. Prosper Despine (1) opisuje wypadek jaki miał miejsce w okolicy Draguignan w departamencie Var w 1865 r., gdzie pewien żebrak Castellan zgwałcił Józefinę H..., zahypnotyzowawszy ją poprzednio, za co skazany został na 12 lat ciężkich robót. Józefina H... nie mogła się oprzéć wpływowi Castellana i opuściła dlań dom rodzicielski.

Ofiary takich nadużyć nie pamiętają w stanie normalnym o niczém, co z niemi zaszło, w stanie dopiero hypnotycznym mogą opowiedziéć szczegóły zbrodni.

Osoby hypnotyczne, którym poddano myśl zbrodni, mogą ją wykonać nawet po upływie pewnego czasu. To téż sądy baczną zwrócićby powinny uwagę, czy czyny zarzucane osobom podsądnym nie były im poddane przez inne osoby. Powinny również przyjąć na uwagę możliwość tego rodzaju wypadków w sprawach cywilnych, tyczących się testamentów, zapisów, weksli, zeznań itd. Osoby hypnotyczne powinnyby również zachować ostrożność i pozwalać się hypnotyzować tylko w obecności osób, do których mają zaufanie.

Ideoplastyą ruchów dr. Ochorowicz nazywa *ideoplastyą czynną*, która również jak i poprzednia może być *dodatnią* i *ujemną*. Wykonywanie wszelkich ruchów poddawanych należy do ideoplastyi czynnéj dodatniéj; niemożliwość wykonywania zwykłych nawet ruchów wskutek chwilowéj utraty pamięci ruchów należy do ideoplastyi czynnéj ujemnéj.

Objawy patologiczne ruchu i czucia, powstające pod wpływem pewnych wyobrażeń, notowane były poraz pierwszy w 1869 r. przez dra Russell Reynolds (2) Nienormalności ruchu przejawiają się w postaci spazmów lub paraliżu, najczęściéj w postaci paraliżu górnych kończyn. Są to paraplegie powstające przez wyobraźnię, jak je nazywa Erb (3). Reynolds opisuje następujący wypadek takiego paraliżu.

Młoda kobieta, mieszkająca razem ze swym ojcem sparaliżowanym, zmuszona była udzielać codziennie lekcye w miejscu znacznie

---

(1) Dr. Pr. Despine. Psychologie naturelle. Paris. 1868. I. p. 586.

(2) Russel Reynolds. British med. journal. II. p. 378 835. Remarks on paralysis and other disorders of motion and sensation dependent on idea.

(3) Erb. Paraplegie durch Einbildung. Handbuch der Krankh. des Nervensystems. Ziemssen. B. XI. 2 Theil. 1878. S. 826.

odległém od swego mieszkania. Przechadzka piesza męczyła ją bardzo i pod wpływem tego zmęczenia przyszła jéj myśl, iż i ona również może zostać sparaliżowaną i że wtedy położenie ich stanie się okropném. Pod ciągłym wpływem téj myśli zaczęła uczuwać osłabienie w nogach, a po niedługim czasie chodzenie stało się najzupełniéj niemożliwém. Reynolds zrozumiał przyczynę choroby i zastosował leczenie czysto moralne; po kilkokrotnych próbach udało mu się przekonać pacyentkę, iż może chodzić najzupełniéj dobrze, co w rzeczywistosci miało miejsce.

Badania Charcot'a stwierdziły najzupełniéj możliwość takich paraliżów psychicznych. Paraliż *poddany* osobie hypnotycznéj przedstawia często wszelkie cechy paraliżu organicznego. Nawet u osób nigdy niehypnotyzowanych można wywołać paraliże przez poddanie im myśli, iż są sparaliżowanemi (1). W taki sam sposób można uniemożliwić wykonywanie pewnych ruchów, uniemożliwić pisanie lub wymowę pewnych wyrazów, liter lub cyfr, czyli poddać je w zapomnienie,—wykreślić je z pamięci.

Binet i Féré (2) poddali pewnéj choréj zahypnotyzowanéj wyobrażenie, iż niepamięta nazwiska *Féré*, którego zna od lat dziesięciu. Chora ta po przebudzeniu nie tylko, że nie mogła wymówić nazwiska *Féré*, lecz nie rozpoznawała, gdy je wymawiano, nie mogła go przeczytać ani napisać. Jestto zjawisko afazyi skomplikowanéj: afazya ruchu wymowy, agrafia, ślepota i głuchota wyrazowa. Po siedmiominutowém działaniu magnesu na prawą rękę wymówiła dobrze nazwisko *Féré*, lecz po odjęciu magnesu kilka razy zaledwie zdołała je wymówić, poczem wymówiła *Féry*, a daléj nie pamiętała już wcale tego nazwiska. Poddanie wyobrażenia spowodowało w tym razie paraliż pierwiastków komórkowych, uzdolnionych specyalnie do percepcyi i artykulacyi wyrazu, magnes zaś, przeprowadzając bezwładność funkcyonalną na prawą stronę, która nie posiada aparatu mowy, przywrócił chwilowo stronie lewéj zdolność funkcyonalną i umożliwił tym sposobem wymowę i percepcyę zapomnianego wyrazu.

Jest jeszcze trzecia kategorya zjawisk ideoplastycznych, którą p. Ochorowicz nazywa *ideoplastyą materyalną*. Ideoplastya materyalna obejmuje rzeczywiste zmiany przedmiotowe funkcyj życiowych pod wpływem pewnego wyobrażenia (*idei*); np. wyobrażenie oparzenia wywołać może rzeczywiste zapalenie miejscowe. W danym razie jestto ideoplastya materyalna *dodatnia*, wywołana przez ideoplastyą

(1) Bottey. Société de Biologie. 15 Mars 1884.

(2) Binet et Féré. Les paralysies par suggestion. Revue scientifique. 1884. 2 semestre. N. 2. p. 46, 47.

bierną dodatnią. Dr. Ochorowicz wywoływał sposobem poddawania odwrotne zjawiska tejże ideoplastyi, które nazywa ideoplastyą materyalną *ujemną*. Dwudniowa fluksya zębów ustąpiła po 25 minutach tylko wskutek wywołania biernéj ideoplastyi halucynacyjnéj. W taki sam sposób zmniejszać można temperaturę w gorączce (Ochorowicz otrzymał zmniejszenie o 0.9°, trwające kilka godzin), zmieniać frekwencyą pulsu, zwiększać lub zmniejszać ilość wydzielin rozmaitych i wymianę materyi wogóle, oznaczać dowolnie czas trwania snu i leczyć bezsenność, można zmieniać nawet potrzeby i charakter moralny danéj osoby na pewien czas (kilka tygodni). W tenże sam sposób można również zabezpieczać od wpływów, mogących spowodować pewne zmiany funkcyonalne. Jestto ideoplastya materyalna ujemna. Można wywołać np. pewien opór w organizmie wpływom rozmaitych substancyj szkodliwych, jak alkohol w znacznéj ilości, opium, morfina itd.

Wpływ wyobraźni na leczenie chorób znanym jest oddawna. Tak zwane cudowne uzdrowienia przez środki zupełnie obojętne dla organizmu, jak np. pigułki z chleba (autor tych słów sam leczył skutecznie pigułkami z chleba febrę *intermittens*),—przez środki homeopatyczne itd. należą do zjawisk ideoplastyi. Nawet słowem uzdrowić można chorego. Profesor Charcot wyleczył w ten sposób histeryczkę nie mogącą się poruszyć z łóżka, stawiając ją na nogach i każąc jéj iść naprzód (1).

Demarquay i Giraud-Teulon otrzymali znakomite rezultaty przez zastosowanie hypnotyzmu jako środka terapeutycznego w chorobach macicy, a Leblois—w histeryi.

Poddane wyobrażenie gra zatém rolę stosownego w danéj chorobie środka leczniczego; jeżeli zaś działanie jego jest dynamiczném, co zdaje się nie ulega wątpliwości, to należy przypuścić, iż działanie danego środka leczniczego jest również dynamiczném. Przypuszczenie to znajduje poparcie w nowéj teoryi profesora chemii fizyologicznéj w Paryżu p. A. Gautier (2).

„Nie materya sama przez się działa na nasze zmysły, lecz forma jéj raczéj, budowa téjże materyi, czyli lepiéj mówiąc, natura ruchu odpowiadającego tejże formie... Siła lub sposób działania téj lub owéj materyi zależy nietylko od ilości żywéj siły, lecz również od sposobu ruchu wibracyjnego cząsteczek materyi przekazywanego naszym organom. Siła żywa związaną jest ze specyficzną naturą każdego

(1) Revue politique et litérraire. 1884. II semestre. N. 5, p. 131.

(2) Revue scientifique. I semestre. 1885. N. 1. La structure des corps et leurs propriétés phisiologiques, par A. Gautier.

atomu téj materyi, sposób wibracyi jednak jest jednocześnie funkcyą ciężarów atomowych i budowy molekularnéj, wiążącéj ściśle owe atomy... Wszelkie odczuwania świadome lub nieświadome, spowodowane przez działanie fizyczne lub chemiczne lub przez proste wrażenia na umysł, przejawiają się zwykle w działaniach dynamicznych; łącząc się zwyczajnie pomiędzy sobą, wyjaśniają nam wpływ magnesu i opór metali, wystarczających niekiedy dla usunięcia bólu lub przeprowadzenia go z jednego członka do drugiego.

Większość czynników prawdziwie lekarskich oddziaływa na nas *dynamicznie* bądź bezpośrednio, bądź przez pośrednictwo pewnéj kombinacyi lub reakcyi chemicznéj; działanie to wywołuje ruchy nerwowe lecz nie podtrzymuje ich, w rezultacie bowiem niema środków lekarskich prawdziwie *dynamoforycznych*. Działanie lekarskie w więcéj bezpośrednim znajduje się stosunku z molekularnym układem i fizycznemi własnościami ciał, niż z naturą pierwiastków wchodzących w owe kombinacye."

Jako dowód dynamicznego działania substancyj lekarskich na system nerwowy może posłużyć fakt, że cyanek potasu wywołuje te same zjawiska w organizmie co i przecięcie nerwu krtaniowego górnego i drażnienie go powyżéj tegoż przecięcia. Cyanek potasu działa zatém na nerw ten dynamicznie.

Chinina i kwas salicylowy, posiadające własności magnetyczne, jak widzieliśmy wyżéj, działają raczéj mechanicznie na system nerwowy niż sposobem chemicznym; w podobny sposób działają zapewne i inne środki lekarskie, a przedewszystkiém środki tak zwane nerwowe.

Rozszerzający się horyzont nowego świata zjawisk fizyologiczno-psychicznych zwraca, jak widzimy, na siebie uwagę uczonych i zachęca do nowych wiele obiecujących badań, mogących nam lepiéj jeszcze wyjaśnić istotę tych zjawisk oraz mogących wykazać ich użyteczność w zastosowaniu praktycznéni.

Dr. A. Złotnicki.

O KREDYCIE RZECZOWYM

DLA ROLNIKÓW

wedle projektów francuskich.

Kwestya zastosowania krótko-terminowego kredytu wekslowego do warunków rolnictwa zajmuje oddawna ekonomistów francuskich, ale niepomyślne stosunki kredytowe rolników we Francyi dowodzą wymównie, że usiłowania te jeszcze nie przyniosły owocu. Przyczyny szukać należy w wymaganiach kredytu wekslowego, trudnych do pogodzenia z warunkami przemysłu rolnego. Krótkoterminowość i niezbędna akuratność w wypłacie są, dla średniéj nawet własności, ważnemi przeszkodami do korzystania z usług banków. Rolnik nie ma téj łatwości, jaką ma handlujący w wynalezieniu funduszu na pokrycie długu lub w zrealizowaniu wartości, stanowiących stan czynny jego majątku. Tylko z czasem wprowadzenie w organizm gospodarstwa rolnego środków odpowiednich, przez praktykę wskazanych, zbliżyć może kredyt rolny do wymagań kredytu bankowego. Usiłowania robione w tym celu winny baczyć na to, że kredyt rolny musi zostawać w związku ścisłym z istotą rolnictwa i że wymaga dla siebie odpowiedniéj organizacyi. W dzisiejszych warunkach eksploatacyi, przemysł rolny nie jest pozbawiony kredytu, ale kredyt ten jest osobisty, udzielony jednéj osobie przez drugą, i dla tego krępują go warunki miejscowe. Po za sferą wielkiéj własności, któréj posiadacze, dzięki rozległości swych interesów, są ogólnie znani i dla których kredyt traci swój charakter specyalnie rolny, a staje się handlowym i stosuje się z łatwością do ustaw banków zwyczajnych, po za tą sferą, powtarzam, rolnik pożycza nie wiele i szukając kredytu, musi ograniczać się promieniem, w którym

jest znany, gdzie jego wartość indywidualna może być ocenioną, gdzie rękojmie, jakie przedstawia, ogólnie są wiadome. Tak więc kredyt rolny jest osobistym i miejscowym i takim pozostać musi, bo to wynika z jego natury. Cała trudność polega na tém, ażeby pogodzić te dwa warunki, cechujące kredyt rolny, z wymaganiami kredytu wekslowego; usunięcie téj trudności pozwoliło-by rolnictwu osiągnąć z kredytu korzyści te same, jakie on przynosi handlowi.

Dotychczas we Francyi nie umiano nakłonić kredytu wekslowego do rozpatrywania się w warunkach miejscowych, nie znaleziono formy dla stowarzyszenia, które-by umiało zebrać poważniejszy fundusz i obejść szkopuł trudnéj kontroli, zapewnieniem zaciągającemu pożyczkę udziału w zyskach towarzystwa.

Przesilenie, które rolnictwo francuskie przechodzi obecnie, zwróciło uwagę rządu na tę w ostatnich czasach zaniedbaną przez niego gałąź produkcyi krajowéj. Komisye, podkomisye, ankiety organizowały się z właściwą francuzom werwą; rządowi dzielnie dopomagały towarzystwa prywatne, mające półurzędowy charakter, jak: towarzystwo ekonomistów, towarzystwo krajowe rolnicze, izby handlowe itd. Poszukiwania te wykazały, że rolnictwo we Francyi jest: 1) zanadto przeciężone podatkami, 2) nie może walczyć z konkurencyą zagraniczną i 3) potrzebuje ułatwienia kredytu. Pierwsze dwa warunki, jako mające znaczenie ściśle lokalne, nie interesują czytelnika polskiego; pomijam je więc, zaznaczając jedynie, że ciała prawodawcze wprowadziły już po części w wykonanie żądania rolników, podnosząc lub wprowadzając cło na inwentarz i płody rolnicze, przywożone z zagranicy. Ponieważ kwestya kredytu krótkoterminowego, a specyalnie obsługującego własność ziemską, jest równie palącą u nas jak we Francyi i ponieważ można znaleść pewną analogią naszych stosunków kredytowych ziemskich z francuskiemi, przypuszczam, że streszczenie usiłowań robionych we Francyi, w celu ulepszenia kredytu rolnego może zainteresować szersze koło czytelników polskich. Dla tego korzystam z raportu deputowanego I. B. Josseau, członka specyalnéj komisyi, wyznaczonéj przez towarzystwo rolnicze krajowe, ażeby nie tylko zaznajomić czytelnika ze stanem obecnym kredytu rolnego we Francyi, ale zarazem, posługując się tekstem raportu, dać pobieżny rys obecnego stanu kredytu, zastosowanego do potrzeb rolnictwa w innych krajach Europy.

Zanim przystąpię do streszczenia wniosków komisyi, niech mi będzie wolno powiedzieć w kilku słowach jakim sposobem powstała.

Podczas ostatnich rozpraw w senacie nad podwyższeniem cła od przywożonego zboża, zwolennicy szkoły manchesterskiéj zachę-

cali niejednokrotnie rząd do zarzucenia systemu protekcyi, jako niedołężnego, a do zwrócenia uwagi wyłącznéj na opłakane pod względem kredytu warunki produkcyi rolnéj Ówczesny minister rolnictwa Méline zwrócił się z zapytaniem do krajowego towarzystwa rolniczego, prosząc go o zdanie w téj mierze. Towarzystwo rolnicze wydelegowało specyalną komisyą, któréj wnioski uzyskały potwierdzenie ogólnéj sesyi towarzystwa, odbytéj w dniu 1 kwietnia roku bieżącego.

Zapytanie ministra brzmiało jak następuje:

„Jakie jest zdanie towarzystwa rolniczego co do użyteczności kredytu dla rolników, jakie zdaniem jego przedsiębrać środki i co myśli towarzystwo o całości projektu przedstawionego senatowi".

Towarzystwo rolnicze ze swojéj strony nakreśliło następujący programat, powierzając jego opracowanie specyalnie w tym celu wybranéj komisyi (1):

1) Czy obecny stan kredytu rolnego wystarcza na potrzeby eksploatacyi rolnéj?

2) Czy należy wprowadzić odpowiednie zmiany w prawodawstwie, mające na celu zrównanie rolnictwa z handlem i przemysłem pod względem korzystania z usług kredytu wekslowego?

Czy zkądinąd rozszerzenie kredytu nie przyniesie szkody rolnictwu.

3) Gdyby rozszerzenie kredytu okazało się niezbędném, co potrzeba zrobić i jakie modyfikacye zaprowadzić w prawodawstwie obecném?

A mianowicie, czy nie należy zmienić artykułu 2076 kodeksu cywilnego, pozwalając rolnikowi, zarówno właścicielowi jak dzierżawcy, zaciągać pożyczkę, z zachowaniem prawa własności, pod zastaw zboża, bądź na pniu, bądź już zebranego, pod zastaw drzewa już ściętego lub na wyrób przeznaczonego, pod zastaw narzędzi rolniczych i inwentarza żywego?

Na jakich warunkach mają się zawierać pożyczki? Czy należało-by dla skonstatowania zastawu żądać od pożyczającego piśmiennego poświadczenia i takowe urzędownie ujawniać.

4) Według jakiéj procedury, cywilnéj czy handlowéj, przystępować do zrealizowania należności?

---

(1) Jakkolwiek nie jedno z zadanych pytań odnosi się jedynie do warunków miejscowych, nie obawiam się znużyć czytelnika, przytaczając ten kwestyonaryusz w dosłownem jego brzmieniu, gdyż całość przedstawia szemat dogodny dla każdego społeczeństwa rolniczego.

5) Czy należy zrównać wszelkie zobowiązanie rolnika z zobowiązaniami handlującego, czy tylko wówczas, gdy przybiera formę sola-wekslu?

6) Czy leży w interesie kredytu dzierżawców, ażeby artykuł 2102 kodeksu cywilnego, dotyczący prawa właściciela do własności ruchoméj dzierżawcy, został zredukowany do wartości przedstawiającéj sumę rat za 2 lata, za rok bieżący i rok następny?

7) Członkowie towarzystwa mieszkający za granicą i korespondenci zagraniczni są proszeni o zdanie sprawy ze stanu rolnictwa w kraju, w którym stale przebywają, a mianowicie: Czy ma ono kredyt dostateczny; na jakich warunkach może zaciągać pożyczki? Jakie są prawa, omawiające rzeczony kredyt, i czy stanowią one część prawa zwyczajnego, czy téż kredyt krótkoterminowy rolny ma swoje odrębne paragrafy?

Czy egzystuje dostateczna ilość banków zadosyć czyniących potrzebom rolnictwa?

Jaka jest stopa procentowa pożyczek?

Czy pożyczki zaciągają się w bankach specyalnie obsługujących własność ziemską?

Odpowiedzi na siódme pytanie służą jedynie za materyał dla wyjaśnienia pierwszych 6-iu pytań, komisya więc w swym raporcie pomieszcza tylko suche dane o stosunkach kredytowych rolnictwa za granicą. Nie mniéj jednak samo zgrupowanie czterech systematów gospodarstwa rolnego jest dość wymownném. Streszczam je tém chętniéj, że w poniżéj podanych ostatecznych wnioskach komisyi, odnajdziemy niejednokrotnie echa instytucyj zagranicznych.

Z pośród gospodarstw europejskich, w Anglii i Szkocyi znajdują rolnicy kredyt najłatwiejszy. Odpowiednia organizacya banku narodowego, z jego licznemi filjami wpośród okręgów przeważnie rolniczych, ułatwia kredyt rolnikom, upodobniając ich niejako z innymi przemysłowcami. Bank otwiera rolnikom rachunki na tych samych warunkach co handlującym. Banki szkockie, z któremi publiczność jeszcze lepiéj jest oswojoną aniżeli w Anglii, oddają względnie większe jeszcze usługi, a mają one 344 filij. Publiczność szkocka do tego stopnia zżyła się z operacyami tych banków, wzorowo administrowanych, że zarówno rolnicy jak kupcy i przemysłowcy załatwiają swoje rachunki za pomocą przekazów. Systemat czeków wszedł w tak ogólne użycie, że banki szkockie bywają reprezentowane przez uwierzytelnionych agentów na jarmarkach, a nawet na znaczniejszych targach; kupno-sprzedaż załatwia się za pośrednictwem tych agentów, sposobem przekazu z rachunku kupującego na rachunek

sprzedawcy. Ale należy zauważyć, że jeżeli w Anglii i Szkocyi rolnicy używają kredytu na równi z handlującymi, to dla tego, że podlegają tym samym prawom egzekucyi w razie nieuiszczenia się na termin i na równi z innemi przemysłowcami mogą być ogłoszeni za bankrutów. Jest to najlepszym dowodem, że zrównanie zobowiązań rolnika z zobowiązaniami handlującego podnosi kredyt pierwszego.

Rumunia rozwiązała w części trudne zadanie kredytu krótkoterminowego dla rolników przez utworzenie kas kredytowych ziemskich. Mają one na celu dostarczaniem kredytu wspomagać rolnictwo i przemysł pozostający z rolnictwem w związku. Kapitał zakładowy kas kredytowych nie może być mniejszym nad 150.000 franków, w niektórych dochodzi do 300.000. Inicyatywa otwierania kas kredytowych powinna wychodzić od ziemian, a to przez wpłacenie $^1/_3$ przyszłego kapitału zakładowego, rząd dostarczając pozostałą część, bierze pod uwagę sumę wpłaconą przez interesowanych i w stosunku do niéj wnosi swoją wkładkę, w ten więc sposób wysokość kapitału zakładowego oznacza interesowany okrąg. Według statutów kas, stanowiących osobny paragraf prawa, część rządowa może być spłacona każdéj chwili, a wówczas kasy tracą swój półurzędowy charakter i zamienią się na towarzystwo wzajemnego kredytu. Wspólność ustawy dając identyczny charakter tym instytucyom utrwalić tylko może powagę poszczególych kas. Cyfra interesów kas kredytowych ziemskich staje się probierzem stanu ekonomicznego każdéj miejscowości.

Administracya kasy jest powierzaną dyrektorowi, wybranemu przez zgromadzenie ogólne stowarzyszonych. Rachunki roczne są sprawdzane przez 3 kontrolerów, z których dwóch wybierają stowarzyszeni a trzeci mianowany jest przez rząd.

Kasa kredytu ziemskiego pożycza na zastaw inwentarza żywego i martwego, dyskontuje weksle, daje pożyczki na papiery publiczne i przyjmuje wkłady na rachunek bieżący.

Przedstawiony do dyskonta weksel musi mieć dwa podpisy osób akredytowanych w kasie. Stopa dyskonta nie może przenosić 7% a termin nie może przenosić dziewięciu miesięcy. Wszelkie tranzakcye zawierane z kasą są uważane za czyn handlowy i są sądzone według kodeksu handlowego.

Pożyczki na zastaw ruchomości, pozostawionych w ręku pożyczającego, rozciągają się na zbiory, inwentarz, narzędzia rolnicze, jako też na wszystkie przedmioty większe, których transport byłby utrudniony. Przywiléj wierzyciela do przedmiotu, na zastaw którego

została udzielona pożyczka, wówczas jest ważny wobec prawa, jeżeli został urzędownie zarejestrowany.

W razie nie uiszczenia się na termin, zastaw może być wystawiony na publiczną licytacyą bez poprzedniego wyroku sądowego i według procedury, zachowywanéj przy zaległościach podatkowych. Dłużnik jest odpowiedzialny na cały czas długu za całość zastawu, a za zatracenie bądź uszkodzenia takowego może być pociągnięty do odpowiedzialności karnéj. Dług kasy idzie zaraz po kosztach sądowych, kosztach pogrzebu i wydatkach porobionych w celu zachowania zastawu.

Kasy kredytowe ziemskie funkcyonują od lat czterech. Korespondent rumuński towarzystwa rolniczego francuzkiego wyraża się o tych kasach, że jakkolwiek nie mają one więcéj nad 4 lata egzystencyi, już dziś oddają krajowi rzeczywiste usługi. Nie tylko średnia i większa własność ziemska ale i włościanie przyuczają się do operacyj pożyczkowych. Ma on nadzieję, że niezadługo każde miasto powiatowe będzie miało swoję kasę kredytową ziemską.

Konieczność reformy kredytu rolnego była uznana i w Belgii; prawem z dnia 15 kwietnia 1884 roku parlament belgijski nadał mu następującą ustawę:

Kasa państwowa oszczędności zostaje upoważnioną do użytkowania części swego kapitału rezerwowego na pożyczki rolnikom. Pożyczki te mają być ubezpieczone na własności ruchoméj pożyczającego.

Akt pożyczki winien być zarejestrowany i z chwilą uiszczenia długu wymazany z rejestru.

W razie niewypłacalności dzierżawcy, właściciel gruntu ma pierwszeństwo przed innemi wierzycielami. Prawo reguluje jego pretensye do 3-ch lat zaległych, do roku bieżącego, jak i do straconych korzyści, które mu sąd przyzna w razie, gdyby kontrakt był ważnym na czas dłuższy.

Dla zrealizowania swéj należności wierzyciel ma prawo używać tych samych środków jakie prawo zabezpiecza właścicielom wydzierżawionego gruntu.

Osobne prawo redukuje o wiele cenę zarejestrowania długu, zaciągniętego przez rolnika na wyżéj wzmiankowanych warunkach.

Oto jest w głównych rysach nowe prawo belgijskie. Dopiero przyszłość wykaże, czy ono wystarcza do zadosyćuczynienia wymaganiom rolnictwa. Ale wskazuje ono, że rząd belgijski nie lęka się ułatwienia kredytu rolnikom i że w Belgii projekt zwiększenia tego kredytu przestał wywoływać obawy o nadużycia tego najważniejszego elementu dzisiejszych stosunków ekonomicznych. Przywileje, dane

wierzycielowi w Belgii, nie stawią go na tym stanowisku co prawa rumuńskie; ale jeżeli pomiędzy jasno określoném prawem wierzyciela do przedmiotu, na zastaw którego została udzielona pożyczka, jak to ma miejsce w Rumunii, a odpowiedzialnością całym swoim majątkiem ruchomym za zaciągniętą pożyczkę, jak to ma miejsce w Belgii, jest jeszcze różnica to ta różnica, jest tylko formalna, gdyż treść pozostaje ta sama.

Tak tu jak tam występuje myśl zastąpienia kredytu osobistego kredytem rzeczowym.

W północnych Włoszech, w przeciągu ostatnich lat dwudziestu, potworzyły się banki wzajemnego kredytu na wzór banków niemieckich Schultze-Delitsch'a. Promotorem tego ruchu był znany ekonomista, deputowany Luzzati. Banki te są towarzystwami opartemi na wzajemności, kapitał ich zakładowy powstaje z wkładów stowarzyszonych. Klientelę ich stanowią wyłącznie właśni akcyonaryusze, wzajemnie solidarni. Banki dyskontują z równą łatwością weksle wystawione przez rolników jak i weksle kupieckie; ale tu należy zauważyć, że prawo włoskie wszystkie weksle uważa za weksle handlowe. Banki wzajemnego kredytu rozwijają się nader pomyślnie, już dziś odnajdujemy je we wszystkich znaczniejszych ogniskach przemysłu rolnego w Lombardyi. Banki te dyskontują na 6, 7 do 8 procent, a płacą od depozytów od 3 do 5%; ponieważ koszta administracyi są minimalne, różnica pomiędzy stopą dyskonta, na którą bank pożycza, a tą, na jaką sam przyjmuje wkłady, stanowi sama przez się dochód dostateczny dla egzystencyi banków. Statystyka wykazuje, że banki wzajemnego kredytu nie mogą się uskarżać na klientelę ziemiańską nietylko co do wypłacalności, ale i ze względną na akuratność w wypłacie.

Biorąc przykład z banków włoskich, Leon Say w swéj broszurze „Dix jours dans la Haute Italie" twierdzi, że kredyt krótkoterminowy rolny jest wówczas tylko prawidłowy, jeżeli klientela banku obsługującego rzeczony kredyt nie jest złożoną wyłącznie z rolników. Bank lub towarzystwo, któreby przyjęło do swego programu operacye kredytowe z rolnikami, winno poświęcić na ten cel pewną tylko część rozporządzalnego kapitału. Weksle rolników są długoterminowe i w większéj części wypadków odnawiane, to jest płacone w terminie nowym wekslem w zamian za stary. Mają więc one dla banków charakter lokacyi kapitału, bez możności redyskontowania ich w ogólnym rezerwoarze gotówki, którym we Francyi jest bank francuzki a we Włoszech—Włoski; nie przedstawiają zatém one dla banków charakteru lokacyi i gotówki zarazem, jaki mają weksle handlowe.

Dla tego autor życzy sobie widzieć w prawidlowo prowadzonym portefeuillu towarzystw kredytowych obok weksli rolników odpowiednią liczbę weksli handlowych.

Wspomniany powyżéj ekonomista włoski Luzzati, patronuje również połączenie w jednych i tych samych instytucyach operacyj kredytowych ziemskich z dyskontem handlowém. Ponieważ prawo włoskie zabrania towarzystwom kredytowym ziemskim zajmować się, na wzór Crédit Foncier francuskiego, innemi operacyami, oprócz pożyczek hypotecznych, Luzzati sformułował nowy projekt do prawa, mający na celu reformę tych towarzystw. Chce on połączyć operacye handlowe z kredytowemi ziemskiemi. Według autora projektu prawodawca z 1869 roku (data utworzenia towarzystw kredytowych włoskich) nie zwrócił uwagi na to, że nagromadzona gotówka w kasach tych towarzystw jest bezczynną i że kraj traci procent od kapitałów tam złożonych. Tylko przez połączenie operacyj handlowych z dzisiejszym programatem towarzystw kredytowych ziemskich, potrafią one zadosyć uczynić wymaganiom ekonomii.

W myśl tych uwag, deponowany w miesiącu marcu r. b. projekt reformy towarzystw kredytowych, — oprócz pewnych zmian, które mają na celu uproszczenie pożyczek długoterminowych hypotecznych, a które pomimo całéj swéj żywotności zaprowadziły-by nas za daleko od głównego przedmiotu,—traktuje także sprawę kredytu krótko-terminowego, zastosowanego do potrzeb rolnictwa. W tém prawie, które niezadługo ma być dyskutowane w izbie włoskiéj, znajdziemy nie jedną cechę wspólną z nowo-wprowadzoném prawem belgijskiém.

Wyjmując z całości projektu paragraf, traktujący o kwestyi nas obchodzącéj podaję go w dosłowném tłómaczeniu:

„Za gwarancyą pożyczek krótkoterminowych, udzielonych właścicielom ziemskim przez towarzystwa kredytowe ziemskie, może służyć własność ruchoma pożyczającego, pod postacią produktów i owoców już zebranych, albo mających być zebranemi w ciągu roku, pod postacią inwentarza martwego, znajdującego się w zabudowaniach gospodarskich, pod postacią maszyn i narzędzi rolniczych, pod postacią wreszcie inwentarza żywego".

„Ażeby prawo wierzyciela do przedmiotu, na zastaw którego była udzielona pożyczka, miało cechę prawną,

a) pożyczka winna być skonstatowana aktem,

b) akt ten winien być zarejestrowany".

„Pożyczający może być odpowiedzialny całym swym inwentarzem żywym i martwym, ale pożyczka może być także gwaranto-

wana jednym lub wieloma w akcie pożyczki poszczególnie wymienionemi przedmiotami“.

Nie chcę przesądzać z góry rezultatów, jakie wydać może prawo jeszcze nieustanowione, ale muszę wskazać, że Włochy równie jak Anglia, Rumunia i Belgia są zdecydowane porobić możliwe reformy w prawodawstwie obecnem, któreby zachęciły kapitalistów do zwrócenia się ku najważniejszemu z przemysłów — przemysłowi rolnemu.

We Francyi wspomniany powyżéj artykuł 2076 kodeksu cywilnego wymaga, aby przy pożyczkach na zastaw — rzecz stanowiąca przedmiot zastawu pozostała w ręku wierzyciela, aż do chwili uregulowania długu. Ten warunek nie pozwala dzierżawcy ani małemu właścicielowi zaciągać pożyczek innych, prócz opartych na jego kredycie osobistym, i zmusza własność ziemską do zapisywania na hipotekę, wszystkich długów, dla których gwarancya osobista nie byłaby dostateczną.

Towarzystwo rolnicze krajowe szacuje wartość inwentarza żywego i martwego we Francyi w przybliżeniu na 12 miliardów fr., dodając do téj cyfry kapitał reprezentowany przez zboże na pniu, owoce nie zebrane i las przeznaczony na wyrąb, szacowane znowu na 3 miliardy, otrzymujemy sumę olbrzymią 15-u miliardów fr. kapitału w rolnictwie tkwiącego, którą art. 2076 kodeksu pozbawia możności korzystania z kredytu.

W handlu i przemyśle towary, narzędzia i instalacya stanowią gwarancyą kredytu; dla własności nieruchoméj—tylko ziemia i budowle. W przemyśle rolnym rolnik, zarówno dzierżawca jak właściciel, nie może wskazać żadnéj gwarancyi prawnéj dla kredytu rzeczowego, prócz ziemi i budowli, chociaż inwentarz żywy i martwy stanowi znaczną część jego majątku Kładę nacisk na wyraz rzeczowy, mówiąc o warunkach tego kredytu, którego w żadnym razie nie należy identyfikować z kredytem osobistym. Artykuł 2076, nie uznając własności ruchowéj rolnika za gwarancyą długu, niweczy tém jego kredyt rzeczowy. A jednakże na 92 członków-korespondentów, do których udało się towarzystwo, prosząc ich o zdanie, znalazło się 25, którzy oświadczyli się przeciwko zmianie dzisiejszych stosunków. Ogólnie powtarzający się motyw uznania za dobry stanu dzisiejszego stosunków kredytowych rolnych, polega na obawie, że zwiększona łatwość w otrzymaniu kredytu może doprowadzić rolnictwo do ruiny. Raport komisyi odpowiada na to: „Czy dla tego, że znalazło się kilku nierozważnych, którzy nadużyli dobrodziejstw kredytu hypotecznego, ktokolwiek zażądać może zniesienia ustawy hypoteczněj? Należy przypuścić, że większość rolników, pożyczających na

zastaw własności ruchoméj, zrobi to w celu zwiększenia swego kapitału obrotowego, dla kupna maszyn lub wprowadzenia ulepszeń, od których zależy przyszłość rolnictwa".

Nie ulega wątpliwości, że jakakolwiek była by wartość osobista rolnika pożyczającego, przez zastosowanie kredytu rzeczowego do warunków eksploatacyi znacznie się zwiększy kredyt gospodarza rolnego. Nie chcąc przesadzać wpływu jaki wywrzeć może proponowana reforma, z góry już można przewidzieć, że pozwoli ona rolnikowi zwracającemu się do banków, lub do prywatnego kapitalisty, otrzymać pieniądz na wygodniejszych jak dotąd warunkach.

Jeżeli proponowane reformy nie stworzą prawidłowego kredytu rolnego, to w każdym razie ulepszą istniejący dzisiaj. Kredyt rolny będzie zawsze więcéj zależał od wpływów ekonomicznych i klimatycznych, aniżeli od rozporządzeń prawnych; nie mniéj jednakże. nadając pożyczkom rolnym formę wekslu, poddając spory o nich sądom handlowym, których procedura jest szybsza i zastosowana do natury wekslu, a przedewszystkiém otwierając bądź jeden bank centralny z filiami, bądź szereg banków miejscowych, specyalnie dyskontujących weksle rolników, krok naprzód będzie zrobiony.

Dla tych przyczyn, a biorąc wzór z przykładów zagranicznych, komisya dala następującą odpowiedź na wyżéj wzmiankowane pytania, postawione przez towarzystwo rolnicze:

1) Ponieważ w większéj części kraju kredyt udzielony rolnictwu, nie jest wystarczający dla należytéj eksploatacyi gruntu, przeto rząd jest proszony o przedsięwzięcie odpowiednich środków w celu powiększenia tego kredytu.

2) W tym celu należy ustanowić nowe prawo, któreby usunęło z prawodawstwa obecnego dyspozycye, tamujące rozwój kredytu rzeczowego, zastosowanego do rolnictwa.

3) A więc należy zmienić artykuł 2076, pozwalając rolnikom zaciągać pożyczki na zastaw inwentarza żywego i martwego, z prawem używania go i nie tracąc prawa do własności przedmiotu.

4) Ograniczyć to uwzględnienie do przemysłu rolnego jedynie.

5) W razie niemożności uprawnienia tego „zastawu zostającego na gruncie" (gage à domicile), zagwarantować pożyczkę całym ruchomym mieniem pożyczającego, jak to się dzieje w Belgii.

6) Ażeby nadać pożyczce charakter prawny, winna być ona zarejestrowana w odpowiednio urządzonéj księdze.

7) W poszukiwaniu na niewypłacalnym dzierżawcy, pierwszeństwo do jego aktywów ma właściciel wydzierżawionego gruntu; ale gdy oprócz jego należności są jeszcze długi, gwarantowane własnością ruchomą dzierżawcy na wyżéj wskazanych warunkach, pra-

wa jego zredukują się do rat zaległych, do roku bieżącego i do roku przyszłego.

8) Takie ograniczenie praw właściciela wówczas tylko jest ważne, gdy własność dzierżawcy obciążają gwarantowane przez nią pożyczki.

9) W razie nie uiszczenia się na termin rolnika, przedmiot, który służył za gwarancyą, może być bez wyroku sądowego sprzedany na licytacyi w 30 dni po upływie terminu.

10) Zobowiązania rolnika, zaciągnięte pod postacią sola-wekslu winny ulegać procedurze kodeksu handlowego, wszakże bez zastosowania prawa o upadłościach.

Józef Winnicki.

Dr. WŁADYSŁAW NIEGOLEWSKI.

Poznań 1 maja 1885 r.

Dnia 19 marca 1885 r. umarł w Poznaniu dr. Władysław Niegolewski.

Zbyt świeżą jeszcze jego mogiła, zbyt świeżymi jeszcze namiętności ludzi, którzy wśród ostatnich dni jego życia ostro przeciw niemu występowali, zbyt niezatarty jeszcze żal wiernych przyjaciół i zwolenników, aby można o nim ostatnie, sumienne, beznamiętne, wypowiedzieć słowo, aby nakreślić rys i sprawiedliwą ocenę jego życia takim, jakim go historya przyszłym społeczeństwa pokoleniom przekazać powinna. Bo jeżeli kto, to Władysław Niegolewski, którego całe życie było pracy dla kraju poświęconém, który chciał stanąć i umiał stać na świeczniku, który społeczeństwu swojemu przez długie lata był sztandarem, około którego się kupiono, zapewne pracą swą, miłością rodzinnéj ziemi, wybitnymi czyny na to zasłużył, aby jego imię w dziejach nie zostało zapomniane.

A jeżeli w obec tak świeżéj straty występujemy z pośmiertném o nim wspomnieniem, jeżeli dziś pomimo że sami stojąc wśród walki jaka się pod koniec jego dni toczyła, może niezupełnie bezstronnie działanie ścierających się opinij ocenimy, nie mniéj jednakże nie wstrzymujemy się od nakreślenia tych słów, to tego powodem, że właśnie takie życie, jakiém było życie Niegolewskiego, życie pełne czynu i walki, może służyć społeczeństwu za drogoskaz i przestrogę, którędy iść, co działać, czego zaniechać należy.

Urodzony pod koniec 1819 roku jako syn oficera byłych wojsk polskich, żołnierza z pod Somo-Sierry, ozdobionego osobiście przez Napoleona krzyżem legii honorowéj, wstąpił Niegolewski jeszcze przed r. 1830 do gimnazyum Maryi Magdaleny, po opuszczeniu którego ukończył nauki szkolne w ewangelickiém gimnazyum w Pozna-

niu. Studya uniwersyteckie odbywał przeważnie w Bonn, gdzie ze szczególném zamiłowaniem studyował prawo publiczne, które wtedy wykładał słynny profesor Dahlmann. Wrodzone skłonności do publicznego życia i parlamentarnego zawodu miał tam zmarły sposobność wykształcić do należytéj siły pod kierunkiem znakomitego prawnika, szczerze też pracował w nauce a uzyskawszy pierwszą nagrodę za rozprawę konkursową z dziedziny prawa publicznego, otrzymał w r. 1845 od uniwersytetu w Bonn stopień doktora obojga prawa *cum venia legendi*, t. j. z uprawnieniem do rozpoczęcia wykładów uniwersyteckich bez napisania specyalnéj rozprawy habilitacyjnéj. Na skutek tego ofiarował mu téż podówczas uniwersytet Zurychski katedrę profesorską; ale Niegolewski nie chciał się ekspatriować, chciał powrócić do kraju i dlań pracować, nie przyjął téż ofiarowanéj sobie, tak zresztą nęcącéj młodego człowieka i zaszczytnéj, profesury, a powróciwszy do kraju, niebawem pokazał, że nie tylko powraca ożywiony najlepszemi chęciami—na tych brak pono się nigdy w naszém społeczeństwie nie możemy skarżyć, ale bogaty w naukę i silną wolę, na których oparty umiał to przeprowadzać, co chciał, by z dziedziny myśli przeszło w dziedzinę czynu, a czemu zewnętrzne, od społeczeństwa naszego niezależne czynniki nie stały na przeszkodzie.

Naukowa jego działalność, przynajmniéj co się tyczy pisania rozpraw i dzieł—skończyła się z opuszczeniem sal uniwersyteckich, bo polityczne i społeczne prace nie pozostawiały dość wolnego czasu, na oddawanie się literaturze naukowéj. Nie mniéj jednakże tak w mowach sejmowych jak w przemówieniach na wiecach stawiał on często z dziedziny prawa publicznego zasady i wyciągał wnioski, które przedewszystkiém społeczeństwo wielkopolskie w swym stosunku prawno-politycznym do rządu pruskiego za istotne zdobycze naukowe może uważać. On bowiem najszczegółowiéj i najsumienniéj zajął się przestudyowaniem wszelkich orędzi królewskich, traktatów, przemówień, rozporządzeń rządowych dotyczących ziem polskich w skład królestwa pruskiego wchodzących, a praca ta jego służyła i może służyć istotnie za systematyczne opracowanie prawnego stosunku rządu pruskiego do ziem dawniéj polskich.

To téż dokładna znajomość wszelkich przepisów prawa państwowego i międzynarodowego o stosunku Polaków, podległych pruskiemu berłu, do tegoż rządu dozwoliła następnie tak wybitną i zaszczytną odegrać rolę na arenie *politycznéj*, gdzie on największe położył zasługi, gdzie sławę zyskał największą. Do służby parlamentarnéj wstępował Niegolewski trzykrotnie. Nasamprzód, wkrótce po opuszczeniu ław uniwersyteckich, w epoce r. 1848 i następnych,

gdzie jego wystąpienia tak w parlamencie frankfurckim jak sejmie berlińskim ogólną na siebie zwróciły uwagę, szerokie nawet pomiędzy przeciwnikami znalazły uznanie. Każdy jego występ był opartym na głębokiéj znajomości przedmiotu, o którym mówił, był nacechowany gorącą miłością sprawy, dla któréj działał; każda mowa ujęta w piękną formę, wypowiedziana z właściwym zmarłemu retorycznêm zacięciem, nie przemijała téż żadna bez głębszego wrażenia. Toć z owych czasów jeszcze pochodzi ów przez rozmarzonych i idealnych wówczas Niemców przyznany zmarłemu tytuł „advocatus patriae“, zaiste tytuł zaszczytny dla 29-letniego, świeżo dopiero w szranki walk parlamentarnych wstępującego człowieka. Ale zyskane uznanie i imię nie zadowolniły go jeszcze, lecz raczéj były dalszym tylko bodźcem do usilnéj pracy. To téż zaledwie powrócił z Frankfurtu, wystąpił w r. 1849 po raz pierwszy jako obrońca sądowy w sprawie oskarżonego o zdradę stanu adwokata Krauthofera, któremu rząd pruski wytoczył proces polityczny o zbrojne wystąpienie pod Mosiną i Kórnikiem w czasie rozruchów 1848 r. Ogłoszona w r. 1849 przez rząd pruski amnestya nie obejmowała bowiem urzędników, a ponieważ po każdym zatargu starają się o znalezienie ofiarnego kozła, aby ten za wszystkich i wszystko odpokutował, więc téż prokuratorya z całą skwapliwością i namiętnością przygotowywała akt oskarżenia przeciw Krauthoferowi. Oskarżony bronił się osobiście, ale do pomocy zawezwał Niegolewskiego, który w świetném przemówieniu przesadę aktu oskarżenia wykazał, i wyrok uniewinniający dla swego uzyskał klienta.

W tym samym jeszcze roku 1849 udał się jako poseł do Berlina, i należał do założycieli koła sejmowego polskiego, do dziś się utrzymującego. Koło postanowiło nie brać żadnego udziału w dyskusyach wewnętrznych stosunków niemieckich, lecz tylko w sprawach wprost Poznańskiego i Prus Królewskich dotyczących. Niestety abstynencya ta posuwała się nie raz zbyt daleko ze szkodą nawet interesów naszego społeczeństwa, ale nie o tém tu miejsce mówić; zresztą zasadę samę w gruncie za słuszną, podanie jéj myśli za jednę z zasług zmarłego uważać należy.

Położywszy podwaliny naszéj organizacyi sejmowéj, wycofał się Niegolewski na lat kilka z parlamentarnego życia, odbywał praktykę sądową, następnie osiadł na wsi, r. 1855 ożenił się z Wandą hr. Kwilecką, a w rok późniéj zamieszkał w Poznaniu, otworzył prywatne biuro dla obrony praw narodowych na drodze legalnéj, spisywał różne petycye do sejmu i przygotowywał dla koła polskiego potrzebne do akcyi parlamentarnéj materyały. Mieszkając w Poznaniu, odczuł on brak odpowiedniéj instytucyi dla skupienia ludzi

nauki, odczuł brak takiéj skarbnicy, gdzieby można składać i przechowywać drogie sercu pamiątki i za jego współstaraniem założone zostało w r. 1857 poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które dziś już stało się poważną instytucyą, mającą własny gmach i muzeum, tak samo dziś bogate w rzeczy sztuki, jak w rodzime pamiątki. Wraz z Niegolewskim przyczynili się przeważnie do założenia tego Towarzystwa zmarły już przed 24 laty Tytus hr. Działyński, przedostatni z tego tak sympatycznego rodu, oraz mieszkający po dziś dzień w Poznaniu dr. Kazimierz Szulc. Za staraniem Niegolewskiego otrzymało to Towarzystwo pierwszy zawiązek swego majątku, on to bowiem nakłonił kilku obywateli do przekazania na rzecz Towarzystwa kilku akcyj „Bazarowych“ jednéj z naszych najstarszych, a doskonale prowadzonych spółek akcyjnych.

W r. 1859 wstępuje zmarły na nowo do sejmu i rozpoczyna tu swe najświetniejsze działanie. Któżby nie znał choć z nazwiska sprawy Baerensprunga? „Nie mogąc się nad nią rozszerzać, wspomnimy tylko, że Niegolewski, zrozumiawszy, jakiemi ona grozi klęskami, nie szczędził ni zabiegów, ni pracy, ni grosza własnego, nazbierał potrzebnych dowodów i zdemaskował przed światem całą machinacyą w słynnéj interpelacyi. Gdy też powrócił z Berlina do kraju, zebrane w Żerkowie obywatelstwo w dowód uznania srebrny mu wieniec złożyło. Wieniec ten, niesiony na pogrzebie przed trumną, był wymownym protestem nie przeciwko krytyce, na którą ostatnie zmarłego działanie nie wątpliwie zasłużyło, lecz przeciwko formie i sposobom, w jakich tę krytykę niejednokrotnie prowadzono.

Po interpelacyi Baerensprungowskiéj przyszła koléj w r. 1861 na tak zwany „Walny wniosek“, który — opierając się na opracowanym i złożonym parlamentowi frankfurckiemu przez Niegolewskiego memoryale, na mocy którego zmarły nader dla nas, choć teoretycznie tylko, korzystną rezolucyą sejmową uzyskał,—żądał wprowadzenia w życie zagwarantowanych praw i instytucyj. Że wniosek ten nie otrzymał rządowéj sankcyi chyba nie potrzeba wspominać; toć od wieków dobrze nam są znane intencye margrabiów i kurfirstów brandenburskich. Postawienie tego wniosku i znakomita jego obrona w sejmie jest również zasługą Niegolewskiego. W skutek wypadków, które późniéj zaszły, Niegolewski znalazł się, podobnie jak w r. 1846 i 1848, w stanie przymusowéj bezwłasnowolności. Skoro to minęło, a lekarze pokrzepili nadwątlone przez okoliczności jego siły, wstąpił Niegolewski w r. 1867 do nowopowstającego parlamentu związku północno-niemieckiego i wniósł protest przeciw wcieleniu do niego prowincyj oderwanych od rzeczypospolitéj w końcu zeszłego stulecia. Nie zrażony bezskutecznością tego kroku, ponowił go w r. 1871 przy organizacyi nowego cesarstwa niemieckiego.

Nastała epoka walki „kulturowéj“. Niegolewski, syn t. zw. liberalnéj ery, występował dawniéj niejednokrotnie przeciw dążeniom partyi ultramontańskiéj w księstwie, mianowicie gdy partya ta po roku 1866,—czego nikt nie może zaprzeczyć, choćby nawet jéj przyznawał pewne i poważne zasługi, jako to baczniejsze zwrócenie uwagi na naukowe i moralne wychowanie młodzieży, krzewienie oszczędności, karności — poczęła niezupełnie zgodnie z dążeniami społeczeństwa postępować, gdy zaczęła, łudzona przez Berlin, interesa społeczeństwa swym partyjnym podporządkowywać interesom; ale gdy przyszło ministeryum Falka, gdy na pobudkę „auf! auf! gegen Rom“ poczęto zakazywać obrządków, gdy chciano znaleść ludzi, którzy-by za pieniądze nadużyli swego charakteru duchownego i pasterstwo swoje za żołd otrzymany na służbę germanizacyi oddali, gdy równocześnie zaczepiono nasz język, a duchowieństwo pomimo ciężkich warunków, pomimo zabrania mu dochodów, pomimo więzienia, nie tylko nie dało się użyć za narzędzie Niemcom, ale stanowczo wystąpiło w obronie naszego języka w kościele; Niegolewski wraz z innymi posłami uważał sprawę kościoła za sprawę społeczeństwa, i przeciw t. zw. majowemu prawodawstwu najsilniejszą akcyą rozwinął. W epoce téj, będąc prezesem koła polskiego w parlamencie, występował nader często, walczył o każdy paragraf ustaw, bronił wolności ambony, wychowania duchownych, zakonów, bronił szkół i nadzoru nad nimi, obywateli Poznania pokrzywdzonych przez rejon forteczny, ścierał się z koryfeuszami i inicyatorami walki „kulturowéj“, a z tych parlamentarnych zapasów wychodził tylko liczbą głosów „nationalliberalnych“, nie ich argumentami pobity.

W roku 1876 stawia wspólnie z Władysławem Taczanowskim w parlamencie niemieckim walny wniosek, mniéj więcéj taki sam, jaki 15 lat pierwéj w izbie pruskiéj postawił. W roku 1877 stara się przeszkodzić zakusom Anglików, którzy dla zrobienia dywersyi w ostatniéj wojnie wschodniéj nosili się z zamiarem urządzenia jakich „legionów“ w Konstantynopolu, i dla skrzyżowania tych planów liczne i dalekie podejmuje podróże.

Roku 1878 składa kongresowi berlińskiemu, wraz z hr. Platerem i J. Dobrzańskim znany memoryał; w 1880 świéżo po uchwaleniu niemieckich ceł na zboże, domaga się, aby zgodnie z przepisami wiedeńskiego traktatu, zboże pochodzące z królestwa polskiego i prowincyi południowo- i północno-zachodnich wolném było od cła.

Oto krótki rys działania Niegolewskiego. Jak ono było szczytném, jak wiele w niém tkwiło i pracy i miłości i poświęcenia, już każdy się przekonał. Szkoda, że na niém nie przestał, szkoda że nie ustąpił naówczas dobrowolnie z publicznéj widowni i w ciszy domo-

wego życia, kochany i szanowany od społeczeństwa, nie spoczął. Gdyby był to uczynił, nigdy by i jeden głos nie był się podniósł przeciwko niemu, ostatnie jego chwile nie byłyby zatrute zgryzotą, a przy jego trumnie byłby kraj cały, szczerém uznaniem i żalem przejęty, gorzkie łzy żałoby przelewał. Na nieszczęście społeczeństwa i na nieszczęście zmarłego stało się jednak inaczéj: on nie umiał się cofnąć w odpowiedniéj chwili.

Bolesna to w obec nieporosłéj jeszcze mogiły o ostatnich latach zmarłego wspominać, ale im wyżéj kto stanął, tém wyższą ma odpowiedzialność za wszelkie swe czyny, a skoro zamiarem naszym nie jest napisanie panegiryku lub mowy pochwalnéj na cześć zmarłego, skoro chcemy go takim przedstawić, jakim go historya ma przyszłym opisać pokoleniom, to, choć z bólem, musimy pokrótce i o jego działalności z ostatnich lat pomówić. Urwanie tego opisu na roku 1880 byłoby niesprawiedliwém w obec zmarłego, bo byłoby pochlebstwem, a on, pomimo swych win z ostatnich lat, jednak był wyższym po nad tych, co potrzebują pochlebstwa; byłoby daléj niesprawiedliwém w obec całéj liczby żyjących i uczciwie dla kraju pracujących ludzi, którzy w ostatnich czasach stanowczo przeciw niemu wystąpili.

Niegolewski umiał prowadzić, ale nie umiał słuchać, nie umiał cudzego uszanować zdania. Pomimo całéj nauki i wytrawności politycznéj, pomimo gorącego przywiązania do kraju, dla którego ni krwi, ni mienia, ni pracy nie szczędził, przebijała się w nim anarchiczna natura, nie umiał on panować nad sobą, nałożyć hamulca swym namiętnościom, swym osobistym niechęciom. I w jednym i w drugim, tak fatalnym dla zmarłego kierunku, stanął do jego dyspozycyi „Goniec Wielkopolski" i oddał mu przez to istotnie niedźwiedzią przysługę. A jakkolwiek pisma tego zupełnie bezwzględnie nie można potępić, bo ono się w znacznéj mierze przyczyniło do rozbudzenia świadomości narodowéj wśród niższych warstw ludności, to jednakże popełniło ono liczne grzechy w obec społeczeństwa, a najcięższy w obec zmarłego. Ono to podniecało pychę i ambicyą Niegolewskiego, ono w brzydki sposób szarpało niemiłe redaktorom osobistości, a przez to ostudzało szacunek dla zmarłego, zwiększało liczbę jego nieprzyjaciół, ono też stąd powodem, że Niegolewski w r. 1881 pomimo, a może właśnie dla swych gwałtownych występów na zebraniach przedwyborczych w Wągrówcu i Krobi, przez społeczeństwo już nie został na posła do parlamentu wybrany, gdzie obawiano się jego, w miarę lat i zmniejszającego się powodzenia w mowach, rosnącéj gwałtowności tak w obec obcych, jak swoich. Przed laty były takie występy, tchnące gorącą miłością

przeszłości, a silną wiarą w przyszłość konieczne. Ale obecnie, chwała Bogu, nie na brak samowiedzy cierpimy, ale na brak zasobów materyalnych; stąd téż od efektownych występów publicznych, zaszczytnych, nie raz potrzebnych, ale praktycznie bezowocnych, ważniejszą dla nas i konieczniejszą cicha praca w domu, na własnym zagonie. I Niegolewski to odczuł, i on to mówił; niestety, słowa jego nie były w zgodzie z czynami, a przeciwieństwo to zachwiało zupełnie jego stanowiskiem i powagą. Nie zdobył on się na program pozytywny, jak pracować należy, prawda że i nikt inny się jeszcze nań nie zdobył, ale społeczeństwo przyszło już do przekonania, że nie może żyć samą agitacyą, samém przypominaniem swych praw i instytucyj. Dla tego téż nie chciało już ono miéć za przewodnika człowieka, co nie umiał się trzymać w swym własnym domu programu organicznéj pracy, usunięto się od niego, a on się z swym programem chciał społeczeństwu narzucić; i oto powód ostatnich, tak zaciemniających jego dawne znaczenie i zasługi, kroków.

W czasie ostatnich wyborów pozwolił, że nadużyto jego nazwiska wśród walki wyborczéj dla obalenia innych kandydatów, a już to było smutném, bo wiedziano, że nie pojedzie do Berlina; gdy zebranie w Poznaniu przyjęło listę posłów, na któréj go nie pomieszczono, jego imieniem złamano u nas zasadę solidarności przy wyborach, téj solidarności, którą on sam zawsze jako najpierwszy obowiązek każdego przedstawiał, jego imieniem wydarto legalnemu, przez centralny nasz komitet wyborczy naznaczonemu posłowi przeszło tysiąc głosów, jego imieniem zdemoralizowano przeszło tysiąc ludzi, zdemoralizowano ich, bo przyuczono do niesłuchania, do zerwania z karnością, tyle konieczną wśród naszych stosunków.

W obec takich faktów, ostra krytyka była słuszną, była nawet konieczną. Z taką wystąpili téż u nas przeciwko Niegolewskiemu ludzie, którzy nie mniéj od zmarłego kochają kraj, nie mniéj od niego się nauczyli. Niestety, dołączyła się do téj poważnéj i w wyższym celu prowadzonéj krytyki cała plejada ludzi, bezimiennych korespondentów, co w ogóle niedorośli do tego, by poważną krytykę napisać, a ci właśnie pozwalali sobie w nikczemny sposób niegodnymi epitetami szarpać zmarłego, niepomni ani jego wielkich zasług, jakie miał niewątpliwie, ani stanowiska, jakie zajmował.

Kończąc na tém nasze uwagi, dodajmy, że z głębokim żalem stało społeczeństwo koło trumny zmarłego, z żalem, że go traci, z żalem że tak zaćmił swą sławę, i niejednemu przypomniały się mimowoli słowa dra Witolda Skarzyńskiego, b. posła do parlamenta, w r. z. o zmarłym powiedziane, że smutno patrzéć, jak pod koniec życia marnieją nasze proroki.

Ale przebaczyć trzeba temu wiele, kto wiele umiłował; łagodnym sędzią trzeba być dla tych, co błądzili, lecz w dobréj wierze błądzili. A złéj wiary nikt, nigdy, w niczém Niegolewskiemu nie może zarzucić. Skoro więc Niegolewski już dziś się zalicza do umarłych, skoro z ustąpieniem na zawsze z widowni świata, umilkła namiętność i gaśnie żar osobistych niechęci, skoro w zimnéj złożony mogile zmarły już powstać nie może na nowo, by naprawić, co w dobréj wierze, ale źle uczynił, to i my zapuśćmy zasłonę na te kilka ostatnich lat z życia zmarłego, wspominając go jak przez 30 przeszło lat żył tylko dla społeczeństwa, jak wiele dla niego poświęcał, jak wiele dla niego pracował, zaznaczmy nasz żal po stracie męża i do licznych wieńców jakie trumnę jego zdobiły i my garść kwiatów uznania dorzućmy.

Dr. J. M.

CAILLETET CONTRA WRÓBLEWSKI.

I.

Powtarzano już tysiące razy że „nic nowego pod słońcem“, że każdy odkrywca czy wynalazca miał już swego poprzednika. Czytaliśmy też książkę p. t. „Le vieux neuf,“ któréj autor na zasadzie cytat dowodzi, że najważniejsze wynalazki ostatnich czasów, jako to maszyny parowe, maszyny tkackie, fotografia, koleje żelazne, telegrafia, już dawno zostały dokonane. Nawet gdy Bell wynalazł telefon, pojawiło się mnóstwo artykułów, które jak na dłoni wykazały, iż zaszczyt tego wynalazku należy się nie Bellowi lecz Reisowi, a potém nie Reisowi lecz Drawbankowi, potém znów komuś innemu, tak że już teraz mamy pięciu czy sześciu wynalazców przedbellowskich. Pomimo, iż to wszystko jest prawdą, największą zasługę gotowiśmy przypisywać Bellowi.

Weźmy pod analizę ten świeży fakt, aby wyprowadzić z niego wniosek o prawie pierwszeństwa wynalazcy.

Czytaliśmy świeżo ogłoszony wyjątek z Illustracyi francuzkiéj z r. 1854, w którym jakiś anonim B. podaje prawdziwie znakomity pomysł telefonu. Przyrząd ten został nawet opisany w kilkotomowém dziele Du Moncel'a, używaném przez specyalistów, p. t. Exposé des Aplications de l'Electricité, a mimo to nie przeszedł nawet do podręczników uniwersyteckich.

Dla czego? Dla tego, że p. B. nie mógł wykonać swego pomysłu, a jeśli go wykonał, to tak niedoskonale, że chyba nie mógł nim nawet samego siebie przekonać o racyonalności pomysłu.

Nieco później zbudował swój telefon Reis. Przyrząd ten przenosił muzykę, a nawet twierdzą niektórzy, że i jakiś frazes o warczą-

cych dźwiękach. Na tém się wszakże skończyło. Oddano jednak sprawiedliwość Reisowi za wynalezienie aparatu elektrycznego, wykazującego *możność* przenoszenia dźwięków (muzyki) i wspominano o tém w wielu w podręcznikach elementarnych.

Przeszło jednak lat kilkanaście i ani sam Reis, ani nikt inny telefonu nie udoskonalił. Bo też nie można go było udoskonalić na téj podstawie, na któréj się oparł Reis. Aby zrobić telefon Reisa czułym na muzykę i na głos, dokładnie przenoszącym zlewające się drgania, nie zaś działającym skokami, trzeba było wprowadzić do przesyłacza Reisa nową zasadę tj. zmianę przewodnictwa węgla pod wpływem ciśnienia, co uczynili Edison i Hughes, a odbieracz uczynić lepiéj działającym, pewniejszym itd., co uczynił Bell.

W teraźniejszéj stacyi telefonicznéj przesyłacz jest całkowicie zasługą Edisona i Hughes'a a tylko odbieracza zawdzięczamy Bellowi. Pomimo to przypisujemy mu pierwszeństwo wynalazku telefonii. Dla czego? Dla tego, że on pierwszy zbudował, okazał i oddał do użytku przyrząd tyle doskonały i gotowy że można się było nim posługiwać dla celów naukowych i praktycznych.

Gdyby Reis zaprzeczał pierwszeństwa Bellowi, to możnaby mu było zarzucić, dla czego przez lat tyle nie zrobił ze swego przyrządu tego, co dał nam Bell, a gdyby chciał w teraźniejszéj stacyi telefonicznéj odkrywać szczegóły, które już do jego pomysłu należały, to możnaby mu powiedzieć, iż on znów wziął pomysł od Page'a i innych. Idąc tak daléj, moglibyśmy dojść do tego, że zaszczyt wynalezienia telefonu należy się Vocie, Oerstedowi, Amperowi a może nawet owym grekom, którzy badali własności bursztynu i magnesu.

Podobne niedające się rozwiązać kwestye widocznie pochodzą ztąd, że chcemy się dobadać ścisłéj granicy tam, gdzie nie ma granicy. Nie znamy właściwie początku żadnéj rzeczy, i nigdy nie będziemy mogli wskazać wynalazcy bez poprzedników, albowiem wszelki pomysł jest następstwem i wynikiem rzeczy poprzednich i nigdy tak jak Minerwa w zbroi i w szyszaku bez żadnych precedencyi z głowy Jowisza nie wyskoczy.

Zdawałoby się więc, że tylko ważność odkrycia czy wynalazku daje miarę zasługi. Lecz i ten wniosek musimy zmodyfikować, bo i ważność jest wielce względną. Wtedy, gdy nie znano analizy spektralnéj, nikt nie mógł ocenić wynalazku pryzmatów szklanych i płonną byłaby rozprawa, co jest ważniejsze, czy wynalazek szkła i pryzmatów szklanych, czy analiza spektralna? doświadczenie Galvaniego, czy Volty? itd. Byłby to czysty scholastycyzm. Moglibyś-

my się także sprzeczać w takim razie o to, co jest ważniejsze czy węgiel wchodzący w skład rośliny, czy roślina. Zgodnie więc z duchem naszego wieku, należałoby się obchodzić w takich razach bez uogólniań i płonnych porównań i poprzestawać na zaznaczeniu genetycznego związku, jeżeli takowy istnieje. Porównywanie zaś wtedy tylko jest możliwe, jeśli dwa odkrycia powstały napewno niezależnie jedno od drugiego, a w takim razie, to z nich będzie miało górę, które jest doskonaléj opracowane, bardziéj skończone, i to, które autor na szersze pole, płodne w następstwa wprowadził.

II.

Sprawa, którą powyższym wstępem poprzedziliśmy, znana już jest zapewne czytelnikom ze wzmianek dziennikarskich. Musimy ją jednak przedstawić szczegółowo, aby dać czytelnikowi materyał do samodzielnego jéj osądzenia.

P. Jamin, znany fizyk, sekretarz stały Akademii Paryzkiéj, pomieścił w „Revue des Deux Mondes“ popularny artykuł p. t. „W jaki sposób skroplono powietrze“, w którym wszczął nietylko kwestyą stosunku i zasług dwóch odkrywców pp. Cailleteta i Wróblewskiego, kwestyę pierwszeństwa, ale nadto chce rozpowszechnić przekonanie, iż p. Wróblewski świeci tylko blaskiem uzurpowanym.

P. Jamin mówi:

...„Boyle i Mariotte byliby bardzo zdziwieni, gdyby im ktoś powiedział, że to powietrze, którego własności poddali prawom, może być sprowadzone do płynu, takiego samego jak woda, a nawet do stanu ciała stałego, takiego jak śnieg. Potrzeba było prawie dwóch wieków do przygotowania tego nowego odkrycia: *my sami nie znaliśmy go aż do kwietnia 1883 r.*, *w którym Akademia nauk* (*Paryzka*) *otrzymała z Krakowa* te dwie depesze:

„Tlen skroplony zupełnie: ciecz bezbarwna jak kwas węglany (9 kwietnia).

„Azot oziębiony został skroplony przez zmniejszenie ciśnienia; ciecz bezbarwna (16 kwietnia).

Wróblewski.

„I tak powietrze zostało zredukowane do objętości tysiąc lub tysiąc pięćset razy mniejszéj od objętości w warunkach zwykłych; przestało być gazem i przyjęło wygląd wody. *Ten zdumiewający rezultat jest tylko ostatniém słowem długiego szeregu prób, które pozostały płonnemi*; jest to uwieńczenie budynku dawno zaczętego, nad któ-

rym pracowało wielu robotników. Jakie jest znaczenie i zasługa każdego z nich? Jest-to długa historya, dobrze fizykom znana".

Historyę tę streszcza p. Jamin aż do r. 1877, w którym pojawiły się prace pp. Cailletet'a i Pictet'a, i powiada o tych doświadczeniach, że *wykazały możliwość* skroplenia tlenu, ale go *nie skropliły*, że do skroplenia potrzeba było tylko:

„Szukać środków oziębienia dostatecznie potężnych i należało się uciec do wrzenia gazów więcéj opornych, aniżeli kwas węglany lub tlenek azotu. W tym celu Cailletet zaczął studyować etylen".

„Etylen jest to węglowodór tego samego składu, co i gaz do oświetlania; oziębiony za pomocą kwasu węglanego do—73 stopni, pod ciśnieniem 56 atmosfer, etylen przechodzi łatwo w ciecz, która wrze w powietrzu przy—103 stopniach (1), temperaturze zbyt jeszcze wysokiéj dla projektowanego badania; ale temperatura ta *powinna się znacznie zniżyć, w razie dokonywania doświadczenia w próżni.* P. Cailletet zamierzał to zrobić, ogłosił swój projekt całemu światu i kazał robić aparaty, gdy akademia otrzymała dwa telegramy, które na początku przytoczyłem. P. Wróblewski był obecnym w szkole normalnéj na doświadczeniach p. Cailleteta, którego aparaty kupił; zawiózł je do Krakowa, zapewnił sobie współpracownictwo swego kolegi p. Olszewskiego i doprowadzał etylen do wrzenia nie w powietrzu, lecz w próżni machiny pneumatycznéj. Zobaczył, że jego temperatura zniża się aż do 150 stopni. *Był to największy dotąd otrzymany stopień zimna*; był on dostatecznym; powodzenie było zupełném i okazało się, że tlen, ściśniony poprzednio w rurce szklannéj, staje się cieczą stałą, z meniskiem dobrze określonym".

„Kończąc, powiada wreszcie p. Jamin, nie mogę się powstrzymać od wszczęcia kwestyi *zawsze delikatnéj*: komu należy przypisać zasługę skroplenia gazów? Bez zaprzeczenia w przeszłości Faraday'owi, a w czasie obecnym, temu, co...... zbudował odpowiednie aparaty, i który...... wziął to zadanie za przedmiot ciągłych zajęć, p. Cailletet. Wprawdzie w ostatniéj chwili, dwóch ludzi nieznanych dotąd, z których jeden asystował pracom Cailletet'a, który *mu się*

---

(1) Uczony sekretarz stały akademii paryskiéj popełnił tu gruby błąd, który p. Wróblewski poprawia w swéj replice („Comment l'air à été liquefié. Reponse à l'article de M. Jamin etc.") jak następuje: „Nie mówiąc już o tém, że gaz oświetlający nie zawiera więcéj jak 4 procent etylenu, i że podlega prawom skroplenia zupełnie innym jak etylen, pozwolę sobie zwrócić uwagę pańską, żeś pan został wprowadzony w błąd, albowiem pan zmieszał formen z etylenem, niewłaściwie kopiując liczby podane przeze mnie w moich doniesieniach. Formen to właśnie trzeba oziębić do—73°, aby się skroplił pod ciśnieniem 56 atmosfer, etylen zaś pod tém ciśnieniem skrapla się już w temp. +9.2°C, jak to zresztą wykazał już p. Van der Waals.

zwierzył, gdy już nie było prawie nic do zrobienia, pośpieszyli się z wykonaniem ostatecznego doświadczenia, które zapowiedział Cailletet; dokonali oni dzieła *zręcznego robotnika*, *ale nic nie wynaleźli* i jakkolwiek chcieli, nic nie odebrali panu Cailletet. We Francyi, gdzie obyczaje naukowe zachowały swą surowość, opinia publiczna osądziła nieprzychylnie ten postępek i jestem szczęśliwy, że mogę się powołać na świadectwo naszego nieodżałowanego sekretarza stałego, Dumas'a. Oto jest ostatni list, napisany przezeń z Cannes do jednego ze swych kolegów, w kwestyi przyznania nagrody:

„...Akademia przyznaje w tėj chwili nagrodę Lacaze'a. Ma ona kandydatów możliwych, mogących przedstawić prace szczegółowe, dobrze wykonane, użyteczne dla nauki i godne uznania. Żadna z nich jednak nie wychodzi z rzędu zwyczajnych.

„Przeciwnie p. Cailletet wydaje mi się być godnym tėj nagrody, albowiem wyświadczył znakomitą usługę chemii ogólnėj, a raczėj filozofii naturalnėj, stworzywszy znakomity instrument, za pomocą którego skroplił kilka gazów najbardziėj opornych i *uczynił możliwém* (*et rendu possible*) skroplenia wszystkich.

„Kwestya postawiona przez Lavoisiera, została rozwiązana przez Cailleteta;—powiedziałem, przez Cailleteta: powietrze otaczające nas może być zamienione przy pomocy ciśnienia i zimna na płyn, dający się porównać (*comparable*) z wodą.

„Jest-to wypadek, który zaznaczy historya nauki; łączy on nazawsze nazwisko Lavoisier'a, Faraday'a i Cailleteta. Tymczasem ostatnie doświadczenia dokonane w Krakowie, zwracając uwagę na dwóch współzawodników Cailleteta, mogą wywołać ten rezultat, że przypisaną będzie szczęśliwym eksploatatorom jego sposobów działania (procédés), zasługa, która powinna być zachowana dla ich wynalazcy. Jest-to jednocześnie kwestya słuszności i *interesu patryotycznego*. Chciałbym, aby akademia powzięła postanowienie proklamowania świetnėj usługi, wyświadczonėj przez p. Cailleteta, przeznaczając mu nagrodę Lacaze'a; *nie należy zostawiać świata uczonego w wątpliwości* o prawdziwym autorze odkrycia, stawiającego gazy trwałe w jednym rzędzie ze zwykłemi materyami, którym możemy według woli naszėj nadawać stan stały, ciekły i lotny“—(podpisano) Dumas.

III.

Pan Jamin tedy podniósł kwestyę „zawsze delikatną“ i rozwiązał ją wbrew jėj delikatności stanowczém uderzeniem topora, otrzymanego od znakomitego Dumas'a. Zobaczymy, iż za świadectwem

innego uczonego p. Debray, waga czy powaga tego topora jest podejrzaną. Bądź-co-bądź cios ten mglistéj kwestyi zasługi pierwszeństwa nie rozwiał: mgła się zeszła i kwestya pozostała daléj „zawsze delikatną“, a „interes patryotyczny“, który tu zupełnie niepotrzebnie został wtrącony i zabarwia tę sprawę niby politycznym odcieniem, tylko na niekorzyść p. Jamina przemawia. My jednak nie pójdziemy w tym względzie za przykładem uczonych francuskich i starając się kwestyą tę przedstawić zupełnie obiektywnie, do patryotyzmu czytelników odwoływać się nie będziemy.

Dla obiektywnego zaś przedstawienia rzeczy musimy rzucić pobieżny szkic historyczny usiłowań skraplania gazów.

Domysły o możliwości skroplenia gazów, a pomiędzy innemi powietrza, datują się od bardzo dawna. Powstały one widocznie wtedy, gdy upatrzono analogią pomiędzy gazami a parami. Jeżeli ciało stałe można za pomocą podniesionéj temperatury zamienić na ciecz, a potém na parę, przedstawiającą analogię z gazem, jeśli naodwrót parę można przez zniżenie temperatury zamienić na ciecz, a potém na ciało stałe, więc prosty stąd wniosek, iż stan skupienia zależy od temperatury i że gazy, które z parami porównywano, dadzą się skroplić, jeśli tylko użyjemy dość niskiéj temperatury.

Do jakiego stopnia i jak dawno już wierzono w możliwość skroplenia gazów, dowodzi tego fakt, że wielki rodak Jamina i Dumasa, Lavoisier, mąż zarówno genialny w pomysłach, jak krytyczny i ścisły w swych poglądach, wyraził się w jednéj z rozpraw:

„Gdyby ziemia dostała się nagle w okolice bardzo zimne,—jak te na przykład, w których znajduje się Jowisz, albo Saturn, to woda, która tworzy nasze rzeki i morza a prawdopodobnie i większą część znanych nam cieczy, zamieniły-by się na stałe góry i skały. Powietrze wówczas, lub przynajmniéj pewne części składowe powietrza przestały-by być gazami i zamieniły-by się na płyny, o których dziś pojęcia żadnego nie mamy“.

Nie tylko zależność stanu skupienia od temperatury i względność zwykłego stanu ciał nam znanych w stosunku temperatury, w jakiéj się obracamy, naprowadzały na ten domysł. Wiedziano téż od bardzo dawna, że i ciśnienie wpływa na wrzenie cieczy, a więc i na skraplanie par. Im ciśnienie jest większe, tém wrzenie cieczy bardziéj utrudnione, tém skroplenie pary łatwiejsze. W zniżeniu tedy temperatury i powiększoném ciśnieniu widziano sposoby skroplenia gazów. Proste te poglądy były najzupełniéj słuszne i potwierdzone zostały późniéj przez teoryę i doświadczenie.

Przedewszystkiém silnie poparte one zostały przez krytykę prawa Boylego i Mariotte'a, znanego od ostatniéj ćwiartki wieku XVII (rok

1662 i 1679). Według tego prawa, objętość gazów jest ściśle odwrotnie proporcyonalną do ciśnienia na nie wywieranego. Tymczasem nie tylko teoretyczne wywody ale i doświadczenia wykazały, iż prawo Mariotte'a jest ściśle tylko w pewnych granicach tempeatury i ciśnienia, że dla każdego ciała lotnego istnieje dana termperatura, w któréj to prawo jest ścisłem. W niższéj temperaturze od danéj, ciało lotne zmniejsza swą objętość więcéj niż wskazuje prawo Mariotte'a. Pary, do których tak samo jak do gazów stosuje się to prawo (zawsze w pewnych granicach temperatury), tém bardziéj od niego odstępują, tém silniéj się kurczą, im bliżéj są temperatury, w któréj para się skrapla. Wnoszono więc stąd, że gdyby gazy kurczyły się w nizkich temperaturach silniéj niż każe powyższe prawo, to fakt ten dowodził-by, iż gazy są także tylko parami i że mają jakiś, choćby nie dający się przy znanych wtedy środkach otrzymać, punkt skroplenia.

Liczny szereg prac doświadczalnych, podłożył grunt realny pod te wywody.

Przedewszystkiém skroplono znaczną liczbę gazów, inaczéj mówiąc, otrzymano przez oziębienie i ciśnienie ciecze z ciał, które do owego czasu istniały dla nas tylko jako ciała lotne.

Colladon w r. 1828 zaczął skraplać gazy w rurce bardzo cienkiéj o grubych ścianach zagiętéj w końcu w postaci przewróconéj litery U, i oziębionéj za pomocą mieszaniny oziębiającéj. Do rurki téj wtłaczał pod wielkiém ciśnieniem, za pomocą prasy hidraulicznéj gaz, który chciał skroplić.

Przyrząd jego bardzo prosty, tak jak cel, do którego miał służyć, wznowiony został w ostatnich czasach i posłużył do ostatecznego skroplenia gazów.

IV.

Ważniejsze, zarówno pod względem teoretycznym i praktycznym, były na tém polu prace genialnego Faraday'a. Skroplił on przy temperaturze nie bardzo różniącéj się od temperatury topniejącego lodu i pod ciśnieniem co najwyżéj 40 atmosfer siarkowodór, chlorowodór, tlenek azotu, kwas węglany, etylen i inne gazy najbardziéj odstępujące od prawa Mariotta. Przekonany, że i pozostałe gazy powinny się dać skroplić przy niższéj temperaturze, używał do oziębiania mieszaniny, złożonéj z zamienionego na ciało stałe kwasu węglanego i eteru, *któréj parowanie powiększał wypompowywaniem powietrza za pomocą machiny pneumatycznéj.* Wiadomo bowiem, iż im parowanie jest silniejsze, tém silniéj oziębia się ciało ulatniające się, a więc i na-

czynie, w którém ono jest zawarte. Tym sposobem zniżał on temperaturę mniéj więcéj do—110°C. Jednakże nie mógł skroplić kilku gazów, jako to: wodoru, tlenu, azotu, gazu błotnego (formenu) i tlenku węgla. Przyczynę zaś nieudania się tych usiłowań widział Faraday w niedość niskiéj temperaturze. Zobaczymy potém, iż pogląd jego był najzupełniéj słusznym. Na zasadzie tego i licznych genialnych odkryć, które Faraday poczynił w innych działach fizyki, mamy prawo przypuszczać, iż gdyby wyłącznie daléj na tém polu pracował, to z wszelkiém prawdopodobieństwem udałoby mu się skroplić i owe oporne gazy.

Mało jednak uwagi zwrócono na to zdanie Faraday'a i Natterer starał się skraplać gazy przeważnie za pomocą wysokiego cieśnienia. Wywarł on na tlen ciśnienia 1354 atmosfer a na wodór około 2800. Gazy te jednak nie skropliły się. Zobaczymy później, że dla tego skroplić się nie mogły iż Natterer wyszedł z fałszywego założenia.

Ostateczne jednak rezultaty Faraday'a i Natterera sprawiły to, że już zrezygnowano ze skroplenia owych pięciu gazów, które nazwano, dla odróżnienia od dających się skroplić, trwałemi, doskonałemi i niektórzy sądzili, że doświadczenia, wykazujące uchylanie się tych gazów od prawa Mariotte'a były nie ścisłe. Lecz przypuszczenia takie wobec klasycznych, nieporównanych prac Regnault'a były zupełnie nie uzasadnione i po nich tylko przesadni zwolennicy ścisłéj klasyfikacyi wierzyli w 5 gazów doskonałych. Inni, opierając się na wynikach prac Regnault'a, oraz na rozumowaniu, że żadne ciało ważkie, nie może być zupełnie pozbawione siły skupienia, uważali skroplenie gazów stałych tylko za kwestyę czasu, za kwestyę spotęgowania środków, mogących usunąć czynniki, przeszkadzające objawieniu się téj siły.

V.

Po Faraday'u i Nattererze, fizycy odstraszeni trudnościami nie brali się do pracy, do któréj widocznie nowych sposobów użyć potrzeba było. Tymczasem jednak rozwijała się nauka w rozmaitych kierunkach. Rozwijała się i ustalała teorya gazów, teorya ciepła dosięgła wysokiego stopnia rozwoju, chemia pozyskała nowe środki, technika spotężniała i stała się podatniejszą. Jednêm słowem, dla nauki powstał prawie nowy okres po epoce, do któréj się odnoszą powyższe prace Faraday'a, Natterera i Regnault'a.

Najważniejszym z tych postępów było doskonałe obrobienie teoryi mechanicznéj ciepła i będącéj z nią w związku teoryi mecha-

nicznéj budowy gazów. One to przygotowały grunt do jasnego spojrzenia na naturę kwestyi skroplenia gazów trwałych.

Według teoryi mechanicznéj budowy gazów, ciała lotne składają się z cząsteczek obdarzonych bardzo szybkim ruchem. Są one doskonale sprężyste i latają we wszystkich kierunkach. Uderzając o ściany naczynia, sprawiają ciśnienie. Jeśli wywieramy na gaz ciśnienie, tj. zbliżamy jego cząsteczki, to skupiamy je w przestrzeni dwa, trzy razy mniejszéj, a zatém sprawiamy, że podwójna, potrójna itd. ilość cząsteczek uderza na tę samą powierzchnię naczynia niż poprzednio, w skutek czego parcie gazu na naczynie wzrasta podwójnie, potrójnie (prawo Mariotte'a). Daléj, przy ściskaniu gazu w rurce tłok prędko się poruszający nadaje cząstkom gazu pewien impuls i prędkość ich wzrasta. Ruch ten, ta dodana „siła żywa", nie mogąca się pojawić jako mechaniczna praca, według ogólnéj zasady, zamienia się na ciepło. Przeciwnie, jeśli mamy gaz ściśniony w rurze pod tłokiem i zwolnimy nagle ciśnienie tłoka, tak, że gaz rozszerzając się, wysunie tłok, to na tę pracę mechaniczną gaz musi zużyć część swéj siły żywéj, a stąd nastąpi równoważne téj stracie obniżenie temperatury gazu.

Zobaczymy późniéj, jakie to ma zastosowanie do skraplania gazów. Zaznaczymy teraz tylko, iż teoryę tę zawdzięczamy Bernonouilli'emu, Joule'owi, Mayer'owi, Helmholtz'owi, Clausius'owi i innym, i przejdziemy do niezmiernie ważnego szczegółu, do odkrycia, „punktu krytycznego" gazów.

Zasługa odkrycia tego należy do Andrews'a (1873). Uczony ten, mając na celu porównawcze zbadanie gęstości cieczy i gazu przy jednéj temperaturze, tj. właśnie w téj temperaturze, w któréj ciecz zamienia się na parę, odkrył, że dla każdéj cieczy istnieje pewna dana, właściwa jéj temperatura, przy któréj ciecz ta nie może pozostać w stanie ciekłym, lecz zamienia się na parę, bez względu na to jak wysokie będzie ciśnienie działające na nią. Inaczéj mówiąc, dla każdego gatunku par i gazów istnieje pewna specyalna granica temperatury, powyżéj któréj żadne ciśnienie ich nie skropli.

Tę granicę temperatury, powyżéj któréj ciało lotne nie da się skroplić, nazwano „punktem krytycznym."

To nam tłómaczy, dla czego usiłowania Natterera nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Wychodząc ze słusznéj zasady, że dla skroplenia gazu trzeba cząstki gazu zbliżyć do siebie, uciekał się on, jakeśmy powiedzieli, do olbrzymich ciśnień. Lecz nie uwzględnił późniéj dopiero wyjaśnionego faktu, że przez ciśnienie powiększamy siłę żywą cząstek gazu, która rośnie wraz z ciśnieniem i pomimo wzajemnego zbliżenia cząstek nie pozwala im się skupiać ja-

ko ciecz. Odkrycie Andrews'a jest więc jakby wynikiem teoryi gazów: wykazuje ono, że za pomocą zniżenia temperatury potrzeba koniecznie zmniejszyć siłę żywą cząsteczek, aby skupienie się ich na ciecz mogło nastąpić pod wpływem ciśnienia.

Andrews badania swe przeprowadzał na gazach łatwo dających się skroplić. Oczywistą jednak jest rzeczą, że to prawo stosować się musi i do „gazów trwałych." Wniosek więc łatwy, że dla skroplenia gazów trwałych potrzeba iść za wskazówką Faraday'a, to jest trzeba przedewszystkiém starać o otrzymanie jak najniższéj temperatury i dopiero w niéj probować rozmaitych ciśnień.

Widzimy więc, że po pracach Andrews'a, droga do skroplenia gazów była zupełnie wytknięta. Punkt ciężkości kwestyi przeniesiony został na kwestyę otrzymania temperatur niższych od dotychczas otrzymanych. O możliwości zaś téj nikt chyba nie mógł wątpić.

Przekonywamy się zatém, iż Mariotte a następnie uczeni sprawdzający jego prawa, a wreszcie Faraday i Andrews przygotowali dostateczny grunt do skroplenia gazów. Zachodzi teraz pytanie, czy nauka wskazywała środki otrzymania niższych temperatur, czy téż uczony, który by chciał pracować nad zgęszczeniem gazów, musiałby sam odkryć ciała i sposoby dające nadzieję otrzymania niższych temperatur. Musimy się nad tym przedmiotem bliżéj zastanowić.

VI.

Oddawna już każdy podręcznik fizyki głosi, iż ciecz zamieniając się na parę oziębia się. Pochodzi to ztąd, że cząstki pary otrzymują swą siłą żywą, kosztem ciepła cieczy parującéj. Oziębienie to tém jest znaczniejsze im dana ciecz wrze w niższéj temperaturze. I tak eter wrze w niższéj temperaturze niż alkohol i dla tego téż w palcu zmoczonym eterem uczuwamy większe zimno niż wtedy, gdy na skórze naszéj ulatnia się alkohol. Daléj oziębienie jest tém znaczniejsze dla danéj cieczy parującéj, im pod niższém ciśnieniem ona paruje. I tak eter parujący pod $\frac{1}{2}$, $\frac{1}{4}$ $\frac{1}{10}$ itd. częścią ciśnienia atmosferycznego będzie wrzał w coraz niższéj temperaturze i będzie sprawiał coraz większe oziębienie w porównaniu z oziębieniem przy ciśnieniu 1 atmosfery.

Są to rzeczy tak proste i tak znane, że gdybyśmy zażądali od któregokolwiek nie z wielkich uczonych, ale każdego nauczyciela fizyki, recepty na otrzymanie najniższéj temperatury, to bezwarunkowo powiedział by: weź ciecz (znaną) wrzącą w najniższéj tempe-

raturze, i pozwól jéj się ulotnić przy najniższém, jakie możesz otrzymać, ciśnieniem.

Gdyby zaś kto postawił pytanie, w jaki sposób można ściśnięty i oziębiony do ostatnich granic gaz, jeszcze bardziéj oziębić, to każdy fizyk powiedziałby mu, że trzeba nagle zwolnić ciśnienie.

Kwestye te tak były omawiane w rozmaitych pracach i artykułach popularnych, traktujących o teoryi mechanicznéj ciepła i gazów, że nikt chyba nie zarzuci nam, iż tylko dla tego możemy teraz tak mówić o tych środkach, ponieważ zostały już zastosowane.

Dodać jednak należy, że rozumowanie to wcale nie przesądza skuteczności tych środków w określonym celu. Chcemy tu tylko to powiedzieć, że gdyby zażądano od jednego z tysiąca fizyków podania możliwych przy obecnym stanie nauki sposobów oziębienia gazu, to podałby on bezwątpienia środki powyższe.

Zachodzi teraz pytanie, jakie to są mianowicie pewne ciała o niskim punkcie wrzenia. Weźmy tabliczkę gazów skroplonych, ułożoną na zasadzie badań Faraday'a:

Kwas siark.	skroplić się daje przy—$1^{\circ},1$ ciepła pod ciśn.	1,0	atmos.
Siarkowodór	„ „ „ „ „ „ „	9,9	„
Chlorowodór	„ „ „ „ „ „ „	25,3	„
Tlenek azotu	„ „ „ „ „ „ „	31,1	„
Kwas węglany	„ „ „ „ „ „ „	37,2	„
Etylen	„ „ „ „ „ „ „	42,5	„

Tabliczka ta pokazuje nam, że aby przy temperaturze $1^{\circ},1$ C. skroplić wymienione gazy potrzeba użyć dla kwasu siarkowego ciśnienia 1 atmosfery, dla siarkowodoru około 10 atmosfer itd. Jednocześnie cyfry te oznaczają, że skroplony kwas siarkowy wrze przy temp. $1^{\circ},1$ przy zwykłém ciśnieniu powietrza, siarkowodór przy dziesięć razy większém itd. Jeślibyśmy zaś pomieścili wszystkie te ciecze (gazy skroplone) pod jedném i tém samém ciśnieniem, to okazałoby się naturalnie, iż gaz wrze w temperaturze tém niższéj, im większego ciśnienia trzeba było użyć do jego skroplenia w temperaturze $1,^{0}1$. I tak, gdybyśmy przyjęli, iż wszystkie te ciecze znajdują się pod ciśnieniem około 9 atmosfer, to etylen wrzałby już przy temperaturze około 70 stopni zimna, kwas węglany dopiero w wyższéj a mianowicie około 50 stopniach zimna, tlenek azotu potrzebowałyby jeszcze wyższéj temperatury około—40, kwas solny—30, siarkowodór wrzałby przy kilku tylko stopniach zimna, aby zaś kwas siarkawy pod tém ciśnieniem doprowadzić do wrzenia, to trzebaby ogrzać go do kilkudziesięciu stopni ciepła.

Tabliczka téżta, ułożona na zasadzie badań Faraday'a, okazuje, że parując siarkowodór ciekły przy zwyczajném ciśnieniu atmosferyczném, otrzymamy temperaturę niższą, niż gdybyśmy w tych warunkach parowali kwas siarkawy, że ulatniający się kwas solny da oziębienie większe niż siarkowodór, tlenek azotu większe niż kwas solny, kwas węglany większe niż tlenek azotu, a wreszcie etylen większe niż kwas węglany. Wreszcie jasną i powszechnie znaną było rzeczą, że te punkta wrzenia, będą tém niższe, a zatém i oziębienie wskutek parowania tém większe, im pod niższém ciśnieniem będą te ciecze wrzały, a naturalnie najniższym będzie dla każdéj punkt wrzenia, a więc i sprawiane oziębienie,—w próżni.

VII.

Przy takim stanie rzeczy rozpoczęli swe prace pp. Pictet i Cailletet.

Pictet przygotowywał ciekły kwas siarkawy i przez parowanie go przy małém ciśnieniu otrzymywał ciekły kwas węglany, który parując znowu pod zmniejszoném za pomocą pompy pneumatycznéj ciśnieniem, oziębiał rurkę miedzianą zawierającą tlen, który chciał skroplić. Tlen ten był pod ciśnieniem okoko 500 atmosfer.

Gdy cała maszynerya była w należytym ruchu, Pictet otwierał kran od rurki zawierającéj tlen. Wskutek tego tlen znalazł się nagle pod ciśnieniem 1 atmosfery. Rozszerzając się nagle wskutek tego, musiał zużyć na pracę mechaniczną tego rozszerzenia pewną ilość ciepła, którego i tak już mało posiadał, będąc oziębiony kwasem węglanym. Nastąpiło więc jeszcze znaczniejsze obniżenie temperatury i tlen wytrysnął z rurki jako biały pędzel ciekły. Zjawisko to trwało tylko parę sekund, poczem wydzielać się zaczął gaz. Wniesiono także, iż w środku pędzla tlen zamienił się na ciało stałe podobne do śniegu. Ani jednak ciekłego ani stałego tlenu nie można było w tych warunkach zbadać należycie. O istnieniu tych stanów wyprowadzono raczéj pośredni wniosek.

Gdy p. Pictet używał do swego doświadczenia aparatów prawdziwie fabrycznych, p. Cailletet wykonał swą pracę przy pomocy narzędzia, że tak powiemy laboratoryjnego. Aby módz patrzéć na proces skraplania uciekł się do rurek szklannych o grubych ściankach. Wtłoczywszy do takiéj rurki tlennik azotu lub gaz błotny, tlen, azot pod ciśnieniem 300 atmosfer i oziębiwszy je kwasem siarkawym do—29 stopni, zwalniał nagle ciśnienie. Wtedy gazy oziębione rozszerzając się gwałtownie, jeszcze bardziéj się oziębiały

i w rurce pokazywała się mgła, dowodząca, że te gazy przyjęły stan kroplisty.

Więc pp. Pictet i Cailletet udało się stwierdzenie możliwości skraplania gazów trwałych za pomocą środków dyktowanych przez naukę i powszechnie znanych. Okoliczność ta w niczém nie zmniejsza ich zasługi, choć nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że każdy inny fizyk, któryby się wziął do skraplania gazów w tym czasie, użyłby tych samych środków. Pp. Cailletet i Pictet należy się uznanie ducha inicyatywy, trzeźwego spojrzenia na kwestyę i energii, nie cofającéj się przed koniecznością wielkich nakładów i wielkiéj pracy. Jeżeli zaś o tém wspominamy, to tylko dla zaznaczenia, że zastosowanie do otrzymywania nizkich temperatur cieczy wrzących przy niskich temperaturach pod zmniejszoném ciśnieniem, oraz oziębianie gazów przez nagłe rozszerzenie nie jest pomysłem tych zasłużonych wynalazców i dla tego też p. Jamin nie może z tego tytułu rezerwować prawa monopolu dla p. Cailleteta i nazywać innych, którzy po p. Cailletet używali tych środków, uzurpatorami.

Pp. Pictet i Cailletet *okazali tedy pierwsi doświadczalnie możliwość skraplania gazów* trwałych a pomiędzy niemi tlenu, i zaszczyt tego odkrycia pozostawi im wiecznie nauka, bez względu na to, że już dawniéj miewano podobne pomysły, że wynalazcy ci używali środków bardzo popularnych, że używali przyrządów, które w znacznéj części były już dawniéj znane i używane. Tém większy dla nich zaszczyt, iż środkami znanemi osiągnęli to, co było nieznaném i co innych odstraszało trudnościami.

Toż samo prawo chcielibyśmy zarezerwować dla pana Wróblewskiego.

Zanim jednak przystąpimy do przedstawienia pracy p. Wróblewskiego, musimy zwrócić uwagę czytelnika na to, iż odkrycie uczonych francuskich mogło być uważane tylko za początek skraplania nie zaś za samo skroplenie tlenu tj. otrzymanie go w postaci cieczy. Ten pędzel, o którego ciekłości lub stałości wnosi się tylko pośrednio, ta mgła a raczéj tak nazwana przez odkrywcę, „ebullition tumultueuse,“ którą widział p. Cailletet, to jeszcze nie ciecz, która ma widoczną granicę, którą mamy w ręku i któréj własności możemy oznaczyć. To momentalne przelotne zjawisko, to tylko dowód możliwości. Pozostało więc do otrzymania z tlenu cieczy takiéj, która się tak odznacza w rurce jak się odznaczają inne ciecze nam znane, i któraby dała się tak długo utrzymać, aby stanowiła materyał gotowy do badania rozlicznych jéj własności.

Na tę potrzebę zwrócili uwagę zaraz po ogłoszeniu prac p. Picteta i Cailleta, Jamin i Berthelot i wszyscy zresztą uczeni. Pierw-

szy z nich powiedział: Ostateczne doświadczenie trzeba jeszcze wykonać, trzeba tlen utrzymać ciekłym przy punkcie wrzenia. Berthelot zaś wyraził się, że z doświadczeń Cailletet'a „nic więcéj wnieść nie można, przynajmniéj dopóty, dopóki nie uda się jakiemu uczonemu, za wskazówką obecnych spostrzeżeń, otrzymać trwałe i dające się obserwować ciecze w stanie statycznym, co się jeszcze nikomu nie udało otrzymać z gazów najprzód przez p. Cailletet'a, że tak powiem, skroplonych w stanie dynamicznym, które się pod okiem obserwatora tworzą i natychmiast znowu znikają."

Otóż ten pożądany rezultat otrzymał nie p. Cailletet, rozporządzający swą nauką, metodą nabytą, aparatami i wielkim majątkiem, ale p. Wróblewski.

P. Cailletet jednak nie porzucił pracy, tak pięknie rozpoczętéj. Usiłował on właśnie otrzymać ów ostateczny rezultat. W tym celu rurkę, w któréj tlen skraplał, zgiął tak jak Colladon i oziębiał ją etylenem skroplonym, którego temperatura wrzenia, mierzona przez p. Cailletet'a termometrem z siarkiem węgla, wynosi—105°. Pomimo to jednak, że tlen był ściśnięty przy tém oziębieniu do 150 atmosfer, nie było żadnego śladu skroplenia; dopiero po zwolnieniu ciśnienia pokazała się *„ebullition tumultueuse,"* która trwała przez czas dający się oznaczyć i podobna była do padania kropelek na ścianki rurki. Rozgraniczenia pomiędzy cieczą a gazem Cailletet nie widział i nie wiedział, czy ciecz już przed wrzeniem istniała (preegzystowała), czy też utworzyła się podczas zmniejszenia ciśnienia. W końcu opisu tego doświadczenia, które w 1882 roku ogłosił, Cailletet powiada, że ma nadzieję zniżyć jeszcze bardziéj temperaturę, przy pomocy swych aparatów przez użycie gazów trudniéj jeszcze dających się skroplić niż etylen, a więc wrzących w niższéj temperaturze od tego ostatniego. Widocznie więc sądził, że przy użyciu etylenu daléj się już nie posunie.

Tymczasem p. Wróblewski otrzymał ten pożądany rezultat przez użycie etylenu, od którego już Cailletet odstępował. Zniżył zaś temperaturę jego wrzenia przez zalecone przez Faraday'a, a zastosowane przez Natterera i niedawno przez Pictet'a parowanie gazu skroplonego w próżni.

Aparatem, za pomocą którego dosięgnął celu, była pompa Cailletet'a, odpowiednio zmodyfikowana. Etylen gazowy zgęszczał się najprzód w aparacie Natterera obłożonym lodem z solą, następnie jako ciecz oziębiał się jeszcze przepływając przez wężownicę miedzianą pomieszczoną w naczyniu, zawierającém używaną przez Faraday'a mieszaninę stałego kwasu węglanego i eteru, i spływał obficie do naczynia szklanego, w którém zanurzona była rurka do zgęsz-

czania tlenu. Gdy dostateczna ilość etylenu do tego naczynia napłynęła, łączono go z pompą Bianchi'ego, która zmniejszała ciśnienie do 2,5 centymetra rtęci. Do mierzenia temperatury służył termometr wodorny, dający w tych warunkach pewniejsze wskazówki niż używany przez Cailletet'a termometr z siarkiem węgla, który marznąc przy—110 stopni, pokazuje blisko punktu zamarzania większą ilość stopni. Najniższa temperatura jaką otrzymał Wróblewski, gdy monometr w pompie Bianchi'ego pokazywał 2,5 centym. rtęci, była—136°C i raz tylko spadł termometr do—139°C.

Okazało się, iż przy oziębieniu tlenu do—130 stopni potrzeba tylko ciśnienia 20 atmosfer dla zupełnego skroplenia tlenu, który zbiera się wtedy w ramieniu rurki na dół zgiętéj, jako ciecz przezroczysta, bardzo ruchliwa, bezbarwna, z wyraźną granicą górną, czyli z tak zwanym meniskiem. Po zmniejszeniu ciśnienia, ciecz ta pieni się, ulatnia się na powierzchni, a przy jeszcze mniejszém ciśnieniu wrze w całéj masie.

Otrzymany więc został tlen w prawdziwym stanie ciekłym, a z nim—możność otrzymywania jeszcze niższych temperatur.

Daléj używając powyższych przyrządów i powyższych ciał, p. Wróblewski skroplił jeszcze azot i tlenek węgla.

Gazy te przy—136° i pod ciśnieniem 150 atmosfer nie skraplały się. Gdy nagle uwolnił je p. W. od ciśnienia, pojawiło się gwałtowne wrzenie w azocie i mniéj gwałtowne w tlenku węgla. Co do tych więc gazów, otrzymał p. W. stadyum otrzymane przez p. Cailletet'a dla tlenu. Znalazł jednak sposób, aby i przy téj temperaturze otrzymać z nich ciecze z meniskiem. W następném doświadczeniu nie zwolnił ciśnienia nagle, lecz powoli i zatrzymał to zwalnianie na 50 atmosferach. Wtedy gazy te skraplały się i zajmowały dół rurki z widocznym meniskiem. Gdyby p. Cailletet domyślił się zrobić to samo w ostatniém doświadczeniu z etylenem, parującym pod ciśnieniem jednéj atmosfery, to nie p. Wróblewski, ale on pierwszy otrzymałby tlen ciekły z meniskiem.

Domysł ten, pomiędzy innemi, okazuje nam z jaką teoretyczną świadomością rzeczy i jasnym samodzielnym poglądem pracował p. Wróblewski nad swém zadaniem.

Czy mu wolno było użyć etylenu i pompy Cailleteta?

Na to pytanie odpowiedzieć należy także pytaniem: Czy mu wolno było użyć pompy Natterera i Bianchi'ego, mieszaniny eteru z kwasem węglanym itd. itd?

Mógł użyć i używał do późniejszych doświadczeń, ścislejszych, na większą skalę i głębszych innych aparatów, przy których daleko gładziéj i łatwiéj odbywa się praca. Że użył do pierwszéj roboty zmo-

dyfikowanéj pompy p. Cailletet'a, to nie można mu brać za złe, iż zamiast utrudniać sobie pracę fabrykacyą nowego aparatu, wziął pompę wypróbowaną i sprzedawaną publicznie. W pompie téj zresztą nie ma nic genialnego i nic, coby cechowało indywidualność p. Cailletet'a. Może ktoś zarzuci, iż p. W. zabrał p. C. pomysł systemu rurek szklanych. Taki zarzut doprawdy nie byłby poważnym.

P. Wróblewski, czego mu nikt nie zaprzeczy, jest fizykiem skończonym, z wielką erudycyą, zdolnością i sprytem. Jasno to zobaczymy na dalszéj jego pracy, w któréj cała jego samodzielność się objawi. Zobaczymy téż, czy człowiek, co się żywi cudzemi pomysłami, „szczęśliwy eksploatator pomysłów p. Cailletet," byłby zdolny poczynić tak samodzielne a skuteczne postępy, wyprzedzające znacznie p. Cailletet'a. Doprawdy, przypuszczać, aby fizykowi takiemu jak Wróblewski potrzeba było podpowiedzenia znaczenia etylenu, próżni i pompy zgęszczającéj, jest zarzutem, który tylko zapał „patryotyczny" może usprawiedliwić.

VII.

Napaść p. Jamin'a miałaby za sobą jakieś cechy prawdopodobieństwa, gdyby p. Wróblewski był nie fizykiem lecz rzemieślnikiem, lub gdyby przynajmniéj ni ztąd ni z owąd wziął się do skroplenia gazów. Tymczasem doprowadziła go do tego punktu praca, która mu bardzo zaszczytny rozgłos w świecie naukowym zrobiła.

Powtórzymy tę historyę ze słów samego p. Wróblewskiego opublikowanych w zacytowanéj obronie przeciwko Jamin'owi. Z cytaty téj poznają jednocześnie czytelnicy osobisty stosunek p. Cailletet'a do Wróblewskiego.

„Począwszy od roku 1876, uwaga moja była zwróconą na kwestyę, tyczącą się sposobu pochłaniania gazów przez ciecze i ciała stałe. Trzy są teorye tego objawu: pierwsza, postawiona przez Daltona, została niedawno rozwiniętą w sposób bardzo ciekawy przez jednego ze znakomitszych fizyków austryackich, p. Stefan'a z Wiednia. Według téj teoryi, zjawisko to jest czysto mechaniczném. Gaz pochłonięty tworzy mięszaninę mechaniczną z ciałem pochłaniającém i zachowuje w tym nowym środku wszystkie własności, które go charakteryzują w stanie lotnym. Druga teorya przypuszcza, że gaz pochłonięty pod wpływem ciała pochłaniającego przechodzi w stan ciekły i znajduje się w tém ciele w stanie ciekłym. Teorya ta jest nader rozpowszechnioną w Anglii, gdzie ją podtrzymywał Graham, a jeszcze teraz czytamy w angielskich rozprawach o fizyce i che-

mii, że kiedy wodor przechodzi przez rurkę platynową, rozgrzaną do czerwoności, znajduje się w stanie ciekłym. Wreszcie trzecia teorya, stworzona jeszcze na początku tego wieku przez przeciwników Daltona, uważa zjawiska pochłaniania za czysto chemiczne.

„Ustanowienie praw dyffuzyi gazów w ciałach pochłaniających i publiczna zachęta do tych badań, wygłoszona przez J. Clerk-Maxwell'a doprowadziły mię ostatecznie do badania kwestyi sposobu pochłaniania gazów. Ażeby ją rozwiązać, wybrałem początkowo drogę wskazaną badaniami pp. Exnera i Stefana, mianowicie, badanie objawów pochłaniania za pomocą badania objawów dyffuzyi gazów w ciałach pochłaniających. Ustanowiwszy prawa dyffuzyi gazów w kauczuku, wykazałem, że prawa te w niczém się nie różnią od prawa przechodzenia gazów przez błony porowate nie pochłaniające, zkąd wywnioskowałem, że hipoteza Grahama była fałszywą i że objawy w kauczuku nastąpiły zgodnie z poglądem pp. Daltona i Stefana. Co się tyczy cieczy, byłem tego zdania, że objawy w nich powinny być daleko więcej powikłane, a że zależą one od ciśnienia, zdecydowałem się badać te zjawiska pod silném ciśnieniem i przedłużyć moje badania aż do takiego ciśnienia, pod którém gaz pochłonięty się skropli, gdyż jedynie posuwając badanie aż do takiego ciśnienia można się przekonać, czy teorya Grahama jest prawdziwą, czy nie. Jeżeli ona jest prawdziwą, ciecz powinna się we wszystkich zmięszać stosunkach (tj. bez względu na stosunkową ilość składnika) z gazem skroplonym. Jeżeli jest fałszywą, ciecze te nie powinny się mięszać, a pochłanianie nie powinno przekraczać pewnéj granicy.

Ażeby urzeczywistnić te doświadczenia, wymyśliłem specyalny przyrząd. Potrzebując dobrego mechanika, który by mi zrobił powyższy przyrząd, udałem się na początku kwietnia 1881 r. do Paryża, gdzie znałem z reputacyi p. Ducretet. To, czego od niego żądałem, było zupełnie nowém. W przyrządach pp. Andrews i Cailletet do zgęszczania gazów, używano tylko rurek włoskowatych. Ja żądałem przyrządu, gdzie mógłbym zgęścić gaz w rurkach, mających wewnętrznéj średnicy 15 milimetrów pod ciśnieniem 40 do 50 atmosfer. P. Ducretet, po pewném wahaniu się, zgodził się na zrobienie takiego przyrządu; lecz, ponieważ nie byliśmy pewni powodzenia, potrzebowałem laboratorium, gdzie bym mógł robić próby. Udałem się więc do szkoły normalnéj, z zamiarem proszenia Sainte - Claire-Deville'a o pozwolenie mi robienia prób w jego laboratorium. Bawił jednak wtedy we Włoszech. Zwróciłem się więc do p. Debray, który mi przyrzekł wyjednać pozwolenie p. Sainte-Claire-Deville'a. Postanowiłem tedy powrócić w sierpniu, tj. w tym czasie, kiedy p. Ducretet wykończy mój przyrząd.

Po powrocie moim dowiedziałem się o śmierci Sainte-Claire-Deville'a i jednocześnie o nominacyi p. Debray na dyrektora laboratorium. P. Debray przyjął mnie w sposób nader serdeczny i życzliwy, znany wszystkim, którzy byli z nim w stosunkach. Ażeby zgęścić gaz w moim przyrządzie, potrzebowałem prasy hydraulicznéj, a że w laboratorium p. Debray nie było odpowiedniéj prasy, a nie chciałem narażać laboratorium na koszta, kupiłem więc od p. Ducretet pompę Cailletet'a. O ile się nie mylę, była to 300-tna pompa Cailletet'a dotąd sprzedana. Tak więc ten historyczny egzemplarz, nad kupnem którego tyle się rozpisałem, został obstalowanym i kupionym przezemnie na rok blizko przed przybyciem p. Cailletet do Paryża dla robienia doświadczeń z etylenem.

Zarzucasz mi pan (tj. Jamin), że używałem pompy p. Cailletet, Szczególny zarzut! Pocóż więc ją sprzedają. Gdybym nie miał pompy Cailleteta, kupiłbym inną. Pompa do zgęszczania nie jest wynalaskiem p. Cailletet. Ażeby być logicznym, według pana, należałoby wzbronić wszystkim biologom posługiwania się mikroskopem, nie jest on bowiem ich własnym wynalazkiem.

Kwestya pochłaniania gazów zmusiła mię do opierania moich badań, na ścisłém mierzeniu ilości gazów pod silném ciśnieniem. To było zupełnie nowe zadanie. Dotąd mierzono tylko objętość gazów pod silném ciśnieniem, lecz nigdy ilość. Mierzenie tych ilości wymaga znajomości stosunku między objętością, ciśnieniem i temperaturą gazu. Stosunek ten jest dobrze znanym, dzięki doświadczeniom p. Andrews, jedynie dla kwasu węglanego i dla tego téż rozpocząłem moje badania od tego gazu. Z cieczy wybrałem wodę.

Doświadczenie dało mi odpowiedź, któréj szukałem. Kwas węglany skroplony nie mięszał się z wodą. Pochłanianie nie przekroczyło pewnéj granicy, a nasycając wodę kwasem węglanym pod silném ciśnieniem przy niskiéj temperaturze, otrzymałem wodan kwasu węglanego (1). Kwestya więc, w tym szczególnym wypadku, została rozwiązaną na korzyść teoryi chemicznéj.

Odkrycie to miało w Paryżu dużo rozgłosu. Przypuszczano, że skład tego wodanu odpowiada formule: $CO_2 + H_2O$.

Przemowa p. Debray, który na posiedzeniu d. 30 stycznia 1882 r. przedstawił moją pracę akademii, była nadzwyczaj gorącą. Wurtz winszował mi, a p. Troost prosił mię o powtórzenie tych doświadczeń podczas jego wykładów w Sorbonnie, w sali, gdzie pan odbywa swoje

(1) Odkrycie to stanowi wielką zasługę p. Wróblewskiego. Wszyscy mu ją przyznają.

wykłady i przed publicznością, która pana słucha. Zapraszano mię również, żeby je powtórzyć w Towarzystwie Fizycznem.

Jeżeli wobec tego wszystkiego i wobec całego szeregu artykułów, które ogłosiłem w „Comptes rendus", tyczących się składu wodanu kwasu węglanego, rozpuszczalności kwasu węglanego w wodzie pod silnem ciśnieniem i stosunku, jaki zachodzi między objawami włoskowatości i rozpuszczalności gazów w cieczach, nazywasz mię pan człowiekiem nieznanym, nie mogę być odpowiedzialnym za nieuwagę, z jaką musiałeś czytać sprawozdania akademii, której wkrótce zostałeś dożywotnim sekretarzem".

W dalszym ciągu p. Wróblewski wspomina, że w tydzień po ogłoszeniu jego pracy o wodanie kwasu węglanego, tj. w lutym roku 1882 przybył do Paryża p. Cailletet z nową pompą dla czynienia doświadczeń z etylenem, ale dowiedziawszy się o rezultatach przez p. Wróblewskiego otrzymanych, zamiast zająć się tlenem, rzucił się do badań nad innemi wodanami gazów. Rezultatem tych poszukiwań zbyt szybkich i dorywczych, bez naukowej metody prowadzonych, było wynalezienie wodanu fosforowodoru i kilku innych ciał, których charakteru p. C. nie mógł oznaczyć. Stąd widać—powiada p. W.,—jakie to można było zwierzenia od p. C. otrzymać.

Swoją drogą przyznaje p. Wróblewski Cailletetowi wielką zasługę, że pierwszy użył etylenu jako środka oziębiającego, chociaż pierwszy pomysł tego nie do niego należy. Jamin nazwał Cailleteta „nie uczonym z profesyi, lecz raczej ciekawym", a p. W. sądzi, że jego największą zasługą jest to, że posiadając znaczny majątek, stara się być użytecznym nauce. Jednakże nie znając metody naukowej, nie umiał skorzystać ze środka tak silnego. Otrzymał tylko kilka centymetrów sześciennych etylenu, który parował pod ciśnieniem atmosferycznem. Cała technika jego była wadliwą, o czem łatwo się przekonać, porównawszy sprawozdanie z nieudatnego doświadczenia Cailletet'a, ze sprawozdaniem p. Wróblewskiego o skraplaniu tlenu, a szczególniej „o użyciu skroplonego tlenu, azotu, itd., jako środków oziębiających". Różnice techniczne są pomiędzy obu doświadczeniami ogromne, a właśnie od techniki zależał tu pomyślny rezultat.

Rzecz widoczna, że p. C. nie mógł skroplić tlenu etylenem wrzącym pod ciśnieniem atmosferycznem, bo temperatura ta jest aż 15 stopni wyższą od temperatury krytycznej tlenu. Tylko po nagłem zwolnieniu ciśnienia zobaczył „une ebullition tumultueuse, qui persiste pendant un temps appréciable, et ressemble à la projection d'un liquide dans la partie du tube refroidi" (wrzenie gwałtowne, któ-

re trwa przez czas, dający się określić, i podobne do rzutu cieczy w oziębionéj części rurki). A jednak, jak to już wyżéj wspomnieliśmy, był środek skroplenia tlenu, nawet za pomocą etylenu, wrzącego przy ciśnieniu atmosferyczném: środek tak prosty jak jajko Kolumba: trzeba było po ściśnięciu gazu do 150 atmosfer zwolnić nagle ciśnienie, *ale zatrzymać je nakoniec na 30 do 40 atmosferach.* Pan Cailletet nie umiał znaleść tego sposobu, dyktowanego przez mechaniczną teoryą gazów, ale znalazł go p. Wróblewski dla pierwszego skroplenia azotu i tlenku węgla. Otrzymał je w postaci płynów statycznych, oziębiwszy do 136° i zatrzymawszy rozszerzenie przy pewném ciśnieniu. P. C. użył tej metody po niewczasie, gdy już praca p. W. nad tlenem, azotem i tlenkiem węgla była ogłoszona. Któż więc komu mógł udzielać naukowych zwierzeń?

Co się tyczy zastosowania próżni do obniżenia temperatury, to jest to jeden z faktów najelementarniejszych, zastosowany zresztą do skraplania gazów przez Faraday'a, Natterera i Pictet'a. Czemuż więc nie im lecz Cailletet'owi przypisywać prawo do tego pomysłu?

P. Jamin twierdzi, że p. C. miał zamiar zastosować parowanie w próżni. Zamiar nie dowodził-by jeszcze niczego, témbardziéj, że nie ma na to żadnego dowodu. Przedstawiając swą notę o nieudatném doświadczeniu z etylenem d. 1 maja 1882 r., p. C. mówi tylko: „spodziewam się, iż zagęszczając aparatami mojemi gazy, trudniéj dające się skraplać niż etylen, zdołam jeszcze obniżyć granicę tego wielkiego zimna“. Widocznie nie wiele spodziewał się od etylenu, kiedy chciał użyć środka bardziéj skomplikowanego. W lipcu tegoż roku zawiózł swe aparaty do Chatillon, gdzie również nie czynił doświadczeń z etylenem w próżni, a w liście zapieczętowanym, który kazał przeczytać w akademii 4 sierpnia 1884, wspomina także tylko o tém, że spodziewa się otrzymać niższe temperatury przez wrzenie etylenu i formenu pod ciśnieniem atmosferyczném. Podobnież w rozprawie bardzo szczegółowéj o użyciu etylenu nie ma żadnéj wskazówki, aby myślał o parowaniu etylenu w próżni. Wreszcie, gdy w akademii czytano 16 kwietnia 1883 r. depeszę p. Wróblewskiego, p. Cailletet nazwał jego pracę „bardzo interesującą i godną uwagi“, prosząc akademią, aby w sprawozdaniu wspomniano o jego pracach, przy czém nie powiedział ani słowa o etylenie w próżni. Uczynił-by to chyba, gdyby jakiś pomysł powierzył p. Wróblewskiemu.

Rok cały upłynął między ogłoszeniem doświadczeń Cailleteta z etylenem a skropleniem tlenu przez p. W. Nie można przypuścić, aby przez ten czas p. C. nie starał się urzeczywistnić swego pomysłu. Czy więc to dowodzi, iż więcéj wiedział i lepiéj umiał patrzéć

na zadanie niż p. W., który dla swéj pracy miałby się żywić jego zwierzeniami? Co więcéj, nawet w kilka miesięcy po doniesieniu p. Wróblewskiego, Cailletet nie mógł przeprowadzić tlenu w stan cieczy statycznéj....

Przypuśćmy, że trzeba było doświadczenia Cailletet'a dla nauczenia p. W. użycia etylenu. Jeżeli jednak nikt nie weźmie za złe p. W., iż nauczył się z prac Faraday'a Natterera i Pictet'a zastosowania próżni, to chyba téż nie będzie nikt uważał z p. Jaminem za „deprawacyę obyczajów“ tego, iż skorzystał z publikowanéj pracy p. Cailletet'a. Inaczéj, należało-by potępić wszystkich tych, którzy pobudzeni jakąś pracą poprzedników, czynili nowe wynalazki i odkrycia. P. Wróblewski nie podziela tego zdania i wprost przyznaje, iż wiele a wiele korzystał z prac nie tylko poprzedników pp. Cailletet'a i Pictet'a i ich samych, ale jeszcze wielu innych uczonych, pracujących późniéj nad tym przedmiotem, jako to Amagat'a, Sarrau i innych, i bezwątpienia w pracach jego znaleźlibyśmy niejeden czynnik, będący zasługą tych ostatnich. Więc p. Wróblewskiemu nie możnaby nic zarzucić, nawet w takim razie, gdyby pomysł użycia etylenu wziął od Cailletet'a. Zaszczytną zaprawdę byłaby podobna pożyczka dla podobnego rezultatu. Lecz jakieśmy to już kilkakrotnie zaznaczyli, zbyt śmiałéj potrzeba hipotezy na takie przypuszczenie. Upoważnić-by mogły jedynie do niego fakta, dowodzące, że p. Wróblewski nie zna fizyki i nie umié się oryentować. Ale w takim razie, równém prawem możnaby mu zarzucić, że dowiedział się od p. Cailletet'a, iż do skroplenia gazów potrzeba nizkiéj temperatury i ciśnienia! Jedném słowem, jeśli się dobadywać będziemy pochodzenia wiadomości powszechnie znanych u fizyka téj miary, co p. Wróblewski, to wejdziemy na drogę jeszcze delikatniejszą niż kwestya pierwszeństwa, bo na drogę... absurdów.

Przytoczywszy ten cały materyał faktyczny, z którego słuszność sprawy p. Wróblewskiego jasno się okazuje, rozbierzmy jeszcze wartość moralną postąpienia p. Jamina. względem naszego rodaka. Fakta, które nam do tego posłużą, zaczerpniemy wyłącznie ze źródeł francuskich, które ma w ręku p. W.

P. Jamin nazwał p. W. „człowiekiem dotychczas nieznanym“, szczęśliwym eksploatatorem cudzego pomysłu“, „który nic nie wynalazł“ i „którego postępek został nieprzychylnie osądzony we Francyi“.

Tymczasem p. Cailletet pisze do p. W.: „P. Debray zawiadamia mnie, iż udało się panu skroplić tlen w sposób zupełny (d'une maniére complète). Jestem szczęśliwy z powodu téj dobréj nowiny i przesyłam panu szczere powinszowanie.... W każdym razie jestem

bardzo rad pańskiemu powodzeniu... *Będę jeszcze więcéj szczęśliwy*, jeśli się dowiem, że udała się panu robota *przy pomocy aparatów podobnych do moich*".

Ważniejsze są jeszcze oświadczenia znakomitego uczonego Debray:

„Pańskie doniesienia o tlenie, azocie i tlenku węgla żywo zainteresowały akademię i szkołę normalną. *Żałowaliśmy wprawdzie trochę, że te doświadczenia, tak interesujące, nie zostały zrobione przez p. Cailletet'a w naszém laboratoryum; ale nasz przyjaciel* (*Cailletet*) *nie ma cierpliwości i wytrwałości, którą pan okazuje przy wszystkich swych pracach. Ma on umysł bardzo sprytny* (*ingénieux*), *lecz brak mu metody naukowéj*, bez któréj postąpić naprzód nie można.

„Trzeba teraz, żebyś pan oznaczył gęstość tlenu ciekłego..... Praca to delikatna, ale nie przechodzi środków pańskiego talentu."

Wreszcie po nadesłaniu przez p. Wróblewskiego wiadomości o temperaturze, otrzymywanéj przy pomocy wrzącego tlenu, p. Debray pisał.

„Pańskie doniesienie było czytane wczoraj w akademii i *uzyskało najżywsze uznanie* (le plus vif succès). Jest to zresztą uznanie dobrze zasłużone. We wszystkich badaniach dajesz pan dowody wielkiéj zręczności i godnéj uwagi konsekwentości. Winszuję tego panu szczerze."

Co się zaś tyczy Dumas'a, to po skropleniu tlenu telegrafował Debray do p. Wróblewskiego:

„Powinszowanie ode mnie i od Dumasa."

Było to zresztą głosem ogółu. Tak téż pisały i gazety. Wojna rozpoczęła się dopiero wtedy, gdy p. Wróblewski okazał szeregiem swych prac, iż na każdym punkcie wyprzedza p. Cailletet'a, i że jeżeli go już teraz nie zaćmił, to wkrótce go zaćmi. P. Wróblewski nietylko dążył szybkim i pewnym krokiem, ale jeszcze ślady swych kroków rył głęboko w granicie historyi, prostując dokładnemi danemi niewyraźne i chwiejne doniesienia Cailletet'a. Tak np. było z formenem.

P. Cailletet proponował Wróblewskiemu, aby przez rok pracował z nim razem. Uczony nasz odmówił swego współpracownictwa...

Nastąpiła nareszcie chwila przyznania nagrody Lacaze'a i weszła na stół ślizka kwestya pierwszeństwa. P. Wróblewski nie miał do niéj pretensyi. Lecz uczeni francuzcy musieli stoczyć walkę z samymi sobą i dla rozcięcia węzła gordyjskiego wpadli w rozdrażnienie, nie licujące z powagą nauki, które wywołało patrzenie na prace Wróblewskiego przez okulary patryotyzmu i które tylko zaszczyt przynosi p. Wróblewskiemu. Gdyby było niewątpliwem, że nagro-

dę Lacaze'a należy przyznać Cailletet'owi, nie byłoby też rozdrażnienia.

A zaprawdę trudność była wielka.

P. Cailletet wprawdzie pierwszy wykazał doświadczalnie możliwość skroplenia tlenu, lecz p. Wróblewski oświadczył, że pierwszy raz tlen w stanie statycznym otrzymał Pictet. Sam zaś pan Wróblewski poczynił takie postępy na polu skroplenia gazów, iż obec nich możnaby się zrzec prac Cailletet'a i Pictet'a, gdy tymczasem na odwrotne twierdzenie niktby nie przystał.

Więc autor odkrycia, o którém mówi sam p. Jamin, że było nie znane aż do otrzymania depeszy od p. Wróblewskiego,—więc ten, któremu się udało „otrzymać szczęśliwy rezultat, będący ostatniém słowem długiego szeregu prób płonnych i uwieńczeniem budynku rozpoczętego,“—więc ten, który pierwszy otrzymał największy stopień zimna,—(1) więc odkrywca wodanu kwasu węglanego i pracy nad prawami włoskowatości i dyffuzyi gazów,—więc fizyk skończony, którego pomysłowość, prostotę, ścisłość i szerokość poglądu, technikę w doświadczeniach każdy musi podziwiać,—więc, jedném słowem, ten, co pierwszy pokazał światu tlen i azot jak wodę w rurce i opracował wzorowo metodę skraplania gazów tak, że się stała dostępną dla każdego.—ten który mnóstwo danych naukowych, niedających się porównać z liczbą faktów, odkrytych przez p. Cailletet'a, ogłosił,—ten fizyk wielkiéj nauki, jasnego poglądu i przenikliwego sprytu musiał zostać „robotnikiem“ „eksploatującym sposoby działania p. Cailletet'a,“ a to dla tego „żeby nie pozostawić w wątpliwości świata uczonego, kto jest prawdziwym autorem odkrycia.“

Ale możnaby p. Jamin'owi powiedzieć „pas trop de zèle!“ Zbyt heroiczne lekarstwo zostało użyte dla oczyszczenia drogi p. Cailletet. Ten zapał, który aż metę przesadzić przymusił, okazuje najlepiéj, iż owa „wątpliwość“ nieladajakiéj jest potęgi. Szkoda więc téj straconéj napróżno energii, która stanu kwestyi bynajmniéj nie poprawia. Przeciwnie, trochę mniéj gorączki patryotycznéj i czynników osobistych sympatyi pozwoliłoby całą sprawę dosyć gładko poprowadzić.

P. Cailletet był *pierwszym*, który wykazał możliwość skroplenia tlenu—jemu więc należy się nagroda pierwszeństwa, choć właściwie

---

(1) W następnych doświadczeniach za pomocą wrzącego azotu w próżni (w temperaturze jego krzepnięcia) p. Wróblewski otrzymał temperaturę około—210 stopni, przy któréj, pod ciśnieniem 180—190 atmosfer otrzymał skroplony wodór w postaci pieniącéj się cieczy.

Pictet pierwszy otrzymał tlen w postaci cieczy statycznéj, a Wróblewski dopiero stworzył prawdziwą metodę przemiany gazów trwałych w ciecze, stał się ostatecznym zdobywcą oraz organizatorem téj dziedziny wiedzy.

Zgodnie więc z tém, cośmy na wstępie powiedzieli, trzeba było oddać *suum cuique*, bez żadnych porównywań i wszczynania śliskiéj kwestyi zasług. Bo jakeśmy to już powiedzieli, scholastycyzmem jest roztrząsać, czyją jest większa zasługa Galvaniego czy Volty, odkrywcy szlifowania szkieł czy wynalazcy lunet i analizy spektralnéj.

Tém bardziéj, że jeżeli miarą zasługi ma być to, czyjemi pracami więcéj się będą posługiwali uczeni, na czyje się będą powoływali i z czyich będą brali punkt wyjścia, to szala ważności z pewnością nie przechyli się na stronę Cailletet'a.

Przejęci wdzięcznością i podziwem dla p. Cailletet'a za jego zapał, odwagę, za wykazanie możliwości skroplenia tlenu, z pewnością nie wszczynalibyśmy téj kwestyi; lecz zmuszeni do obrony naszego, brutalnie napadniętego uczonego, bierzemy w rękę broń, którąśmy chcieli postawić w pochwie. Czy Francya naukowa będzie wdzięczna tym, którzy tę walkę podjęli, którzy gwałtem chcieli wynieść wyżéj p. Cailletet'a przez obniżenie wartości uczonych takich, jak autor pracy „o użyciu wrzącego tlenu, azotu itd. jako środków oziębiających“ wątpimy. Ojczyźnie Lavoisier'ów, Laplace'ów, Cuvierów, Cl. Bernardów takich środków do zdobywania sławy nie potrzeba.

Bronisław Rejchman.

TEATR MEININGEŃSKI.

Wypadki dziejowe dziwne niekiedy ślady zostawiają w historyi sztuki.

Ktoby przypuszczał, że zjednoczenie Niemiec przyczyni się do reformy sceny?

A jednak, tak się stać może.

Po utworzeniu cesarstwa nastała dla zmedyatyzowanych królewiąt i kieszonkowych książąt doba politycznych dąsów.

Zawzięci Achillesowie pozamykali się gniewni w namiotach platonicznego separatyzmu; filozoficzniéj usposobieni, oglądnęli się naokoło siebie, ażali nie ma gdzie jakiéj idealnéj krainy, z któréj dałoby się wykroić państewko, mogące wynagrodzić straty poniesione na ołtarzu „szerszéj" ojczyzny.

Ten i ów znalazł czego mu było potrzeba... w Walhalli lub na Helikonie.

Jeden dziki, niedostępny, a wstydliwy jak Hipolit, spotkał szczęściem dla swego niezwyciężonego wstrętu *für das Ewig Weibliche*, muzę rodzaju męskiego, równie jak on samotną, z którą zawarłszy artystyczne śluby, poznał w muzyce tajemnice Świętego Graala i nowemu kultowi jednę na cały świat wystawił świątynię.

Drugi, zbrojny w przeciwnościach olimpijską pogodą, stworzył sobie panowanie w niezmierzonych dzierżawach poezyi, przyjąwszy za ministrów Schillera, Goethego, Szekspira, którzy mu do obrony idealnego tronu dostarczyli całego legionu nieśmiertelnych bohaterów.

Każdy na swój sposób protestował przeciwko wszechwładztwu materyalnéj siły.

Król bawarski, przykładając rękę do odrodzenia opery w duchu Wagnera, pozostał wiernym ideałom monarchiczno - arystokratycznym; tylko, doznawszy zawodu w rachubach na trwałość ziemskiéj potęgi, przeniósł swoje wszechwładztwo we mgły mytyczne; straciwszy wiarę w solidarność mocarzy tego świata, zbratał się jedynie z bogami skandynawskich legend, a zmierziwszy sobie pomorską arystokracyą i junkierskie *pickelhauby*, ukochał rycerstwo Tannhäuserów, Lohengrinów, Tristanów, Parsifalów.

Rozczarowanie odosobniło go jeszcze bardziéj od spraw doczesnego padołu, i spędza większą część życia w górach, na łowach za estetycznemi wrażeniami, kryjąc się przed *Walkiryami* w rozkosznéj nad jeziorem pustelni, tonąc w czarach niewidzialnéj muzyki, któréj tajemnicze odgłosy dochodzą go z pieczar fantastycznie oświetlonych, lub z gajów oblanych bladą smugą księżycowych promieni. To znów poprzedzony niewiadomym nikomu rozkazem, zjawia się w widowni mnichowskiego teatru i sam jeden, otoczony „zmrokiem bogów“, żyje przez parę godzin życiem „Nibelungów“.

Niech zwyczajni śmiertelnicy, którym zresztą zdaleka dobrze życzy, przypisują mu mecenasostwo sztuki, apostolstwo reformy Wagnera; on w tym świecie, dla siebie wyłącznie wskrzeszonym, czuje się władcą absolutnym, jest królem w państwie złudzeń, nieznającém pruskiéj hegemonii.

Książę meiningeński zdaje się inaczéj praktykować opozycyą.

I on rozszerza granice swoich rządów zdobyczami z dziedziny sztuki, ale jest w tych rządach coś rewolucyjnego.

Przedewszystkiém książe ukochał dramat, a więc życie, a więc cierpienia i radości żywych ludzi, co już jest zerwaniem z monarchiczno-arystokratyczną tradycyą; a potém, z jakiemiż to on ludźmi przestaje!

Wallenstein prowadzi u niego wojny, Egmont politykuje, Fiesco spiskuje, Wilhelm Tell mści się za ucisk swego kraju, Brutus obala tron cezarowy!

Wreszcie do udziału w tych wszystkich tragedyach książe po raz pierwszy powołał lud i każe mu działać, każe mu cierpieć, cieszyć się i zdobywać sobie należną cząstkę bohaterstwa.

Więc téż w małém miasteczku Turyngii kipi tyle namiętności, wre tyle żądz i ambicyj, odgrywają się takie wstrząsające dramata, że od pewnego czasu zwraca na nie oczy Europa... artystyczna, choć Meiningen ściśle biorąc, jest tylko jednym teatrem, a poddani dynastyi dzielą się na widzów i aktorów.

Ale nad tém wszystkiém panuje książę Jerzy niepodzielniéj i bezpieczniéj niż wielu władców, bo jakby jakiémś przeczuciem przyszłości wiedziony, oparł się na masach.

Porównał ktoś Meiningen do Weimaru z czasów Goethego; porównanie to, zdaniem mojém, wtedy dopiero będzie miało pozór trafności, jeżeli dodamy, że jest to Weimar zdemokratyzowany.

Duch czasu zrobił swoje—arystokracya wszelkich talentów ustąpiła w nowoczesnym Weimarze hasłu *„hromada wełykij czołowik“* i na scenie meiningeńskiéj, jak w historyi, tłumy ważną zaczęły odgrywać rolę.

Ten pierwiastek demokratyczny, jako jeden z czynników przyszłego wewnętrznego przekształcenia sceny, niepoślednie ma także znaczenie w stosunkach zewnętrznych teatru meiningeńskiego.

Pod tym względem krzewiciele reformy w operze i w dramacie biegunowo różnią się między sobą; do Beyreuth musi jeździć Europa, a Meiningen jeździ do Europy.

Nareszcie, jeden jeszcze rys charakteryzuje pokrewieństwo téj reformy dramatu z nastrojem naszéj epoki—realizm, usiłowanie osiągnięcia nieledwie dotykalnéj prawdy życiowéj w przedstawieniu dzieł nawet najbardziéj poetyckich. Jest to także forma demokracyi w sztuce, która na scenie meiningeńskiéj szerokie znajduje zastosowanie.

A teraz zsumowawszy to, co nowego do teatru wnosi meiningeńska dramaturgia: wysunięcie na wybitny plan tłumów, wyrzeczenie się wirtuozowstwa znakomitych aktorów i wprowadzenie do sceneryi realizmu, można się spodziewać zapytania: jakim sposobem takie inowacye pogodzić się mogą ze sztuką w wielkim stylu, która z natury rzeczy musi być arystokracyą?

Odpowiedź brzmi bardzo prosto—książę jest nawskróś artystą i dzięki jego artyzmowi to pierwiastki demokratyczne stają się czynnikami estetycznemi.

Przedewszystkiém są one wynikiem jednéj ogólnéj zasady, stanowiącéj kapitalną podstawę reformy w teatrze: dążenia do osiągnięcia *całości*.

Całość, to jest dzieło takie, jakie wyszło z myśli i z serca poety, była może zawsze ideałem artystycznych kierowników sceny, ale w urzeczywistnieniu napotykała przeszkody częścią w niedość wydoskonalonych technicznych warunkach teatru, częścią we właściwościach talentów wykonawczych, które brały na siebie przedstawienie danego utworu.

Teatr meiningeński obie te przeszkody usunął: pod względem techniki scenicznéj korzysta ze wszystkich nabytków, których mu

dostarcza ciągły postęp w materyalnéj stronie sztuki, a wirtuozowstwu aktorskiemu zakreślił takie granice, jakich niezbędnie wymaga wytworzenie harmonijnego *ensemblu.*

Mówiono niejednokrotnie, że jest to cnota z potrzeby, że wyższe talenta nie znalazłyby na scenie meiningeńskiéj odpowiedniego uposażenia, ani chciałyby się poddać demokratycznemu strychulcowi, niwelującemu do jednego poziomu wszelkie zapędy indywidualnéj twórczości.

Zarzut dowodzi niedokładnéj znajomości organizacyi teatru meiningeńskiego.

Kierownictwo, które dziesiątki tysięcy wydaje na przybory i szczegóły sceneryi, nie zawahałoby się opłacić suto kilku pierwszorzędnych talentów; nie robi tego, bo nie chce, bo inne sobie wytknęło zadanie, bo mu idzie o wierne oddanie dzieła poety, nie o tryumfy aktora.

Tę odmienność celów należy mieć zawsze na uwadze, sądząc teatr meiningeński. Kiedy Rossi, Salvini, Irwing, Coquelin, Sara Bernhardt jeżdżą po świecie, publiczność obojętną jest na to, co grają, i patrzy tylko na to, jak grają—poezya utworu schodzi na drugi, wirtuozowstwo artysty wysuwa się na pierwszy plan.

U meiningeńczyków podobne upośledzenie autora uważane jest za ciężki grzech, a dla ustrzeżenia się go idą na ofiarę wszelakie wygórowane ambicye aktorskie.

Przesady dopuszcza się kto twierdzi, jakoby taka abnegacya ułatwiona była na scenie meiningeńskiéj, nagromadzeniem saméj zdecydowanéj mierności, wymusztrowanéj tylko reżyserską dyscypliną.

Nie trzeba zapominać, że meiningeńczycy grają jedynie wielki repertuar i że żadna dyscyplina nie wykrzesze z nieudolności bohaterów Szekspira, Schillera, Goethego, Moliera, Kleista, Grilparzera. Aktorzy, którzy to grać mogą tak, że gra ich sprawia wrażenie choćby tylko jasnéj i wyraźnéj nuty w akordzie całości, muszą być zdolnymi aktorami.

Jeżeli może być mowa o jakiemś ułatwieniu artystom meiningeńskim abnegacyi aktorskiéj, to jedno podnieść i zaakcentować należy—stosunek do nich księcia Jerzego.

Jest on w swoim rodzaju jedyny.

Wyobraźmy sobie kierownika teatru łączącego w swojém zwierzchnictwie dwojaką władzę: reżysera, dyrektora nad aktorami i panującego nad poddanymi.

Taka kumulacya powagi dziwnie odpowiada potrzebom niemieckiego charakteru, jego lojalnym nałogom i artystycznym aspi-

racyom; dodajmy jednak, że gdy idzie o aktorów, pierwsze występują słabiéj od drugich.

Natura aktora, jego chorobliwie niemal rozwinięta miłość własna pozwala mu skłonić głowę tylko przed wyższością w sztuce; to też imponuje mu nie stanowisko hierarchiczne, nie tytuł dworski, ale prawdziwa, głęboka znajomość literatury i teatru, gruntowne wykształcenie artystyczne.

W téj wszechstronnéj kompetencyi księcia Jerzego szukać należy tajemnicy wpływu, jaki wywiera na aktorów swego teatru.

Dostojny kierownik, wsparty pomocą wysoce utalentowanego reżysera Chronegka, jest duszą sceny meiningeńskiéj. Wszystkie główniejsze role męskie osobiście z artystami studyuje, powierzając księżnie pracę nad rolami kobiecemi; sam nie zraża się mozołami licznych prób, na których dokładném prowadzeniu opiera się doskonałość szczegółów i artystyczna harmonia całości; z pod jego estetycznéj kontroli nie wymknie się żaden szkic dekoracyi, żaden rysunek kostiumu, żaden model rekwizytu; jest wszędzie, wszystko oceni: i urządzenie sceny, i pozę aktora, i malowniczość grupy statystów, i efekt światła, i stopień teatralnego złudzenia.

Cóż dziwnego, że wobec takiego przykładu z góry, artyści rozgrzewają się nigdy niestygnącym zapałem dyrektora i pod jego działaniem gotowi są zawsze do ofiar ze swoich ambicyj.

Zresztą, w imię czegóż żąda się od nich tych ofiar? Jedynie w imię sztuki i czci dla poety, którego mają tłómaczyć.

Pod tym względem również uprzedzone jest zdanie tych, którzy twierdzą, że u meiningeńczyków poświęca się gra aktorów dla wymagań sceneryi, dla efektów sztuki dekoracyjnéj.

Kto uważnie przypatrywał się przedstawieniom w teatrze meiningeńskim, ten niewątpliwie przekonał się, że ofiary indywidualnéj twórczości aktora, o ile są wymagane i spełniane, wychodzą na korzyść stylu dzieła i jego organicznéj całości.

Dlaczego wrażenie gry meiningeńczyków jest tak jednolitém?— Nie dlatego bynajmniéj, ażeby poziom jéj był jednakowo miernym, ale że wszystkie siły, uczestniczące w przedstawieniu, dążą do wyżyn, na których unosi się natchnienie poety i że téj jednolitości wrażenia nie narusza ani zbyt osobisty polot pierwszorzędnego, ani rażąca nieudolność podrzędnego aktora, ani obojętny, bezmyślny udział statysty. Wszyscy mają jeden cel: przedstawiane dzieło, i dlatego celu ten, kto dziś grał głównego bohatera, jutro zagra ćwiartkową rolę, a nawet stanie w grupie między figurantami.

Wyradza się ztąd pewna solidarność uzdolnień, skierowana ku jednéj myśli—ku wytworzeniu jak najdoskonalszego *ensemblu*, a daje

ona artystom, w zamian za ustępstwa czynione z miłości własnéj, zadowolenie, które w nich wyrabia nastrój, przypominający wiarę aktorów widowisk pasyjnych w Oberammergau, z tą różnicą, że górale bawarscy wierzą w świętość tego co przedstawiają, a artyści meiningeńscy w wielkość sztuki, któréj służą.

Z téj saméj zasady wzorowéj całości wynikło rozsławione dziś w Europie wyemancypowanie na teatrze meiningeńskim tłumu, podniesienie mas do godności czynnika scenicznego, powołanie ludu do odegrania samoistnéj roli.

Wiadomo, jak się z tém załatwiano dawniéj, jak się to jeszcze dziś u nas praktykuje. Gromada chórzystów, poinformowana o tyle tylko, żeby wiedziała skąd wejść, którędy wyjść, kiedy podnieść prawą a kiedy lewą rękę, snuła się po scenie obojętna, apatyczna, żadnego udziału w akcyi nie biorąca, najczęściéj niewiedząca, o co rzecz idzie, i była w stanie zneutralizować najsilniejsze, najszczytniejsze wrażenia widza.

Wagner w operze ścierpieć tego nie mógł i dał początek reformie; książe meiningeński i Chronegk cudów w tym kierunku dokonali.

Lud na scenie meiningeńskiéj jest osobistością zbiorową, a zarazem indywidualną; żyje, działa, czuje, kocha, nienawidzi—odbija się w nim cała psychologia tłumów.

Różny od ludu w Oberammergau, który unisonowém skandowaniem wierszy i pewną symetryczną koordynacyą ruchów robi wrażenie czegoś nieosobistego, oderwanego, symbolu raczéj, aniżeli rzeczy, gmin u meiningeńczyków gromadzi w jednostkach, w grupach rozmaite rysy, które mu nadają charakter, temperament, rasę i narodowe cechy. Nie ma w nim nic bezimiennego, szarego: naokoło Cezara są Rzymianie, w ojczyźnie Wilhelma Tella Szwajcarzy, w obozie Wallensteina pstra zbieranina z całego świata.

A jak to wszystko spożytkowane na potrzeby sytuacyi! Jaka rozmaitość fizyognomii, odbijających jéj dramatyczny czy tragiczny nastrój!

Trzeba widzieć w jaką wulkaniczną potęgę jednoczą się te masy, kiedy je wspólne ożywia uczucie, a jak się rozpryskują na charakterystyczne grupy pod wpływem różnych indywidualnych usposobień; trzeba widzieć uniesienie dla nadchodzącego tryumfalnie Cezara, sprzeczność i chwiejność popędów podczas przemówień na Forum Brutusa i Antoniusza; najrozmaitsze objawy grozy, rozpaczy, gniewu przy zwłokach Juliusza; trzeba widzieć niemą wściekłość tłumów w scenie strzału do jabłka w „Wilhelmie Tellu“, ażeby zrozu-

mieć, jaki dramat w okrzyku ludu, jaką tragedyą w jego milczeniu zawrzéć potrafi mistrzowska reżyserya.

Tło tych wspaniałych obrazów odpowiada w zupełności ich imponującéj treści.

Tyle już mówiono i pisano o artyzmie meiningeńczyków w malarstwie dekoracyjném, o ich nieledwie pedancko - archeologicznéj ścisłości w kostiumach i rekwizytach, i o zmyśle malowniczości w efektach oświetlenia, tyle się nasprzeczano o burzę w „Wilhelmie Tellu", o deszcz w „Juliuszu Cezarze", że podnoszenie tych wspaniałości materyalnej sceneryi byłoby tylko zbyteczném powtarzaniem rzeczy znanych.

Przeciwko jednemu tylko należy zaprotestować -jakoby to było główną zasługą meiningeńczyków.

Ktoby chciał powodzenie swego teatru oprzéć jedynie na wrażeniach panoramy, dioramy czy cykloramy i na efektach żywych obrazów, ten nie potrzebowałby szukać motywów w Szekspirze, Schillerze, Goethem—lada cyrkowa pantomina byłaby do tego przydatną.

Scena wystawiająca arcydzieła literatury europejskiéj z nabożeństwem i czcią religijną, rozpoczynającą się od uszanowania każdego wiersza tekstu, obejmującą każde słowo, każdy gest aktora, nawet statysty, a kończącą się na wiernem odwzorowaniu miejsca za pomocą dekoracyi, czasu za pomocą kostiumu i rekwizytu i na odtworzeniu zmysłem artystycznym poetycznéj atmosfery, w któréj działają ludzie i odbywają się wypadki—taka scena wolna jest od podobnego zarzutu.

Meiningeńczycy wojują reżyseryą—dobrze, niech i tak będzie; ale jest to reżyserya, zasługująca na nazwę aktu twórczego, bo wywołuje przed oczy całe światy, które odkrywać trzeba, kierując się zaledwie kilku słowami poety, bo wlewa w jego dzieło życie całkowite, zupełne, bo ją czuć jak ducha obecnego wszędzie w grze artystów, w malowniczości krajobrazu, w architekturze komnaty, w kroju ubioru, w układzie grupy, w rysunku akcesoryów, w naśladowaniu głosów natury.

Gdzie taki duch kieruje teatrem, poeta może być spokojnym o swoje dzieło, ukaże się ono przed oczyma publiczności takiém, jakiém je sobie wymarzył, a może nawet wspanialszém.

I dla tego warto było widzieć meiningeńczyków, bo w swoim rodzaju jest to scena jedyna.

Gdyby teatr meiningeński był tylko zwykłém, choćby dobrém towarzystwem, grającém w obcym języku, nie poświęcaliby-

śmy mu tyle uwagi, potrzebnéj dla naszéj własnéj sceny, dla któréj ugaszczanie cudzych bogów jest drogim, a nawet niebezpiecznym zbytkiem.

Ale scena meiningeńska reprezentuje reformę w sztuce dramatycznéj, więc z poznania jéj odnoszą korzyści wszyscy: publiczność, która dopiero dowiaduje się jak wyglądają arcydzieła, grane ze zbiorowém mistrzowstwem, artyści, którzy mieli dotykalne przykłady poświęcania ambicyj aktorskich dla sztuki i reżyserya, która się przekonała, co trzeba umiéć i jak trzeba pracować, aby sięgnąć po laury, Laubów, Dingelstedtów i Chronegków.

Władysław Bogusławski.

WRAŻENIA LITERACKIE.

== **M. L. Leger: La Save, le Danube et le Balkan, Voyage chez les Slovènes, les Croates et les Bulgares.** *Paris 1884.* L. Leger, od niedawna profesor języków słowiańskich w Paryżu, położył sobie za cel zapoznanie Francuzów ze światem słowiańskim, a zwłaszcza z tak mało znaną południową Słowiańszczyzną. Tak poprzednie jego publikacye, jak i obecna praca świadczą o żywém się zajęciu stosunkami słowiańskiemi. Wszystkim jednakże jego dziełom braknie ścisłości naukowéj. Są to bardzo pięknie i lekko pisane felietony, ale nie dzieła naukowe. Nie chcemy mu wprawdzie z tego robić za wielkiego zarzutu. Chce on zainteresować szerszą publiczność, a do tego są odpowiedniejsze dzieła więcéj popularne, niż ciężko naukowe. U p. Legera znika jednakże drugi wzgląd zupełnie, a występuje zwykle tylko gonienie za zewnętrzną formą. W podobnym duchu pisana jest i powyższa praca. Autor odbył w r. 1882 podróż po południowéj Słowiańszczyznie, tj. przejechał się koleją żelazną z Paryża do Białogrodu serbskiego, ztąd przemknął się na olbrzymich falach Dunaju do bułgarskiéj Palanki nad Lomem, następnie dopiero, ponieważ ku wielkiemu żalowi autora, kolei nie było na jego usługi, wózkiem do Zofii, stolicy państwa bułgarskiego i Tatarskiego Bazarczyka, leżącego nad Marycą. Zdawać by się mogło, że człowiekowi, którego zadaniem jest poznanie narzeczy słowiańskich, pożądana będzie, choćby dla odmiany, podróż, która nastręcza więcéj sposobności do zetknięcia się z ludem i poznania jego zwyczajów, charakteru i narzecza w kraju, który mu był do tego czasu całkiem nieznany; przeciwnie, autor nie ma słów do opisania radości, gdy w Bazarczyku ujrzał znów tęsknie wyglądaną międzynarodową po-

stać konduktora kolejowego. Filipopolis, zwany po bułgarsku Plowdiwem był kresem podróży autora. Przejażdżki téj, w któréj go jeszcze po kilka zaledwie dni zatrzymały tylko słowieńska Lublana, chorwacki Zagrzeb i bułgarski Isztiman, opisuje p. Leger swoje wrażenia, z których poznać, że autor ma więcéj zmysłu do studyowania hoteli i restauracyj, niż życia społecznego kraju. Stosunki literackie więcej go zajmowały. Lublana daje mu sposobność zapoznania nas ze stanem umysłowym Słowieńców, liczących tylko około 1,300,000, którzy otrzymawszy autonomią, całemi siłami starają się podnieść oświatę u siebie. Dążą do tego różne towarzystwa, jak „Matica slowenska", rodzaj akademii nauk, i „Drużba św. Mohora" (Towarzystwo św. Hermagorasa) i różne czasopisma, polityczne i naukowe. W Zagrzebiu nie zapomina zastanowić się nad literaturą chorwacką. W żywych kolorach maluje wzrost akademii zagrzebskiéj, która nad spodziewanie pod każdym względem się wzmaga; dowiadujemy się o jéj publikacyach, zasługujących na zaszczytne uznanie (jak: Monumenta spectantia historiam Slavorum meridionalium, Rad, Starohrwacki pisci), poznajemy się z najwybitniejszemi postaciami chorwackiemi, jak Račkim, Szulkiem, Matkowiciem a w końcu spotykamy się z charakterystyką biskupa Strossmayera, którego czynność dobrze i bezstronnie ocenia. Przybywszy do Białogrodu, uwydatnia dobrze różnicę pomiędzy patryotycznemi dążnościami Chorwatów a zacofanymi nieco Serbami. Dowiadujemy się znów o stanie naukowym, na czele którego stoi „Uczeno drużtwo," wydające co rok: Glasnik (Orędownik), o towarzystwie medycznćm i rolniczém, o bibliotece, o muzeum zawierającém bardzo cenne pamiątki archeologiczne, ważny zbiór numizmatyczny i galeryą bohatyrów serbskich, o stanie drukarń i szkół w Serbii i o niektórych osobistościach, jak o Nowakowiciu, Mijatowiciu, Mileczewiciu, Kujundžiciu itd. U Czarnogórców autor nie był—zapewne dla zbyt niewygodnéj komunikacyi—dla tego téż ich pomija, chociaż pod niejednym względem zasługują na poznanie. Za to zajmuje się dość obszernie, choć zarazem dość powierzchownie Bułgarami, których autor najmniéj zna. Wiadomości, które o nich podaje, są częścią ogólnéj cechy, częścią czerpane więcéj z książek, jak z własnych spostrzeżeń. O Bułgaryi wyzwolonéj sądzi z wrażeń, jakie na nim zrobiła Zofia; o Rumelii tj. téj części Bułgaryi, która wprawdzie otrzymała autonomią, ale została pod zwierzchnictwem sułtana, a którą widział reprezentowaną tylko miastem Plowdiwem, podaje bardzo mało. Ciekawe są daty co do wzrostu szkół i oświaty w Bułgaryi, która od czasu wyswobodzenia czemprędzéj stara się zrzucić z siebie postać turecko-azyatycką, a przybrać fizyognomią europejską. O stosunkach socyalnych i eko-

nomicznych zwiedzanych krajów nie znajdujemy prawie żadnéj wzmianki. Zkądże miał je poznać autor, patrząc za kraj z okna wagonu lub kajuty? Aby zaś poznać i podać kilka wiadomości o literaturze chorwackiéj lub serbskiéj, nie potrzeba doprawdy tak dalekiéj odbywać podróży. Życzyćby także należało większéj konsekwencyi w transkrypcyi imion słowiańskich. Autor używa np. dla oznaczenia chorwacko-serbskiego: ć aż trzech sposobów, pisze bowiem: Obrenovi*tch*, Risti*tch*, obok Pajacevi*cs* i Puci*ch* (Pucić). Forma zewnętrzna i sposób przestawienia zasługuje na uznanie.

Wiosna ożywia nie tylko naturę. Właśnie o téj porze roku panuje zwykle w Paryżu ruch wielki w świecie literackim i artystycznym. Wystawy wszelkiego rodzaju, a przedewszystkiém sztuk pięknych, następują jedna po drugiéj. Gdy „salon“ zwraca uwagę powszechną, dziesiątki innych wystaw walczą o lepsze. Publiczność, chcąc dotrzymać pola, zwiedza gorliwie wszystkie, wydając swój sąd o postępie, jaki się zaznaczył w rozwoju geniuszu ludności. W chwili, gdy te słowa piszemy, w świecie literackim panuje niezwykłe ożywienie. Setki nowych dzieł wychodzą na świat. Czy ta mnogość płodów literackich odpowiada ich wartości rzetelnéj,—o tém należałoby powątpiewać; zapewne, gdzie tak znaczna liczba utworów literackich wychodzi w świat, wiele jest lichoty; są jednak dzieła niepośledniéj wartości. Czy że natura sama usposabia człowieka do lekkości umysłu, czy téż prosty zbieg okoliczności, lecz w chwili obecnéj przedewszystkiém zapanował ruch nadzwyczajny w literaturze pięknéj. Beletrystyka w ostatnich dniach pozyskała wiele nowości, o których właśnie zamierzamy obszerniéj pomówić. Pan Wiktor Tissot, znany autor wielu dzieł z podróży po Europie, człowiek obdarzony nadzwyczajną spostrzegawczością, świeżo ogłosił drukiem dzieło „*de Sadowa à Sedan.*“ Pan Tissot niemal do ostatnich czasów cieszył się nadzwyczajną wziętością nie tylko wśród Francuzów. Podróże jego czytał świat cały; Niemcy może jedni patrzyli nań z niechęcią. Pisał on i o nas. Wszystkim dobrze są znane najpierwsze prace jego: *les Prussiens en Allemangne* oraz *le voyage au pays des milliards*, które narobiły tyle wrzawy, a uważano je za coś nadzwyczajnego. Wiele jeszcze pisał w tym rodzaju pan Tissot, lecz świat i Francuzi sami wreszcie poznali się na nim. Pan Tissot dzisiaj powszechnie uważany jest za dobrego blagiera, który będzie pisał o wszystkiém, chociażby o tém niemiał żadnego pojęcia; zapewne, nie można mu odmówić wielkich zdolności, nadzwyczajnego daru obserwacyi i pięknego wysłowienia, — natomiast w pracach jego widnieje brak

wszelkiéj podstawy gruntownéj wiedzy i znajomości przedmiotu. Piękne, lecz puste frazesa, w dodatku nie bezstronne, nie mogą zastąpić braku treści. A jednakże tak niedawno jeszcze pana Tissot ceniono na wagę złota. Znany wydawca paryzki Dentu wysyłał go w podróż po świecie własnym kosztem, nie zastanawiając się nad wydatkami. Pod tytułem *de Sadowa à Sedan* Wiktor Tissot ogłosił pamiętniki Oskara Meding'a. Meding, nim został sekretnym ambasadorem przy dworze tuljeryjskim, przeszedł karyerę niezwykłą. Urodzony w Prusach, narazie szukał szczęścia w biurach administracyi miejscowych. W kraju swym nie znalazł powodzenia; wówczas udał się na służbę króla Hanoweru Jerzego V. Sprytny umysł Medinga pojął od razu, iż na dworze monarchy tego, który słynął ze zbytku i pyszności, łatwiéj mu będzie osiągnąć cel zamierzony. Jak wiadomo, król Jerzy był niewidomym. W chwili, gdy Oskar Meding wstąpił na służbę króla hanowerskiego, powstały najpierwsze nieporozumienia państwa tego z Prusami. W rzeczywistości król Jerzy nie był usposobiony wrogo względem Prus, lecz spostrzegł, iż liberalne ministeryum berlińskie dąży do zburzenia samodzielnych państw na korzyść jedności niemieckiéj. Pierwszą misyą nazbyt drażliwą Medinga, było wywiedzenie się nazwiska autora artykułu, jaki się ukazał w Gazecie Augsburskiéj w roku 1860. Artykuł ten był wystosowany przeciwko rządowi hanowerskiemu, a w szczególności przeciwko dwom ministrom jego Borries'owi i Platenowi. Dzisiaj już nie jest tajemnicą, kto był autorem artykułu, który podówczas narobił tyle wrzawy; jest nim żelazny książę. Wkrótce tron hanowerski runął i Meding zmuszony był udać się do Paryża, w charakterze tajemniczego ambasadora. Zadaniem jego było popierać interesa tronu hanowerskiego wobec dworu francuskiego, wreszcie jednać opinią ogółu i prasy, przychylną restauracyi tronu dynastyi Gwelfów. Meding w Paryżu został przyjęty nadzwyczaj serdecznie i przez lat cztery był wtajemniczonym we wszelkie sprawy dyplomacyi francuzkiéj, aż do owéj chwili fatalnéj. Czytając notatki Medinga, poznaje się całą chwiejność charakteru Napoleona III i jego ministra. Ze wszystkiego widać, że król Hanoweru Jerzy V był lichym dyplomatą, lecz kuzyn jego Napoleon III wcale nie był lepszym. Meding jest znany w literaturze niemieckiéj pod pseudonimem Samarowa, a romanse jego, osnute na tle wypadków politycznych zjednały mu rozgłos i... ładną fortunę. Pamiętniki Medinga, które właśnie świéżo drukiem ogłosił Wiktor Tissot, mające charakter czysto prywatny, a jako takie, bardziéj zasługują na uwagę, albowiem były pisane szczerze, bez żadnéj ukrytéj myśli.—Pod tytułem: *Madame de Sévigné historien* F. Combes, profesor historyi, na wydziale literackim

uniwersytetu w Bordeaux, podaje wyborną charakterystykę dworu i wieku Ludwika XIV według pani Sévigné, tj. li tylko według jéj pamiętników. Dzieło to bez wątpienia jest najciekawszém ze wszystkich, jakie wydano o dworze Ludwika XIV. Pan Combes pozostawił całą oryginalność pani Sévigné w charakterystyce ówczesnych osób, co rzuca zupełnie oryginalne światło na ową epokę. Praca pana Combes czyta się z wielkiem zajęciem, a skreślone tu portrety wybitnych osobistości, oraz pełne humoru anegdotki i opowieści urozmaicają i bez tego zajmującą całość.

Szanowny Redaktorze.

Ocena moja Arytmetyki p. Baranieckiego wywołała odpowiedź jego, pomieszczoną w majowym zeszycie „Ateneum“. Nie mam zupełnie zamiaru pisać tu odpowiedzi na tę odpowiedź, bo jakkolwiek w zasadzie nie jestem przeciwnikiem poważnéj polemiki, w artykule jednak p. B. nie znajduję punktu wyjścia do takowéj. Czuję się tylko w obowiązku przesłać panu te słów kilka w obronie nie mojéj oceny, ale ogólnéj zasady naukowo-pisarskiéj, któréj p. B. w swéj odpowiedzi nie uszanował.

Przyjęte jest w całym świecie naukowym cytatę z pewnego źródłowego dzieła, a nawet powołanie się na takowe, uważać za poważny argument, a to bardzo często ułatwia i skraca przeprowadzenie wszelkich rozpraw i dowodów. Cóżby się jednak stało z tym argumentem, gdyby czytelnik mógł przypuszczać, że autor na poparcie swego twierdzenia, odwołuje się do takich dzieł i artykułów, które właśnie są stanowczym dowodem czegoś wręcz przeciwnego. Tak się rzecz ma właśnie z powołaniem się p. B. na *Comptes rendus* paryzkiéj akademii nauk, na dzieło dostępne tylko dla mieszkańców wielkich centrów naukowych, a słusznie za źródłowe uważane. Fakt to poważny i ze względu na poszanowanie naszéj literatury naukowéj nie można go pominąć milczeniem;—dla tego sądzę, że zechcesz pan, zamieścić w swém piśmie te słów kilka wyjaśnienia, a czytelnik wybaczy zbyt specyalnie matematyczny jego charakter.

W różnych arytmetykach i dziełach o przybliżeniach liczebnych spotykamy wykład różnych sposobów dzielenia skróconego,— a wszystkie te sposoby dadzą się jakby pomieścić w dwóch grupach: w jednéj te, które są prostem odwróceniem metody mnożenia skróconego podanéj przez Oughtred'a, i do tych należy sposób podany w książce p. B., w drugiéj zaś te, które oparte są na bezpośredniem

badaniu dzielenia i przez to zyskują na dokładności i wyrazistości, i do tych znowuż należy sposób przez Guy'ego podany.

Dla tego téż wyraziłem się w mojéj ocenie: „autor wyłożony przez siebie sposób dzielenia skróconego niesłusznie sposobem Guy'ego nazywa“. Do takiego wyrażenia miałbym prawo nawet w takim wypadku, gdyby była wyszła jakaś arytmetyka przez Guy'ego napisana, i w niéj był pomieszczony ten sposób, który znajdujemy w książce p. B.,—wedle bowiem przyjętego w nauce zwyczaju taki sposób zostaje bezimiennym, jako nie zawierający nic oryginalnego. Wobec zaś istotnego stanu rzeczy, wyrażenie to moje było za słabe—miałem prawo powiedzieć „fałszywie nazywa“, tém bardziéj, że sam byłem tą omyłką p. B. mocno zdziwiony, a nawet zgorszony, sposobu bowiem Guy'ego nie potrzeba szukać w jakichś mało dostępnych archiwach matematycznych,—jest on z całą drobiazgowością wyłożony na 13 stronicach w arytmetyce Serret'a, przyczém nazwisko „Guy“ spotykamy kilkakrotnie w tekście i w tytułach,—a arytmetyka Serret'a, to ta szczególnie wyróżniona przez p. B., który mówi w przedmowie, że z *przeglądania* wielu innych nieliczne odniósł korzyści, przypuszczać więc należało, że tę już dobrze przejrzał.

A jednak to wyrażenie moje wywołało następujące słowa w odpowiedzi p. B.: „Niema co: śmiało powiedziane. Czy można jednak prosić p. Puchewicza, by zechciał zajrzéć do tomu XX *Comptes rendus* paryskiéj akademii nauk za r. 1845? Tam znajdzie raport Cauchy'ego o dzieleniu, które podał Guy (1). Dopóki p. Puchewicz nie dowiedzie, że Cauchy „niesłusznie“ ten raport ułożył, sądzę, że „słusznie“ ów sposób nazywam sposobem Guy'ego“.

To jest właśnie rdzeń kwestyi. W owym tomie, we wskazaném przez p. B. miejscu znajdujemy istotnie sprawozdanie Cauchy'ego o metodzie Guy'ego, i jakkolwiek nie jest tam szczegółowo ten sposób opisany, wskazane są jednak wyraźnie dwie charakterystyczne jego cechy, tyczące się nawet nie *przebiegu rozumowania*, ale po prostu *mechanicznéj strony* w wykonywaniu dzielenia, a mianowicie: uwzględnianie w cząstkowych mnożeniach cyfry bezpośrednio następującéj po ostatniéj z zatrzymanych cyfr dzielnika (2)

---

(1) Tu cytuje p. B. słów kilka tekstu z owego raportu Cauchy'ego, które jednak są tylko ogólnikowo wyrażoną pochwałą sposobu Guy'ego, ale w niczém go nie określają, a tém samém nie wykazują zgodności jego z tym sposobem, który znajdujemy w książce p. B.

(2) .... si l'on tient compte uniquement des produits, dont l'ordre surpasse une certaine limite, *et des reports, qui proviennent des produits de l'ordre immédiatement inférieur à la limite, dont il s'agit* (str. 68).

i wprowadzenie liczby granicowéj: 1,8 (1). Cechy te *nie mają nic wspólnego* ze sposobem, który p. B. dał wydrukować w swéj książce, i nie potrzeba nawet *zrozumienia* tego sposobu, wystarczy powierzchowna znajomość jego *mechanizmu*, aby jasno widzieć, że Cauchy mówi o jakimś zasadniczo odmiennym sposobie.

Jakże więc mógł p. B. na to sprawozdanie się powołać?— Odpowiedź na to pytanie, choćby najzwięźlejsza, mówiłaby niewątpliwie daleko więcéj niż moja długa ocena arytmetyki,—nie wypisuję tu jednak téj odpowiedzi i ograniczam się na zanotowaniu faktu.

Władysław Puchewicz.

W dniu 23 maja otwartą została w gmachu resursy obywatelskiéj wystawa czasowa obrazów, szkiców i kartonów zmarłego artysty-malarza, członka komitetu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, Aleksandra *Lessera.* Zwracamy uwagę czytelników „Ateneum" na powyższą wystawę ze względu na zasługi, położone przez Lessera dla sztuki krajowéj, nadmieniając przytém, iż część obrazów przeznaczona została na sprzedaż, oraz, że dochód z biletów wejścia, sprzedaży broszurki dra H. Struvego i katalogów, po potrąceniu wydatków urządzenia wystawy, obrócony będzie na powiększenie funduszu, zbieranego na kupno placu i budowę domu dla Towarzystwa.

---

(1) Nous ajouterons, qu'á la limite 2, ci dessus rappelée, on peut substituer avec avantage la limite plus basse 1,8, *qui se trouve elle même indiquée par l'auteur du mémoire* (str. 69).

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Maja 1885 r.

---

1. **Od kolebki do mogiły.** Z życia zapomnianego człowieka. Opowiadanie *J. I. Kraszewskiego*. 2 tomy. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1885, str. 251, 250.
2. *Adolf Dygasiński*: **Nowelle**. Serya druga (Niezdara, Jarmark na ś. Onufry). Warszawa. Wyd. Przegl. Tygodniow., 1885 str. 219.
3. *Jerzy Brandes*: **Główne Prądy Literatury XIX stulecia**. (Tom V). Szkoła Romantyczna we Francyi. Z portretem autora: Warszawa, Wydawnictwo Spółki Nakładowej Warszawskiej. 1885, str. 402.
4. **Aleksander Lesser, jego rozwój artystyczny i jego stanowisko w historyi malarstwa polskiego.** Studyum *Henryka Struvego*. Z portretem artysty i drzeworytami główniejszych jego obrazów, (wydane na dochód Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych). Warszawa, 1885, str. 51.
5. **Sprawozdanie o działaniach towarzystwa straży ogniowej Płockiej ochotniczej za rok 1884**. Płock, 1885, str. 10.
6. **Stosunki Polski z soborem bazylejskim** przez *dr-a Ludwika Grossé*. Dysertacya doktorska. Warszawa. 1885, 8-o str. 192.
7. **Feliks Łoyko jako ekonomista.** Życiorys i treść sześćdziesięciu dziewięciu tomów jego rękopismów z dziedziny statystyki i dziejów krajowych. Kraków, nakł. Edwarda Łoyki, 1885, 8-o str. 39.

Дозволено Цензурою, Варшава. 21 Мая 1885 г.